Wiara, Patriotyzm i Sztuka bialykruk.pl

WPIS

tygodnik kulturalny

NR 4 (114)
25 KWIETNIA

ISSN 2083-084X
Wyd. A+B Nakł. 40 000
Cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

Fot. Jakub Szymczuk / KPRP

ŚW. JAN PAWEŁ II
Kościół łatwo pokonać przez kapłanów

LESZEK SOSNOWSKI
Wybory – tu i teraz!

ANDRZEJ NOWAK
Kłamstwo i strach, narzędzia imperium zła

ALEKSANDER NALASKOWSKI
Oświatowa proteza

JOLANTA SOSNOWSKA
JP II wobec epidemii

KRZYSZTOF SZCZERSKI
Wirus a polityka

KRZYSZTOF OŻÓG
Spłonęła za wiarę i patriotyzm

WOJCIECH ROSZKOWSKI
Hagiograf w Oświeceniu

ADAM SOSNOWSKI
Austriacki danse macabre

TEMIDA STANKIEWICZ-PODHORECKA
Ohyda w polskim teatrze

RYSZARD KANTOR
Biesiady cementują rodziny

ANDRZEJ DUDA
przed wyborem

INDEKS 410411
ISSN 2083-084X 04
9 772083 084307

OBOWIĄZKOWE LEKTURY PRZED ŚWIADOMYM WYBOREM

40zł

192 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy 150 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~49~~ zł

60zł

560 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy 120 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~83~~ zł

49zł

296 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy 140 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~59~~ zł

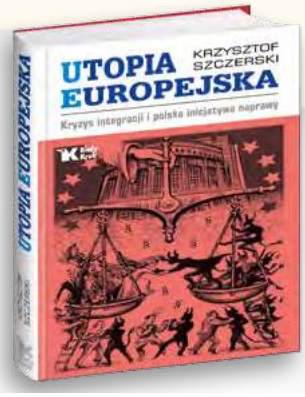

39zł

256 str., 16,8 x 23,8 cm,
papier kredowy 150 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~59~~ zł

39zł

440 str., 17 x 24 cm,
papier kredowy 120 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~69~~ zł

19zł

136 str., 14,5 x 20,2 cm,
papier kredowy, twarda oprawa
Cena detal. ~~29~~ zł

45zł

312 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy 130 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~59~~ zł

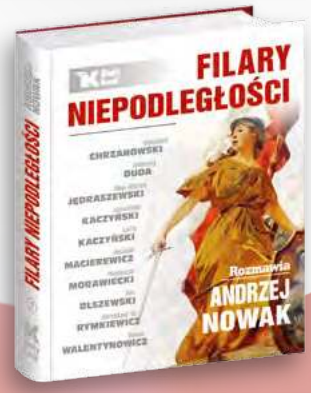

49zł

384 str., 19,5 x 24 cm,
papier kredowy 140 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~83~~ zł

29zł

280 str., 20,5 x 25 cm,
papier kredowy 140 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~59~~ zł

ZAMÓWIENIA: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a4a4bdc682

Wiara, Patriotyzm i Sztuka
WPIS

WYDAWCA
Biały Kruk sp. z o.o.
Prezes Zarządu Leszek Sosnowski
ul. Szwedzka 38, 30–324 Kraków
telefon: 12 260 32 40, 12 260 32 90, 12 254 56 09
faks: 12 254 56 00
Redaktor prowadzący **Adam Sosnowski**
Projekt graficzny i opracowanie komputerowe
© Studio Biały Kruk: **Janusz Feliński** (kierownik)
REDAKCJA **Mateusz Bednarz** (redaktor graficzny), **Adam Bujak** (zdjęcia), **Michał Klag** (zdjęcia), **Jolanta Kochniarczyk** (reklama), **Anna Makowska** (korekta), **Monika Makowska** (Polska, historia), **Jolanta Sosnowska** (zagranica, wiara, sztuka),
STALE WSPÓŁPRACUJĄ
Ewa Barańska-Jamrozik, dr Justyna Chłap--Nowakowa, ks. prof. Waldemar Chrostowski, dr Marek Deszczyński, dr. hab. Martyna Deszczyńska, Leszek Długosz, prof. Ryszard Kantor, dr Marek Klecel, prof. Henryk Kocój, dr Jerzy Kruszelnicki, Stanisław M. Jankowski, Grzegorz Niedziela, prof. Andrzej Nowak, prof. Krzysztof Ożóg, Czesław Ryszka, prof. Krzysztof Szczerski, Janusz Szewczak, Krzysztof Szujecki, prof. Artur Śliwiński, Bohdan Urbankowski
Reklama: tel. 12 254 56 21
Prenumerata „Wpisu": tel. 12 260 32 40
Zamówienia książek: tel. 12 254 56 02, 12 254 56 19, 12 254 56 26
Redakcja: tel. 12 260 32 90, reklama: tel. 12 254 56 26
e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
www.bialykruk.pl
www.e-wpis.pl
facebook.com/MiesiecznikWPIS

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (z Funduszu Promocji Kultury)
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Copyright © Biały Kruk
Wszelkie prawa zastrzeżone
DRUK
Drukarnia Leyko Sp. z o.o.
Zastrzegamy sobie prawo do redakcji i skracania nadsyłanych tekstów. Nie gwarantujemy publikacji niezamówionych materiałów.
Bank PKO S.A. II o/Kraków
68 1240 1444 1111 0000 0936 2370
Następny numer: 26 maja 2020

NA OKŁADCE
Prezydent RP Andrzej Duda Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

WYBORY 2020

16 PRIORYTETY PREZYDENTURY ANDRZEJA DUDY. SUWERENNOŚĆ I WIARA

Prezydent Andrzej Duda podczas przedwielkanocnej wizyty w afgańskiej bazie Bagram, gdzie służbę pełni Polski Kontyngent Wojskowy w ramach NATO-wskiej misji Resolute Support; z lewej min. obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

4 **WSPOMNIENIE JABŁONNY**
Leszek Długosz

5 **ZNÓW TRUMNY W AKCJI, JAK W 2010 R.**
Leszek Sosnowski

11 **IMPERIUM ZŁA DZIAŁA PRZEZ POŁĄCZENIE KŁAMSTWA I STRACHU**
Prof. Andrzej Nowak

20 **OŚWIATOWA PROTEZA**
Prof. Aleksander Nalaskowski

25 **NAJŁATWIEJ JEST POKONAĆ KOŚCIÓŁ PRZEZ KAPŁANÓW**
Św. Jan Paweł II

32 **JAN PAWEŁ II WOBEC EPIDEMII**
Jolanta Sosnowska

39 **AUSTRIACKI DANSE MACABRE, PO KTÓRYM WIRUS WYPEŁZŁ NA EUROPĘ**
Adam Sosnowski

43 **JAK EPIDEMIA WPŁYWA NA POLITYKĘ MIĘDZYNARODOWĄ**
Prof. Krzysztof Szczerski

46 **KILKUDZIESIĘCIU POLSKICH INTELEKTUALISTÓW APELUJE O INTERWENCYJNY ZAKUP KSIĄŻEK PRZEZ PAŃSTWO**

48 **PLAGA OHYDY W POLSKIM TEATRZE**
Temida Stankiewicz-Podhorecka

51 **BEZ UCZUĆ PATRIOTYCZNYCH CZŁOWIEK JEST KALEKĄ MORALNYM**
Dr hab. Martyna Deszczyńska

57 **DLA OBRONY OJCZYZNY, Z POCZUCIA SZACUNKU DLA NIEJ…**
Prof. Piotr Biliński

61 **POLSKIE ASY LITERACKIE W SŁUŻBIE FRONTOWEJ**
Dr Monika Makowska

65 **JOANNA D'ARC – PROSTA DZIEWCZYNA RATUJĄCA KRÓLESTWO FRANCJI**
Prof. Krzysztof Ożóg

71 **HAGIOGRAF W DOBIE OŚWIECENIA**
Prof. Wojciech Roszkowski

74 **BIESIADA, CZYLI WESOŁE SPOTKANIE…**
Prof. Ryszard Kantor

79 **POTĘGA HONORU**
Prof. Piotr Biliński

86 **ROMANA BRANDSTAETTERA WZNOSZENIE CZŁOWIEKA KU BOGU**
Czesław Ryszka

90 **WIELKA SCENA NARODOWEGO SPEKTAKLU**
Prof. Ryszard Kantor

96 **NIEUSTRASZONY PATRIOTA, LEKARZ I BADACZ BENEDYKT DYBOWSKI**
Dr Marek Klecel

101 **PRAWY SZERMIERZ I NAUKOWIEC, KTÓREGO UHONOROWAŁ ŚW. JAN PAWEŁ II**
Krzysztof Szujecki

104 **ŚWIATO-PODGLĄD**

106 **KRZYŻÓWKA**

UWAGA! Miesięcznik „Wpis" znajdziesz m.in. w salonikach prasowych Kolportera, Ruchu, Garmondu i Empiku, a także w placówkach PKN Orlen oraz Poczty Polskiej.

eprasa.pl a4a4bdc682

WSPOMNIENIE JABŁONNY

(wierszyk pałacowy)

Leszek Długosz

Zaginął mi wierszyk z Jabłonny
W Jabłonnie pisany
– Kajet się zatracił?
– Kartka w kosmos uleciała?

Dzień był, pamiętam, kwietniowy
I na tarasie pałacowym
Zapatrzenie moje kwitło
– Oczarowanie… No nie inaczej
W przejrzystych ścianach powietrza
Stał ogród – sad biały
Pod strażą mego wzroku
Kwitły jabłonie w Jabłonnej
I przekwitały
W ciszy porannej, modlitewnej, zda się…

Zaginął mi wierszyk wiosenny z Jabłonny
Na amen sie zatracił
A cóż? Nie takie tam straty
Bóg jeden wie co druga, inna chwila
Przyniesie
Wiersze pojawią się jakie?
Było, minęło
Nic nie powraca zza ściany czasu dokonanego
Ot, małe rozróżnienie:
Inaczej boli – przeszłe dokonane
Inaczej przeszłe – niespełnione
Tknięte ledwo
Choć jedno z drugim na równi mieszka
W plusquamperfectum
Za drzwiami zatrzaśniętego czasu

Addio Jabłonno, w wiosennym poranku
–Taką cię uniosę pod powieką
– Jabłonie twe, co kwitły i przekwitały po bożemu
Przykładnie
I wierszyk co zaginął
Na wieczność w tamtym kwietniu
Niech to tam pozostaje…
Na amen już
In pace

Fot. Adam Bujak

Jest wielka szansa i grzechem byłoby ją zmarnować.

Nie wolno ulegać demagogom!

Znów trumny w akcji, jak w 2010 r.

Leszek Sosnowski

Trudno sobie wyobrazić lepszy sprawdzian dla intencji, zdolności i możliwości polityków niż stan kryzysowy w kraju. Tak jak teraz. W gębie to wszyscy są mocni, ale jeśli chodzi o konkretne działania wymagające energii, szybkich i mądrych pomysłów oraz decyzji, a zwłaszcza poświęcenia, to już gorzej. Dużo gorzej. Okazuje się jednak, że społeczeństwo w znacznej większości pozytywnie ocenia to, jak radzi sobie w kryzysie obecna władza, a szczególnie minister zdrowia i Prezydent.

1.

Różne niemieckie, a zarazem antypolskie (mocno antypolskie) media działające bezczelnie nad Wisłą piszą/gadają, że obecnie nie ma równych szans wyborczych dla wszystkich kandydatów na prezydenta. Nie dajmy się jednak zwariować ani zwodzić takiej demagogii! Życie społeczne jest utrudnione, jednak nie oznacza to, że szanse są nierówne. To jest argumentacja taka sama, jaką nieraz wygłasza dziadowska drużyna piłkarska po przegranym meczu: ponieśliśmy porażkę, bo nie było równych szans, lał deszcz i boisko było grząskie. To co, dla jednych lał, a dla drugich nie? Murawa była grząska tylko dla przegranych? Moim zdaniem, nawet kiedy nie ma sytuacji kryzysowej, to dla kandydatów na prezydenta (i nie tylko na prezydenta) powinny być takie sytuacje specjalnie symulowane (komputerowo), żeby można było sprawdzić przy ich pomocy prawdziwe walory polityków.

Totalsi powinni tak naprawdę podziękować wirusowi, bo mają na co zrzucić winę za swoją nieudolność i brak jakichkolwiek konkretnych programów wyborczych – poza kontrowaniem PiS-u. Ale cóż to za program?! Liczą na to, że jak zyskają na czasie, to coś może jeszcze stworzą, albo raczej – zostanie im coś podrzucone z zagranicy. Jeżeli Polacy mają jednak czekać na ich rzeczywiste programy, na jakieś ich propolskie koncepcje, to mogą się, raczej, nigdy nie doczekać. A wtedy co – Andrzej Duda musiałby praktycznie funkcjonować jako prezydent dożywotni? Tylko wedle jakiego prawa ma to wszystko tak funkcjonować? Chyba Hammurabiego…

Opozycja miała, wbrew pozorom, wielką szansę w obliczu kryzysu. Była nią współpraca, przyłączenie się do działań rządu, wzmocnienie tych działań, a nie ich kontestowanie. Mogli znaleźć swoje obszary pomocowe (np. w „ich" samorządach!). Pod koniec ub. roku firma Social Changes przeprowadziła badania, z których wynikało wyraźnie, że społeczeństwo oczekuje od opozycji lepszej współpracy z rządem. Tylko 25 proc. badanych uznało, że opozycja powinna tak samo lub mniej współpracować z ekipą PiS-owską.

Zamiast jątrzyć, co każdy głupi potrafi, mógł Tusk przysłać do Polski np. pięćset respiratorów. A Kidawa-Błońska mogła zgłosić się do jakiegoś szpitala na dyżury jako salowa (z tym chyba dałaby sobie radę) w ramach wolontariatu. Biedroń mógł wezwać wszystkich homoseksualistów w Polsce do szycia maseczek itd. Zyskaliby sobie wówczas niewątpliwie sympatię wielu niezdecydowanych wyborców. Za co mógłby ich wtedy atakować obóz rządzący? Mieli okazję okazać serce i miłe oblicze, zamiast nieustannie wściekle szczerzyć zęby, judzić, szarpać za trzewia i tak kompletnie już zestresowanych ludzi.

Oni jednak niestety nie mają ludzkiego oblicza. To są nakręcone maszynki polityczne, zresztą sterowane z zewnątrz, woleli więc i wolą wszystko totalnie krytykować, negować, siać *de facto* panikę. I na tym koniec ich programu. Pokazali, na co ich stać – cóż więc dziwnego, że tak im zmalało poparcie. Czego dokonali poza chachmęceniem? Niechże mi ktoś powie, za co ich popierać?! Tylko za to, że są anty-PiS-em? To naprawdę o wiele za mało nawet dla ludzi niecierpiących Jarosława Kaczyńskiego, ale obdarzonych choć odrobiną inteligencji.

Nasza strona niepotrzebnie reaguje alergicznie na dosłownie każdą zaczepkę, bez końca oburza się, wyjaśnia i odpowiada nawet na kompletnie nielogiczne i durne zarzuty, traci tym samym tylko czas i energię. Jest to tym bardziej bezsensowne, że jakakolwiek argumentacja obozu władzy i tak nie dociera do milionów tych obywateli, którzy z przyzwyczajenia korzystają z wrogich, obcych mediów; one bowiem prezentują tylko swoją „prawdę", a nią jest wszystko, co anty-PiS-owe. Nie ma zaś potrzeby przekonywania bez końca obozu patriotycznego, że przeciwnik jest durny i na dodatek podły. To po prostu targowica, wszyscy to od dawna wiemy, na szczęście prymitywniejsza niż ta z końca XVIII wieku, ale za to tym razem futrowana nie tylko ze wschodu, ale i z zachodu.

2.

Proszę zauważyć, że cała strategia tzw. opozycji oparta jest na strategii z 2010 r.; została zaczerpnięta wprost z doświadczeń tamtej kampanii prezydenckiej. Wówczas na początku wydawa-

eprasa.pl a4a4bdc682

ło się, że Jarosław Kaczyński przegrać nie może. Dlaczego jednak przegrał? Otóż ówczesny sztab wyborczy, dowodzony przez podstawioną osobę, czyli Joannę Kluzik-Rostkowską (warto by w końcu się dowiedzieć, kto przeforsował ją na to stanowisko?!), wyeliminował doszczętnie z kampanii temat katastrofy smoleńskiej. Temat wówczas jeszcze wcale nie tak konfliktujący, jak było to już parę miesięcy później za sprawą mainstreamowych mediów. Polacy o mniej lub bardziej patriotycznym nastawieniu, a więc zdecydowana większość, jednoczyli się wokół tego tematu. Było to oczywiście zjednoczenie smutne, ale bardzo silne, oparte na głębokim podłożu emocjonalnym, sentymentalnym i refleksyjnym. Smoleńsk poruszał ludzkie serca, dusze i sumienia.

I wtedy nagle pojawiła się Kluzik-Rostkowska, która narzuciła PiS-owi niewiarygodnie demagogiczne sformułowanie: nie będziemy wjeżdżać na trumnach do Pałacu Prezydenckiego! Cała Polska żyła Smoleńskiem, cały kraj o niczym innym nie rozmawiał, ale w PiS-owskiej kampanii temat ten przestał istnieć. A cóż złego mogło być w tym temacie, cóż uwłaczającego Jarosławowi Kaczyńskiemu jako kandydatowi na prezydenta? Cóż to za szlachetność nie odnosić się do osób poległych, nie okazywać żalu po nich, nie szukać ich godnych następców? To odsunięcie się w kampanii od zmarłych przyjaciół, członków rodziny, kolegów z pracy okazało się właśnie fatalne w skutkach. Normalni Polacy nie odbierali tego dobrze, nie mogli pojąć, skąd nagle taka obojętność, taki chłód. Wytykali PiS-owi nieczułość.

Wielu w naszym obozie buntowało się wtedy na taką taktykę, ale procedury były podobne jak teraz: osoba kierująca sztabem wyborczym jakoby odpowiadała za wszystko i nikt – łącznie z kandydatem! – nie miał nic do gadania. Wszyscy bez szemrania musieli respektować każde polecenie szefowej sztabu wyborczego. A za co, i przed kim, szefowa ta odpowiadała? Okazało się po wyborach, że Kluzik-Rostkowska odpowiadała nie przed PiS-em, ale przed… Platformą. A ponieważ dzielnie wywiązała się ze swojej misji, bo Jarosław Kaczyński nieoczekiwanie przegrał walkę o prezydenturę, dostawała potem od zwycięskiej koalicji PO-PSL różne awanse.

Teraz czytam w stuprocentowo niemieckiej gazecie (nie tylko z uwagi na właściciela, ale i na treść), nazywającej się jak na ironię „Dziennikiem Polskim": „czy naprawdę potrzebujemy prezydenta wybranego na stypie?". Tak, właśnie takiego potrzebujemy, Herr Redakteur!

Bo cóż to znaczy „na stypie"? Piszący (jeszcze) po polsku redaktor wydawanej w Krakowie gazety sugeruje, że taki prezydent byłby osobą bez szacunku dla zmarłych, bez respektu dla żałoby, osobą o niskim morale. Cóż za podły, demagogiczny chwyt! Po pierwsze wiadomo, że Andrzej Duda jak mało kto przy każdej okazji (zarzuca mu się nawet, że zbyt często) okazuje szacunek rodakom zmarłym współcześnie i dawniej. Robi to i jako patriota, i jako katolik, którym nie jest na pokaz i nie przez chwilę, jak np. Tusk i jego kumple. O szacunku obecnego prezydenta dla styp można by książkę napisać.

Tak naprawdę to prezydent, jak zresztą i każdy z nas, zawsze jest „na stypie", skoro dziennie umierają w Polsce 1134 osoby! (Dane za 2018 r.).

Po trzecie wreszcie: czyż Andrzej Duda powinien zawiesić swoją działalność, bo mamy epidemię i w tym okresie wypadają wybory? Powinien opuścić pokład statku, bo jest zagrożony? Jak każdemu człowiekowi można mu to i owo zarzucić, to jasne, ale na pewno nie tchórzostwo. Zresztą, jakież to larum zostałoby wtedy podniesione! – Statek tonie, a kapitan czmychnął, zszedł z pokładu jako pierwszy!

Po to przecież mamy państwo, żeby sobie poradziło również w obecnej, kryzysowej sytuacji. A skoro faktycznie nie można pójść na wybory, to nie powinniśmy chodzić także tam, gdzie chodzimy przecież mimo epidemii koronawirusa codziennie, czyli do pracy (bo ileż osób pracuje zdalnie?), do sklepów, przychodni, piekarń, aptek, do znajomych i rodziny, do parku itd. Tam przecież bardziej niebezpiecznie niż w lokalu wyborczym, który można stosownie przygotować i dużo lepiej zabezpieczyć niż market z tysiącami towarów. A niemające praw wyborczych dzieci oraz młodzież szkolna i tak pozostają zamknięte w domach.

A jeśli już nie wybory tradycyjnie w lokalach, to dlaczego nie korespondencyjnie? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że to jest w ogóle przyszłość przeprowadzania wyborów, które w obecnej formie są po prostu archaiczne – podatne nawet na pogodę, a nie tylko na wirusa. Kluczowa sprawa w wyborach to dobrzy, mądrzy, uczciwi kandydaci. O to trzeba się martwić, a nie taką czy inną metodą ich wybierania.

To tam, gdzie pyszczy się notorycznie o braku praworządności w Polsce, a więc w Europarlamencie, wybory są obarczone totalnym fałszem, bo po ich rozstrzygnięciu nowi europosłowie, całe ich ugrupowania, zmieniają z dnia na dzień swe partyjne barwy i tańczą wg melodii prawie już tylko berlińskich; czasem dla niepoznaki puszczona zostaje Marsylianka. A wybory do władz unijnych? Tam już bez żenady forsowani są ludzie z użyciem presji i gry politycznej, a nie jakichkolwiek demokratycznych wyborów, choćby korespondencyjnych.

Rys. Grzegorz Niedziela

eprasa.pl a4a4bdc682

Z TEKI EWY BARAŃSKIEJ-JAMROZIK, „Karmieni sokiem z buraka".

3.

W 2010 r. Jarosław Kaczyński – a raczej jego otoczenie – uległ demagogii i rezygnując dobrowolnie z największego atutu, przegrał. Wtedy rozumieliśmy jego przytłoczenie psychiczne, jego traumę, więc porażka została mu wybaczona. Nie wolno jednak popełniać tego błędu po raz drugi. To już zresztą nie byłby błąd, lecz ciężki grzech o długofalowych skutkach. Na zarzuty, że Andrzej Duda i PiS chcą wykorzystać zaistniałą sytuację, nie trzeba się wić i tłumaczyć, ale szczerze odpowiadać: ależ tak, oczywiście! Chcemy wykorzystać szansę i mamy do tego pełne prawo, także moralne! Znów ucieknę się do przykładu sportowego. To byłoby tak, jakby np. Kamil Stoch powiedział nagle: wiecie co, rezygnuję ze startu w Turnieju Czterech Skoczni, ponieważ mam za duże szanse w tych zawodach, jestem w tak dobrej formie, że mogę wygrać, a to nie byłoby w porządku wobec innych. Tak wygląda właśnie „logika" demagogów. I ku takiej „logice" zaczynają się już skłaniać niektórzy politycy obozu prawicowego!

Od razu powiem, że nie mam tu na myśli Jarosława Gowina, bowiem wg mnie on nigdy nie należał szczerze do prawicy. Ale pal sześć Gowina, chodzi o to, żeby inni się nie załamywali. A żeby się nie załamywali, muszą mieć przykłady zdecydowania, odwagi i patriotycznej niezłomności z samej góry. Żadne kunktatorstwo nie jest tu już przydatne, wprost przeciwnie. Niektórzy wydają się jakby uspokojeni fałszywymi zapowiedziami, że opozycja rezygnuje z kampanii wyborczej. Nic bardziej mylnego; to też element gry, w której tak naprawdę chodzi o to, żeby cały czas istnieć w mediach. A mainstream już będzie wiedział, jak takie bajeczki przetworzyć na pyszną mamałygę wyborczą, którą każe spożywać swoim widzom, słuchaczom i czytelnikom.

Jest jakiś prawdziwy argument za tym, żeby czekać, aż tej targowicy, nazywającej się szumnie opozycją, wzrośnie poparcie? Gdzie jest sens w takim myśleniu? Znów posłużę się moim ulubionym przykładem sportowym, co jest o tyle uzasadnione, że przecież w polityce mamy permanentnie do czynienia z grą. Czy to byłyby uczciwe rozgrywki, gdyby słaba drużyna mogła nagle, przed meczem, zdecydować: nie, dziś nie gramy? Dziś źle się czujemy, mieliśmy nie dość czasu na przygotowanie, poza tym będzie chyba za mało widzów na trybunach, mecz trzeba przełożyć do drugiej rundy. Wiadomo, że żadne normalne rozgrywki wyglądać tak nie mogą. Chcą wygrać za jakiś czas? Proszę bardzo, może im się uda, ale teraz też trzeba przystąpić do meczu. A jak nie – to walkower i do widzenia!

Totalsi wierzą w to, że w wirze tysięcy spraw ludzie za parę miesięcy, za rok, półtora, zapomną, jak opozycja była słaba, fałszywa i bezradna w sytuacji kryzysowej. Podobnie wszak zapomniano szybko, jak jeden z mędrców koalicji PO-PSL tłumaczył z wielkim przekonaniem, że „piniędzy nie ma i nie będzie". Okazało się, że łgał. Że tym sposobem, świadomie czy nie, ale chronił całe wielkie mafie VAT-owskie. „Piniędzy" nie było, ale teraz są i mogą być. Ale być nie muszą, bo przegrana szajka przecież nie odpuszcza.

Wyobraźmy sobie, co by się dzisiaj działo, gdyby ta szajka dalej rządziła… Skóra wprost cierpnie na grzbiecie! Jednak dużo ludzi faktycznie szybko zapomina, zwłaszcza kiedy w tym zapomnieniu bardzo, ale to bardzo pomagają im tzw. niezależne media. Nad Wisłą są one nawet szczególnie niezależne – od prawdy i od Polaków. O czym znana lobbystka usytuowana w ambasadzie USA w Warszawie, Georgette Mosbacher, mogłaby wiedzieć. I być może wie, ale jej interesom nie po drodze jest z prawdą. Oczywiście można chronić w Polsce zagraniczne

eprasa.pl a4a4bdc682

Andrzej Duda i Donald Trump w czasie rozmowy w Białym Domu. Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

interesy, ale na pewno nie wolno wstawiać się – i to całym autorytetem Stanów Zjednoczonych Ameryki! – za interesami tak bardzo antypolskimi i *de facto* antyamerykańskimi. Zachowania pani Mosbacher każą poważnie zastanowić się, kim ona jest naprawdę. Wygląda na to, że bardziej niż swoją Ojczyznę i prezydenta Trumpa reprezentuje kosmopolityczne interesy i takiż światopogląd.

Dokonywanie ocen kandydatów na podstawie kampanii wyborczej, a nie ich dotychczasowych dokonań życiowych, jest fatalną metodą, jest *de facto* sposobem na kamuflowanie już nawet nie tylko słabości, ale po prostu durnoty pretendentów – co widać na każdym kroku. Jest to na pewno jakaś poważna wada systemu wyborczego i demokracji parlamentarnej w ogóle, że o najwyższe urzędy w państwie mogą ubiegać się całkowite miernoty, ludzie nie mający się czym wykazać, ale liczący na marketing polityczny. A ten działa na całego! TVN (kosmopolityczny), Polsat (kosmopolityczny), Wyborcza (roszczeniowe lobby żydowskie), największy dziennik „Fakt" (niemiecki), cała (!) prasa regionalna (niemiecka), największe portale jak onet (niemiecki), wirtualnapolska (kosmopolityczna), interia (niemiecka), czasopisma tygodniowe i miesięczne (niemieckie) – w sumie olbrzymia masa mediowa usiłuje przytłoczyć Andrzeja Dudę. Pracują nad tym dosłownie 24 godziny na dobę. Jednak nie wychodzi!

Przeciwko tej potężnej masie mediowej staje jako poważniejszy przeciwnik tylko TVP, ale i to jest dla tzw. opozycji za dużo. Telewizji publicznej też trzeba zamknąć gębę. Bo chodzi o to, żeby nikt nie powiedział prawdy. Bo jak jeden powie, to prawda jednak rozejdzie się po kraju; wolniej co prawda, nie do wszystkich dotrze, ale jednak błyśnie swoim blaskiem.

Skromniutkie publikatory przychylne PiS-owi i w ogóle obozowi patriotycznemu stoją w proporcji do mediów obozu cudzoziemskiego, antypolskiego mniej więcej w skali 1:8. Mimo to, kandydaci posiadający za sobą ośmiokrotnie (!) silniejszą potęgę mediową nie mogą się przebić ponad próg choćby 20 procent. To znaczy, że są kompletnymi zerami. Gdyby PiS zadbał (a zaniedbanie w tej kwestii jest poważnym grzechem) o stworzenie solidnych mediów prawicowych, dzięki którym opinia publiczna byłaby kształtowana w sposób obiektywny i zrównoważony, to taki Budka i spółka zebraliby maksymalnie kilka procent; może nawet nie przekroczyliby progu wyborczego.

Z tego wszystkiego powinna wyciągnąć wniosek ambasador Georgette Mosbacher, zanim zaczęła protestować w „obronie" TVN – i to właśnie w czasie kampanii prezydenckiej! – bo tak naprawdę protestuje przeciwko Andrzejowi Dudzie! Awantura w sprawie telewizji TVN dotyczy sfery politycznej, a nie

eprasa.pl a4a4bdc682

rozrywkowej czy sportowej. Za plecami prezydentów Trumpa i Dudy, którzy co chwilę serdecznie ściskają sobie dłonie, dzwonią do siebie, ślą w świat słowa przyjaźni, za ich plecami pani ambasador prowadzi swoją politykę, jakąś swoją grę. Polacy ze zdumieniem przecierają oczy, kogo nasz wielki sojusznik przysłał na placówkę do Warszawy. Ciekawe, czy sekretarz stanu Mike Pompeo w ogóle wie, jak sobie tu poczyna wysłanniczka Waszyngtonu? Sadzę, że jednak nie wie, ponieważ ma na głowie cały świat, a Mosbacher na pewno nie chwali się w swoich dyplomatycznych raportach, że pragnie obalić prezydenta Andrzeja Dudę. Minister Jacek Czaputowicz już dawno powinien Mike'owi Pompeo to i owo uświadomić.

4.

Tylko dureń nie korzystałby z tego, co daje mu Opatrzność, lub jak ktoś woli, co daje mu los. Tu przypomina mi się pewien stary, mądry kawał idealnie pasujący do tych rozważań. Otóż podczas wielkiej powodzi pewien człowiek czekał na ratunek; woda zalała mu już pierwsze piętro. Podpłynęła pod jego dom łódź, by go zabrać, ale nie chciał do niej wsiąść, bo mówił, że był w życiu tak pobożny, tak gorąco praktykujący, tak ofiarny, że nie potrzebuje żadnej łodzi, bo na pewno uratuje go sam Pan Bóg. Tymczasem woda wciąż się podnosiła, za godzinę sięgnęła drugiego piętra; podpływa kolejna łódź, ale ów człowiek znowu nie wsiada – z tego samego powodu. Wody przybywa i nasz bohater wdrapuje się na dach. Wtedy przypływa po niego łódź po raz trzeci, ratownicy krzyczą: wsiadaj! Ale on uparcie nie wsiada, bo to Pan Bóg go uratuje, a nie jakaś łódź straży pożarnej. Niedługo potem nasz bohater w końcu tonie. Kiedy staje przed obliczem św. Piotra, ma wielkie pretensje, że jego, człeka tak pobożnego, Pan Bóg nie uratował. Na to odzywa się rozeźlony Piotr: durniu, posyłaliśmy ci trzy razy łódź, to czemuś do żadnej nie wsiadł?!

Mam nadzieję, że tym razem kierownictwo PiS-u oraz sam Prezydent nie dostosują się do podstępnej strategii Platformy i spółki. Scenariusz znów zapełnia się trumnami – tym razem nie poległych pod Smoleńskiem, ale zmarłych od koronawirusa. Demagodzy zamiast zostawić te trumny w spokoju i zadumie, bez żenady sami wsiadają na nie i harcują niczym na rozwierzganych rumakach po wyborczym polu. I jeszcze wrzeszczą: Patrzcie, ludzie, jak PiS i Duda lekceważą śmierć swoich rodaków!

Oczywiście niejeden boi się dziś wyjść z domu i tak samo będzie bał się jeszcze 17 lub 23 maja (bo pewnie wtedy ostatecznie odbędą się wybory). Strach to element natury człowieka. Nie jest ani szczególną cechą typową dla Polaków, ani nie jest przypisany zwolennikom jakiejś określonej frakcji politycznej. Jest równo rozłożony po wszystkich opcjach politycznych i jeżeli lękliwi nie pójdą do wyborów, to nie pójdą proporcjonalnie do notowań swoich kandydatów. Więc o zafałszowaniu wyników głosowania z powodu frekwencji mowy być nie może.

Kłamstwa na ten temat oraz podjudzanie przeciwko Polsce szczególnie za granicą są hańbiące i podłe. Sformułowania takie jak np. Kidawy-Błońskiej w dużym lewackim dzienniku hiszpańskim „El País" (chętnie udostępniali swe łamy także Michnikowi): „Polacy widzą, jak się ogranicza ich wolności, ich prawa" (jeden z wielu cytatów), to nic innego jak targowica XXI wieku – zarówno z powodu treści wypowiedzi, jak i przemawiania jakoby w imieniu całego narodu. Ta kandydatka na prezydenta oraz inni jej podobni powinni się cieszyć, że w Rzeczypospolitej nie postępuje się już dziś ze zdrajcami tak, jak czyniono to pod koniec wieku XVIII. Mamy jednakże stosowny, prosty i oczywisty, paragraf 133 KK: „Kto publicznie znieważa Naród lub Rzeczpospolitą Polską, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Kidawa-Błońska we wspomnianym wywiadzie (i w dziesiątkach innych przypadków) obraziła Rzeczpospolitą. Stwierdziła przy tym kolejny raz, że w Polsce brak praworządności. Z tym ostatnim musze się z nią zgodzić. Prawdziwa praworządność zacznie się u nas wtedy, gdy wreszcie będzie stosowany, także w stosunku do niej, ww. paragraf 133, bo od momentu jego ustanowienia jest to przepis martwy, choć znane są naprawdę liczne przypadki, dużo drastyczniejsze niż Kidawy-Błońskiej, znieważania naszego narodu i kraju.

Mam nadzieję, że prezydent Andrzej Duda, gdy zacznie urzędowanie w drugiej kadencji, ukróci to bezprawie.

Jean Pierre Norblin, „Wieszanie zdrajców". Artysta przedstawił moment zawiśnięcia na szubienicy portretu głównego targowiczanina, generała artylerii koronnej Szczęsnego Potockiego. W czasie Insurekcji Kościuszkowskiej ów arcyłotr uniknął co prawda stryczka, ale w 1805 r. zmarł w niesławie jako bankrut polityczny i moralny. Fot. Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

Z JANEM PAWŁEM II NA DRODZE KRZYŻOWEJ

NOWOŚĆ

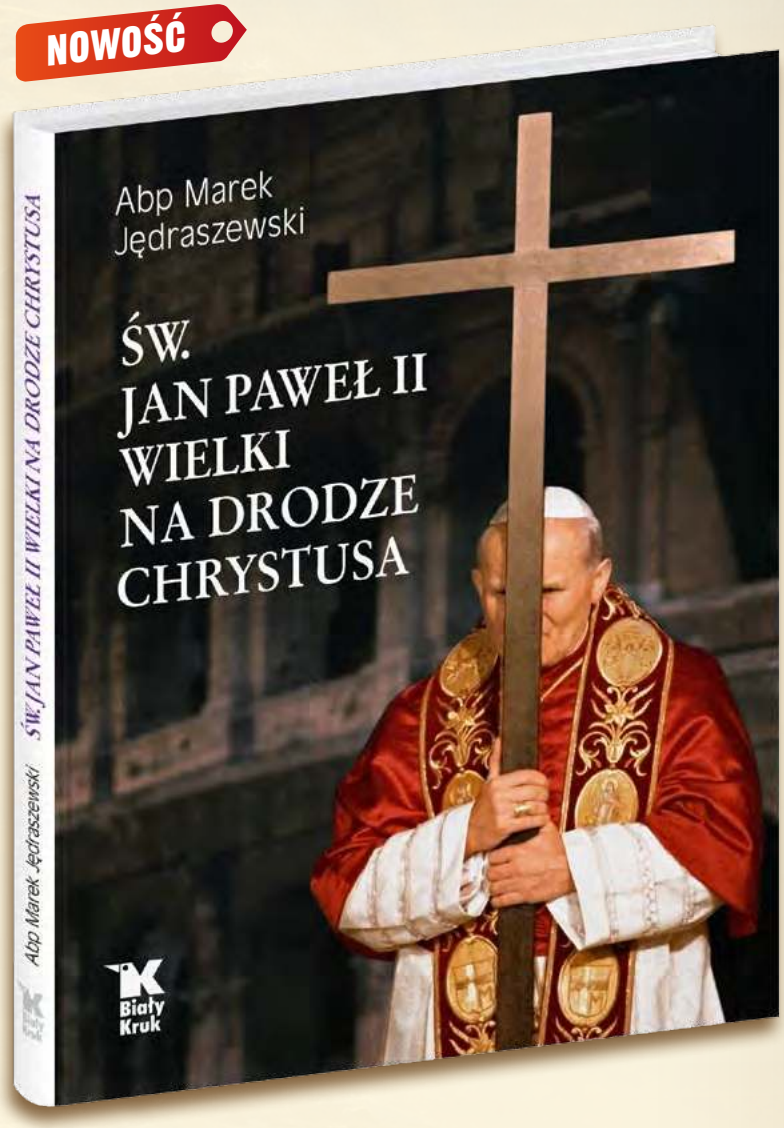

Chrystusa nie można wyłączać z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu na ziemi" – mówił Jan Paweł II w homilii wygłoszonej 2 czerwca 1979 r. na Placu Zwycięstwa w Warszawie. Krzyż Zbawiciela, tak nieodmiennie wpisany w historię każdego (i każdej) z nas Papieżowi Polakowi towarzyszył w sposób szczególny. Znany z odwagi w głoszeniu Słowa Bożego arcybiskup Marek Jędraszewski prowadzi rozważania Drogi Krzyżowej, opisując przejmujące cierpienie Zbawiciela i ukazując zadziwiające podobieństwo Męki Pańskiej z życiową drogą Ojca Świętego. Posługuje się piękną polszczyzną, ma też niezwykłe wyczucie dramatyzmu sytuacji. Nie jest łatwo pisać o wstrząsających cierpieniach Boga, który podjął się tej najtrudniejszej drogi z miłości do człowieka. Metropolita krakowski sprostał temu trudnemu zadaniu, tworząc prawdziwą perłę literatury pasyjnej, mającej przecież bogatą tradycję w Polsce, której historia tak mocno wpisała się w Chrystusową Mękę.

Zamieszczone w tej cennej pozycji wydawniczej Białego Kruka reprodukcje arcydzieł światowego malarstwa, jak również niepowtarzalne zdjęcia Jana Pawła II wykonane przez mistrza obiektywu Adama Bujaka tworzą nastrój sprzyjający kontemplacji Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Na pewno warto pójść za Nim.

112 str.,
16,5 x 22,5 cm,
twarda oprawa
Cena detal. **29** zł
www.bialykruk.pl

Zamów telefonicznie lub e-mailem! Pomóż przetrwać!

Biały Kruk

ZAMÓWIENIA: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a4a4bdc682

Jeśli zapomnimy o opisywanej w tej książce historii, nasze „szklane domy” mogą się pewnego dnia zawalić

Imperium zła działa przez połączenie kłamstwa i strachu

Prof. Andrzej Nowak

Prezentujemy fragment wprowadzenia do najnowszej książki prof. Andrzeja Nowaka, przygotowanej specjalnie na Rok Bitwy Warszawskiej, zatytułowanej „Klęska Imperium Zła. Rok 1920”. Jest to najważniejsza publikacja w związku ze 100-leciem Cudu na Wisłą, opracowana i wydana przez Białego Kruka mimo stanu epidemii.

Termin „imperium zła” ma swoją historię. Użył go po raz pierwszy prezydent Ronald Reagan. Było to 8 marca 1983 roku, w przemówieniu wygłoszonym na dorocznej konwencji Narodowego Zgromadzenia Ewangelików, odbywającej się wówczas w Orlando na Florydzie. Szczególnie przesycony moralnymi, a nawet religijnymi odniesieniami ton tego przemówienia podsuwała już sama okazja, charakterystyczna dla związku między amerykańską polityką (zwłaszcza – choć nie tylko – w wydaniu konserwatywnym) a potężnymi chrześcijańskimi ruchami religijnymi. Na spotkaniu z ewangelikami prezydent „ustawił” politykę bez reszty w perspektywie zmagań dobra i zła. W ten wymiar także przeniósł zmagania z systemem sowieckim. Przypominając swoje uwagi z pierwszej konferencji prasowej, powtórzył, że sowiecki przeciwnik uznaje jedynie moralność sukcesu rewolucji, odrzucając fundamentalne, właściwe całej judeochrześcijańskiej i – szerzej – humanistycznej tradycji rozróżnienie dobra i zła. (…) Drugą zasadniczą cechą owego systemu jest wpisanie w program sowieckiej polityki zewnętrznej ekspansji, której celem jest podporządkowanie wszystkich narodów świata. Ci, którzy realizują ten program – przywódcy sowieckiego imperium – nazwani są w tym miejscu przez amerykańskiego prezydenta „centrum zła [*focus of evil*] we współczesnym świecie”. (…)

W innej swojej wielkiej mowie, wygłoszonej nieco wcześniej, w sierpniu 1982 roku, w parlamencie brytyjskim – Ronald Reagan skupił się na Polsce, na wyjątkowej roli, jaką w owej walce odgrywała i gra nadal (przypomnijmy: to był rok niewygasłych protestów „Solidarności” przeciwko stanowi wojennemu wprowadzonemu przez Wojciecha Jaruzelskiego – na polecenie Moskwy). „Polska nie jest ani Wschodem, ani Zachodem. Polska jest w centrum europejskiej cywilizacji. Wniosła do tej cywilizacji wielki wkład. Dziś czyni to przez swą wspaniałą niezgodę na zniewolenie”. Tak mówił prezydent w przemówieniu, w którym zrównał całkowicie dwa totalitaryzmy XX wieku, stawiając w jednym rzędzie „Auschwitz i Dachau, Gułag i Kambodżę”. (…)

Termin „imperium zła” został błyskawicznie wyszydzony przez tych, którzy bronili – tak jak to opisywał amerykański prezydent – „równego rozłożenia racji” między tych, którzy strzelają i tych, do których strzelano: w 1953 w Berlinie, w 1956 w Budapeszcie, w 1968 w Pradze, w 1981 w kopalni „Wujek”… Ale samo pojęcie „imperium” zaczęło stopniowo przenikać do naukowego opisu sowieckiego fenomenu panowania, tak wewnątrz ZSRS, jak i wobec jego „satelitów”. W momencie rozpadu – między 1989 a 1991 rokiem – stało się już „monetą obiegową” studiów nad Związkiem Sowieckim i towarzyszy odtąd całej, wysokiej fali badań porównawczych, nazywanych przeze mnie żartobliwie „imperiologią”.

Tu jednak chcę zaproponować skupienie uwagi Czytelników wokół jednego przypadku, jednego z pierwszych przykładów historycznej ekspresji zjawiska, które opisał Ronald

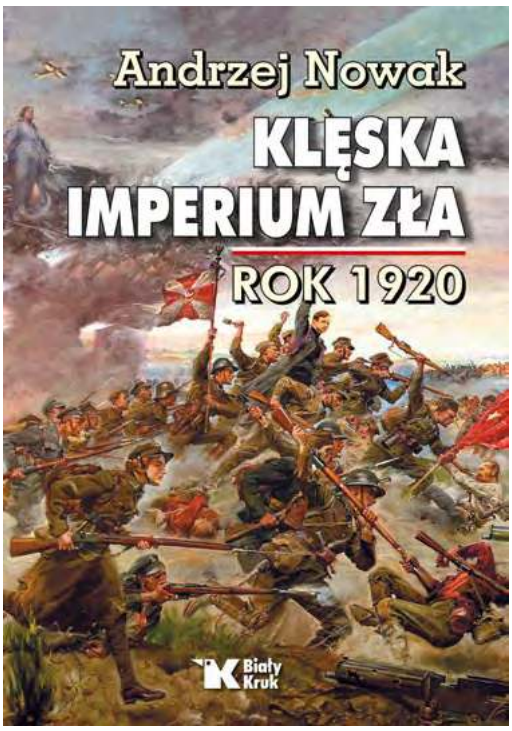

Okładka najnowszej książki profesora Andrzeja Nowaka. Wybitny historyk i tym razem stworzył dzieło znakomite pod każdym względem. Fot. Biały Kruk

eprasa.pl a4a4bdc682

Reagan. Chodzi o ujawnienie agresywnego sowieckiego imperializmu, jego specyficznej ideologii oraz narzędzi podboju – w momencie otwartego ataku na Warszawę, na Polskę, na system wersalski, na Europę i cały „świat kapitalistyczny". Chodzi o to, co umownie oddajemy tą datą, którą wspomniał także Ronald Reagan: o rok 1920. (…)

Jest gorące lato 1920. Armia Czerwona, prąca przez „trupa białej Polski" na Berlin, prowadzi w swoich taborach nową władzę dla Polaków: Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. 4 sierpnia szykujący się już do wkroczenia do Warszawy przywódcy Komitetu, Feliks Dzierżyński, Julian Marchlewski, Feliks Kon – wydają rozkaz. Napisany oczywiście po rosyjsku, nie po polsku, miał być wykonywany nie tylko na terenie nowej Polskiej Republiki Sowieckiej, ale także na wymienionych odrębnie Litwie, Białorusi, Ukrainie, Wołyniu i Podolu. Brzmi tak: „wszystkich [ludzi] niebezpiecznych dla socjalistycznej rewolucji w Polsce, wszystkich przedstawicieli polskiej wielkiej burżuazji i szlachty, wszystkich znanych ze swej sympatii dla białopolaków – aresztować i skierować do obozów koncentracyjnych [*naprawit' w konclagierja*]".

Obozy koncentracyjne bolszewicy wprowadzili na kontynent europejski już w 1918 roku, w bezwzględnej rozprawie ze swoimi przeciwnikami w samej Rosji. Teraz chcą nieść tę nową metodę terroryzowania i unicestwiania przeciwników swojej ideologii do środka Europy. Ale zostają zatrzymani w bitwie warszawskiej przez Piłsudskiego, Sikorskiego, Hallera i ich żołnierzy. (…)

Zabijać niewinnych ludzi w sąsiednich krajach, by wzbudzić strach, by wyrabiać w ten sposób postawę trwożliwej podległości sowieckiemu imperium – o to tutaj chodzi. Jednocześnie owo imperium udaje, że nie ma z aktem terroru nic wspólnego. Ale przecież chce zarazem, żeby się domyślano, kto za nim stoi. Tak właśnie buduje się strach. Tak w praktyce działa „imperium zła": przez połączenie kłamstwa i strachu, przez ich tajemniczą miksturę.

Niniejsza książka o tym właśnie traktuje. Ale także o tym, jakie znaczenie w walce ze strachem i kłamstwem, które imperium rozprzestrzenia ze swego centrum, ma Polska. Punktem wyjścia do tej opowieści jest doświadczenie roku 1920, powstrzymany wtedy pod Warszawą szturm Armii Czerwonej na Zachód. Zaczynamy więc od obszernego eseju, który przypomina sowiecko-polską wojnę, jej genezę i znaczenie. (…)

Drugą płaszczyznę, na której tworzyła się polska antytoksyna, można opisać poprzez historię poszukiwania pomysłów na rozbicie imperium. Jak tworzyła się, od połowy XVIII wieku jeszcze, wizja Imperium Rosyjskiego jako „więzienia narodów" i plany rozwalenia jego murów poprzez zorganizowanie buntu więźniów: buntu narodów zniewolonych, pod polskim przewodem, „za naszą i waszą" – to temat drugiego z zebranych w tej części tekstów. Podobnie jak pierwszy, prowadzić ma on do zrozumienia sposobu reakcji odrodzonej Polski na zagrożenie odbudową tego więzienia przez nowe, uzbrojone w marksizm kierownictwo imperialnej władzy.

Trzeci z tekstów w tej części mówi już bezpośrednio o doświadczeniach i planach samego Józefa Piłsudskiego, które poprzedziły i formowały jego politykę na czele państwa polskiego, jego plan działania wobec rekonstrukcji imperium na wschodzie.

Część następną wypełniają rozważania wokół pytania, czy zwycięstwo w roku 1920 mogło być trwałe, pełne? I dlaczego jednak nie było? Tu kieruję uwagę Czytelników ponownie w stronę kwestii postawy mocarstw zachodnich wobec wojny sowiecko-polskiej. (…)

Drugie zagadnienie, jakie w tej części omawiam szerzej, to z kolei bierność Waszyngtonu wobec wydarzeń w Europie Wschodniej w roku 1920, podszyta faktyczną niechęcią wobec polskiej polityki na tym obszarze i nieskrywanymi nadziejami na odrodzenie wielkiej Rosji jako „właściwego" partnera dla Ameryki.

Część ostatnia tych rozważań prowadzi nas w kierunku współczesnej wojny o pamięć, w której imperialne sowieckie kłamstwo staje się znów kluczowym elementem. Staram się tutaj uchwycić moment, rok 2005, kiedy raz jeszcze krzepnie historyczna formuła tego kłamstwa: imperium jest najważniejsze, jego wielkość, jego słuszna dominacja nad sąsiadami. Cokolwiek służyło poszerzaniu imperium – jest w owej „moralności" dobre. A co przeszkadza w procesie ekspansji i dominacji – jest złe. W takiej perpektywie ukazuje się spojrzenie, jakie ponownie narzuca propaganda Rosji Władimira Putina na rok 1920, na obraz Polski – wroga. W kolejnych tekstach opisuję, jak tworzyła się w ostatnich dwóch dekadach swoista formuła zakłamywania historii stosunków rosyjsko-, a przede wszystkim sowiecko-polskich, zwłaszcza w XX wieku. Dziś, w roku 2020, mamy do czynienia z rezultatami tego procesu, którego wcześniejsze etapy śledzę w tekstach zebranych w tej ostatniej części. (…)

Chłopcy z 5 pp. Legionów podczas odwrotu spod Kijowa jako żywo przypominali żołnierzy-tułaczy z „piosenki starej, wojsku polskiemu tak miłej"… Fot. Archiwum kpt. Adama Paulo de Silvy

eprasa.pl a4a4bdc682

Kartka wysłana do kpt. Adama Paulo de Silvy, jeńca wojennego przebywającego w obozie w Starobielsku. Żona kapitana, Zofia, pisząc ten wzruszający liścik, nie mogła wiedzieć, jak tragiczny los spotka jej męża i jego towarzyszy broni… Fot. Biały Kruk

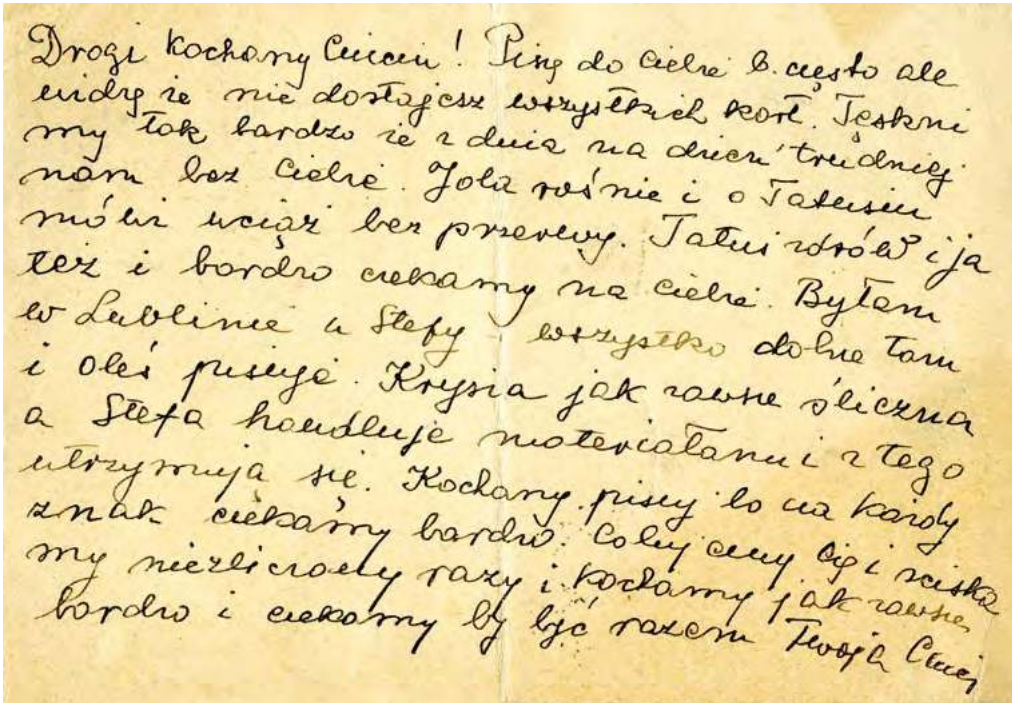

Drogi Kochany Cieciu! Piszę do Ciebie B. często ale widzę że nie dostajesz wszystkich kart. Tęsknimy tak bardzo że z dnia na dzień trudniej nam bez Ciebie. Jola rośnie i o Tatusiu mówi wciąż bez przerwy. Tatusiu zdrów i ja też i bardzo czekamy na Ciebie. Byłam w Lublinie u Stefy wszystko dobre tam i oleś pisuje. Krysia jak zawsze śliczna a Stefa handluje materiałami i z tego utrzymują się. Kochany pisz do nas każdy znak czekamy bardzo. Całujemy Cię i ściskamy niezliczoną razy i kochamy jak zawsze bardzo i czekamy by być razem Twoja Cecy

Musimy więc przede wszystkim pamiętać o ofiarach. Dlatego za przewodnika po tej tematyce, po tej książce, wybrałem jedną z ofiar. To kpt. Adam Paulo de Silva (pośmiertnie awansowany do stopnia majora), urodzony 14 stycznia 1902 roku w Brzeżanach, syn Alojzego i Wandy. Jako siedemnastolatek bierze już udział w walkach z Armią Czerwoną, w roku 1919 w składzie 4. Pułku Piechoty Legionów, a w następnym roku w 2. Pułku Artylerii Polowej Legionów. Szlak bojowy jego jednostki prowadzi przez Baranowicze, Mińsk, Mołodeczno, Radoszkowice, Borysów, nad Berezyną i w Puszczy Nalibockiej. (…) Młody Adam Paulo de Silva zebrał po drodze kolekcję zdjęć dokumentujących nie tylko ten szlak, ale również przebieg operacji kijowskiej z kwietnia–czerwca 1920 roku. Obrazy walk, zniszczeń, śmierci, heroizmu i codziennej biedy, czasem humoru żołnierskiego. Publikujemy je tutaj. Mówią pewnie więcej niż całe rozdziały naukowych monografii.

Ale najwięcej mówią dwie jeszcze, zamykające tę kolekcję, karteczki. W 2. Pułku Artylerii Polowej Legionów, stacjonującym w Kielcach, dosłużył się Adam Paulo de Silva stopnia kapitana, założył rodzinę, doczekał się małej córeczki. Tymczasem Stalin porozumiał się z Hitlerem. Niemcy zaatakowały 1 września. 2. Pułk Artylerii Polowej Legionów walczył w składzie Armii „Łódź", pod Zapolicami, Borową Górą, Ołtarzewem, w obronie twierdzy Modlin. 17 września od wschodu uderzyła Armia Czerwona. Dwa „imperia zła" spotkały się pięć dni później na paradzie zwycięzców w Brześciu nad Bugiem.

Kapitan Paulo de Silva, jak tysiące innych oficerów Wojska Polskiego, dostał się do sowieckiej niewoli. Dla polskich oficerów zawodowych władze sowieckie przeznaczyły obóz w Starobielsku, na wschodniej Ukrainie. Pierwszy transport przybył tam już 28 września. Do połowy listopada przywieziono ponad 11 tysięcy więźniów. Szeregowych i podoficerów zwalniano, przybywali natomiast oficerowie z innych obozów. Po 20 listopada przyznano więźniom prawo korespondencji (oczywiście cenzurowanej) z rodzinami. Cofnięto ten przywilej 16 marca 1940 roku. Tydzień wcześniej kpt. Paulo de Silva zdążył nadać swą ostatnią kartkę do rodziny. „Ja jestem zdrów, żadnych braków nie odczuwam, tylko ta troska, tęsknota za Wami jest bardzo ciężka…". Prosty komunikat. Na odwrocie pieczątka sowieckiej poczty z 10 marca 1940 roku. Adres nadawcy: Gorod Starobielsk, pocztowyj jaszczik No. 15. Adres odbiorcy: Giermanija, Generalgouvernement Polen, gorod Kielce…

Zachowała się w zbiorach rodzinnych jeszcze jedna karteczka. Została wysłana przez żonę kpt. Paulo. Na kartce znaczki poczty Generalnego Gubernatorstwa z Władysławem Jagiełłą i Jadwigą, na które nabita jest czarna „wrona" III Rzeszy. I jest pieczątka poczty sowieckiej, z datą 22 maja oraz jeszcze jedna: *Retour parti* – oznaczająca zwrot listu. Kartka dotarła do Starobielska i została odesłana do nadawcy. Poczta między ZSRR i III Rzeszą funkcjonowała bardzo sprawnie. Tylko adresat nie odebrał przesyłki. (…)

Czy ta historia jest skończona, zamknięta? Niestety, jeśli zapomnimy o opisywanej w tej książce historii, jeśli oddamy ją tym, którzy chcą zakłamać prawdę o „imperium zła", chcą odwrócić znaczenia, a w końcu wyjść poza dobro i zło – wtedy nasze „szklane domy" mogą się pewnego dnia zawalić. „Pod gałęziami lip biesiada" – może zostać przerwana. Dlatego musimy pamiętać o roku 1920. I o tym, co było dalej.

eprasa.pl a4a4bdc682

ZWYCIĘSTWO OD NAS ZALEŻY DO BRONI! NA FRONT!

Jeden z największych erudytów XXI w. i światowej sławy znawca stosunków sowieckich, prof. Andrzej Nowak, odsłania przebieg i kulisy wojny z bolszewikami. Nie tylko militarnej, ale także politycznej i społecznej. Obala powstałe przez ostatnie 100 lat mity. Dokładnie przedstawia plany Józefa Piłsudskiego, mistrzowsko odwzorowuje przebieg Bitwy Warszawskiej. Analizuje zachowania trzech mocarstw, które – chociażby na papierze – były sojusznikami Polski: Francji, Wielkiej Brytanii i USA. Autor demaskuje ich nieraz bardzo dwulicową dyplomację, obnaża hipokryzję ówczesnych elit politycznych Zachodu, które gotowe były poświęcić Polskę kosztem Rosji, nieważne czy białej czy czerwonej. Powołuje się na najnowsze badania, a także na własne, odkrywcze kwerendy w archiwach rosyjskich (kiedy było wolno), brytyjskich i amerykańskich.

Książka bardzo bogata także w warstwie ilustracyjnej. Blisko 40 nigdy dotychczas niepublikowanych zdjęć frontowych z lat 1919–1921 uczestnika walk kpt. Adama Paulo de Silva. Fotografie naszych polskich żołnierzy sprzed 100 lat, zmęczonych czy okaleczonych, ale bohatersko walczących, są szczególnie wzruszające. Cenne uzupełnienie stanowią inne zdjęcia (ponad 70). Najwyższy poziom edytorski; dzieło godne obchodzonego właśnie Roku Bitwy Warszawskiej, z okazji jej 100-lecia.

✆ Zamów telefonicznie lub e-mailem! Pomóż przetrwać!

Biały Kruk

ZAMÓWIENIA: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a4a4bdc682

368 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy, twarda oprawa
Cena detal. **69** zł
www.bialykruk.pl

PREMIERA 24.04.20

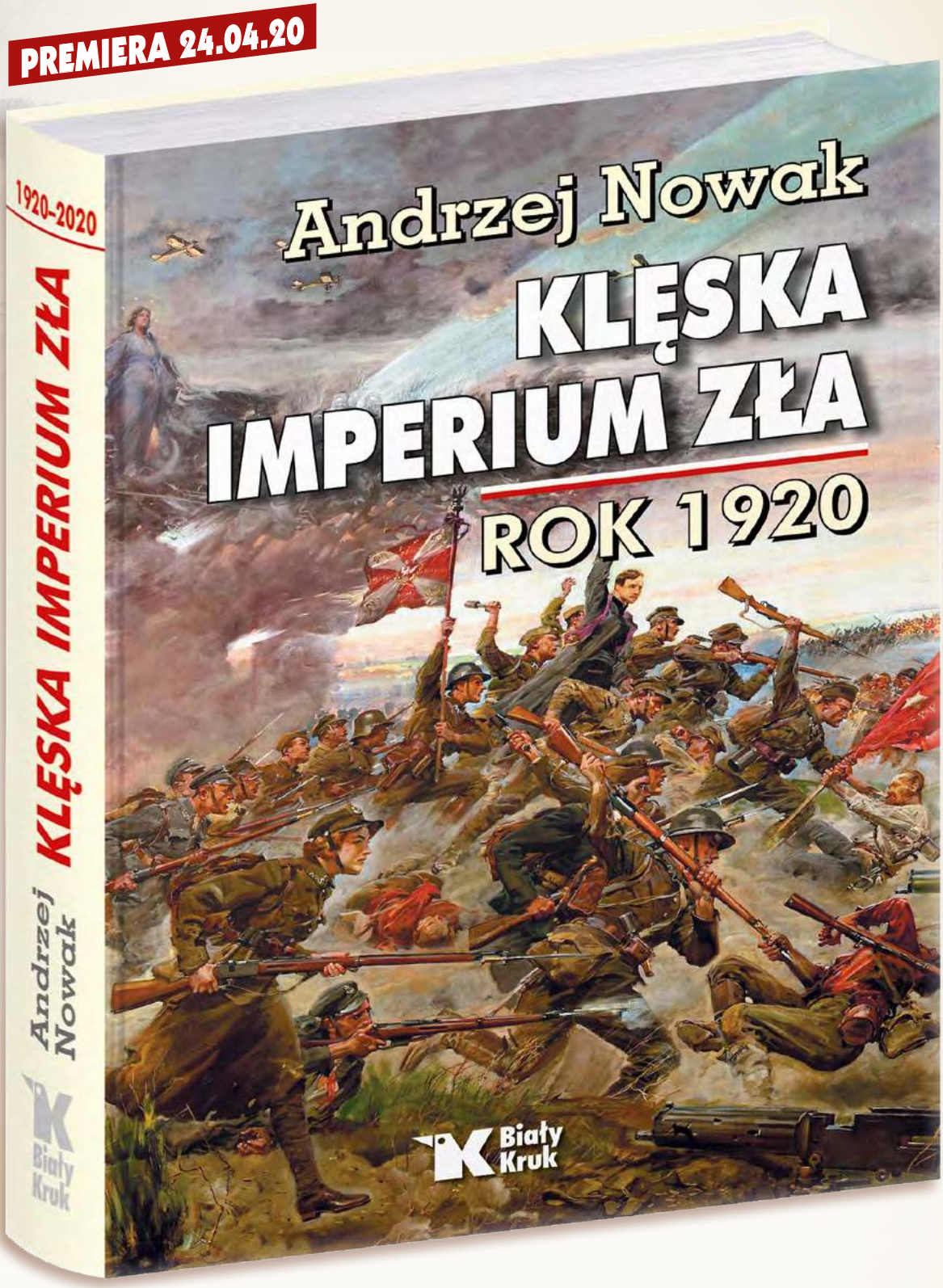

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl a4a4bdc682

Priorytety prezydentury Andrzeja Dudy

Suwerenność i wiara

Leszek Sosnowski

Jest pierwszym polskim politykiem III RP na wysokim stanowisku państwowym, który za absolutny, niekwestionowany priorytet w swym działaniu uznał nierozłącznie suwerenność kraju oraz wiarę (chrześcijańską, rzecz jasna). Wbrew lewackiej propagandzie uprawianej *de facto* od XIX wieku, kultywowanie tych wartości wcale nie zawęziło mu horyzontów, nie zacieśniło poglądów i nie usytuowało w zaścianku. Wprost przeciwnie! Postawa prezydenta Andrzeja Dudy i jego gabinetu na czele z Krzysztofem Szczerskim przez całą kadencję sytuowała go – a przez to i Polskę – jako postać wyrazistą nie tylko na rodzimej, ale i na międzynarodowej scenie politycznej.

Nie bardzo zgodziłbym się z prof. Jackiem Czaputowiczem, teraz ministrem spraw zagranicznych, który w swej bardzo ciekawej książce wydanej w 2013 r. pt. „Suwerenność", rozważa i akceptuje stopniowanie lub natężenie suwerenności. Należę do tych, którzy są przekonani, że suwerenność ma się albo się jej nie ma, że w praktyce nie da się jej ułamkować, że nie istnieje ona w postaciach częściowych. Inaczej rzecz wygląda w przypadku niepodległości. Bo tak, jak można być w różnym stopniu podległym, tak samo i można być w różnym stopniu niepodległym. Wiemy, choćby z bogatej ojczystej praktyki ostatnich 200–300 lat, że narody mogą funkcjonować w stanie częściowej niepodległości nie tracąc swoich właściwości i swego charakteru. Bez suwerenności jest to praktycznie niemożliwe; wcześniej czy później nadchodzi bowiem wynarodowienie połączone częstokroć z wykrwawieniem. Odnoszę wrażenie, iż tak właśnie myśli prezydent Andrzej Duda, dla którego suwerenność jest czymś niepodzielnym. Czymś podstawowym dla bytu narodu. Czymś, co należy chronić za wszelką cenę, czego nie wolno rozmieniać na drobne.

Oczywiście obserwując ostatnie poczynania tak Europarlamentu, jak i Komisji Europejskiej, możemy zadawać sobie pytanie, czy my jako III RP naprawdę jesteśmy jeszcze suwerenni? Nie wiem, czy jest na to pytanie dobra odpowiedź… W każdym razie na pewno wyciągają się w naszym kierunku łapy usiłujące wyszarpać nam pełną niezależność, pozbawić nas faktycznego samostanowienia. Te łapy zresztą wyciągają się nie tylko z Brukseli czy ze Strasburga.

Rzecz jasna, żaden kraj w XXI w. nie istnieje w pełnej izolacji i absolutnej niezależności. Nawet mocarstwa mają swoje afiliacje, korelacje i związki. Ale chodzi o to, aby móc samemu swobodnie ustalać swoje zależności, móc je korygować i zamieniać albo w stosownym dla siebie momencie w ogóle z nich rezygnować. Taką swobodę decyzji w kwestii suwerenności zwalcza właśnie sterowana przez lewaków i Niemców Unia Europejska. Uzurpuje sobie ona wściubianie nosa tak w politykę zagraniczną państw członkowskich, jak i od pewnego czasu, a w Polsce dokładnie od wygrania wyborów przez PiS, w politykę wewnętrzną.

Wyraźnie Unii Europejskiej integracja myli się z ingerencją.

Andrzej Duda jasno skomentował kierunek, jaki obrała ostatnimi czasy Unia, kiedy we wrześniu 2018 r. na Ostrowie Tumskim w Poznaniu mówił podczas Zebrania Plenarnego Rady Konferencji Episkopatów Europy: „Chcemy przypominać bliźnim w innych krajach Europy o uniwersalnych wartościach, które nas wszystkich łączą, zwłaszcza zaś o solidarności, która powinna być zasadą w naszych wzajemnych relacjach. Pragniemy, aby pierwotne chrześcijańskie inspiracje, którymi kierowali się ojcowie założyciele Unii Europejskiej, pozostały podstawą łączącą państwa i narody naszego kontynentu. Stałe powracanie do nich i refleksja nad tym, co pozwoliło zjednoczyć nasze siły i budować wspólny europejski dom, jest bowiem receptą na kryzys, który dotknął zjednoczoną Europę. Jest kluczem do skutecznych reform, jest kluczem do dalszego pomyślnego i szczęśliwego rozwoju".

Prawdę powiedziawszy, przy takiej polityce UE jak obecnie dochodzi się do wniosku, że jednak rację miał XVI-wieczny myśliciel Bodinus (Jean Bodin, 1530–96), pierwszy poważny teoretyk suwerenności. Położył on podwaliny ideowe pod funkcjonowanie władcy (państwa) absolutnego, bo absolutyzm gwarantował wg niego suwerenność, choć, rzecz jasna, tylko najsilniejszym. Unia dąży właśnie – choć nigdy by tego otwarcie nie przyznała! – do absolutyzmu. Jean Bodin stwierdził jednak, że państwo suwerenne to takie, dla którego najwyższym i jedynym odniesieniem jest Bóg. Bodinus konkludował bowiem, że skoro wszelka władza pochodzi od Boga, to król może rządzić w sposób niekontrolowany przez ludzi. To właśnie dokładnie tak, jak chce Unia! Odrzuca ona wszelką kontrolę, a co dopiero krytykę. Odrzuca jednak również jako wsteczne i nieracjonalne odniesienie do Boga, co Bodinus surowo potępiał, uznając za tyrana i uzurpatora władcę, który nie respektuje praw boskich i naturalnych.

Jak dobrze wiemy, teoretycy oraz przywódcy Unii kwestionują nawet prawo naturalne, co dopiero Boskie. Skąd że zatem pochodzi władza UE i jakie ma ona punkty odniesienia? Na pewno nie pochodzi z demokratycznych wyborów, choć stwarzany jest taki pozór, a za punkt odniesienia najczęściej brane są dyspozycje przesyłane, mniej lub bardziej dyskretnie, z Berlina. Tego właśnie nie mogli ścierpieć Brytyjczycy i w końcu podziękowali niemieckiemu centrum dowodzenia za hegemonię; jednakowoż po ich wystąpieniu na grzbiety wszystkich pozostałych państw członkowskich spadł jeszcze większy ciężar niemieckiej dominacji. Jednak coraz mniej krajów godzi się z tym, w tym i Polska, gdzie głową państwa jest od pięciu lat człowiek o wolnej duszy i niezależnej mentalności. Zupełnie inny od wszystkich jego powojennych poprzedników.

Argumentuje się, że dla utrzymania jedności Unii konieczne jest przekazanie różnych uprawnień Brukseli. Zapytajmy jednak, co ze swej niezależności przekazali Niemcy innym krajom? Pytanie retoryczne – wiadomo, że nic. Kraje członkowskie powinny

eprasa.pl a4a4bdc682

przyjrzeć się polskiej historii, bo na jej przykładzie widać wyraźnie, do czego prowadzi owo przekazywanie kompetencji. Nawet dobrowolne i niewielkie odstępowanie komuś uprawnień do swojego państwa jest niezwykle niebezpieczne, otwiera bowiem drogę do wnętrza kraju. Prowadzi do sięgania po resztę uprawnień, do coraz głębszej ingerencji, do rozbudowywania zależności aż do granic zniewolenia. Nie ma chyba lepszego przykładu w historii Europy na potwierdzenie tego poglądu niż droga do rozbiorów Rzeczypospolitej, która wszak przez kilka wieków była prawdziwym mocarstwem. Rozbiory wcale nie zaczynają się w 1772 r., ale ponad pół wieku wcześniej, podczas sejmu niemego w 1717 r. (zaledwie 34 lata po triumfie Sobieskiego i Rzeczypospolitej pod Wiedniem!) oraz w 1732 r. podczas podpisania wymierzonego w swobodę obioru polskiego króla traktatu między Rosją, Prusami i Austrią, tzw. traktatu Löwenwolda.

Do podobnych refleksji skłaniało kapitalne orędzie wygłoszone przez Andrzeja Dudę z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości. „Polska nie jest niczyją własnością – mówił prezydent w Sejmie. – Polska nie jest nawet naszą własnością, naszego pokolenia. My tylko jesteśmy jej wybrańcami, jej sługami i opiekunami. Polska – wiecznie młoda i zniewalająco piękna, groźna, ale i pełna majestatu – wciąż budzi w nas nowe siły i zdolności, dumę i odwagę, wielkie idee i żywe uczucia. Wzrasta razem z nami. Jest silna naszą siłą i naszymi sukcesami. Opiekę nad tym skarbem przekażemy kiedyś naszym dzieciom i wnukom. Dlatego nie tylko nie możemy go roztrwonić, wręcz przeciwnie, mamy obowiązek, powinniśmy go stanowczo pomnażać. Wykonamy to zadanie, jeżeli zostawimy po sobie silniejsze państwo i dojrzalsze, bardziej zjednoczone społeczeństwo.

Jeżeli nam się to nie uda, historia – niestety być może, a wysoce prawdopodobnie – nazwie nas pokoleniem straconym. Nikt już nie pamięta nazwisk parlamentarzystów z okresu międzywojnia, którzy tu, w tym gmachu, dopuszczali się gorszących ekscesów i wypowiedzi nielicujących z powagą sprawowanej przez nich funkcji. Natomiast pozostała pamięć o tych, którzy swoją wiedzą, rzetelną pracą i umiejętnością dialogu zasłużyli na miano mężów stanu. To oni – podobnie jak szerokie rzesze zwykłych, ciężko pracujących Polaków – nieśli na swoich barkach tysiącletnie dziedzictwo polskiej kultury, tradycji i niezawisłej państwowości. To o nich myślimy dzisiaj z wdzięcznością i podziwem. To w ich dokonaniach, doświadczeniach i przemyśleniach widzimy źródło inspiracji, dumy i nadziei".

Suwerenność w praktyce nie istnieje nie tylko bez silnego państwa, ale bez idei, bez wiary. W naszym, ale i w europejsko-amerykańskim przypadku, bez wiary chrześcijańskiej. I tu znów jakże pouczające są dzieje Rzeczypospolitej! Oczywiście piękne przykłady triumfu wiary na przestrzeni historii mamy w wielu krajach. Ale gdzie przez 123 lata wiara dała radę tyraństwu i opresji trzech potęg militarnych? Gdzie przez kilka pokoleń – mimo niewoli, katorgi, kulturkampfu, poniżania, ponurych i zimnych twierdz, rzezi niewinnych i bezbronnych – wiara utrzymała naród w niezależności ducha, języka, tradycji? Jakże ta wiara musiała być silna! To prawda, że naród cierpiał niemało, ale gdy wyszedł z niewoli, to okazało się, że wciąż ma moc! Potrafił zaledwie w kilkanaście miesięcy zbudować to, na co gdzie indziej potrzeba było dziesiątków, setek lat! W 1919 r. już działały w Polsce systemy administracyjny, sądowniczy, oświatowy, gospodarczy, transportowy, samorządowy, parlamentarny etc. Po kilkunastu miesiącach istnienia odrodzonego państwa, tocząc

Wiara jest ważnym elementem życia rodziny. Od lewej: Agata Duda, Andrzej Duda i Janina Milewska-Duda, matka prezydenta, podczas nabożeństwa w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, 2015 r. Fot. Adam Bujak

eprasa.pl a4a4bdc682

walki praktycznie o wszystkie granice, Polacy odparli i przegonili największą w tamtym czasie potęgę militarną, bolszewicką – bardziej siłą ducha, siłą wiary, siłą patriotyzmu, siłą myśli strategicznej niż siłą czysto wojskową.

Dlatego hańba tym wszystkim łajdakom, którzy plują dziś na naszą wiarę, wiarę naszych ojców, szydzą z Chrystusa – choć oni wszyscy też z Niego! Dziś powinniśmy znacznie częściej mówić: Boże, dzięki Ci za naszą wiarę! Na szczęście doczekaliśmy się prezydenta, który potrafi być Bogu wdzięczny. To powinno być kluczowe w ocenie kandydatów na sterników naszego państwa, a zwłaszcza na kapitana polskiego okrętu. Bo powtórzę, słabe punkty można wyszukać u każdego, także u Andrzeja Dudy, zupełnie natomiast niedobrze, gdy znajduje się tylko te elementy słabe, a mocnych nie widać, choćby nie wiem jak szukać. Jak u jego, pożal się Boże, kontrkandydatów.

Andrzej Duda mając świadomość roli i wagi idei w życiu narodu przestrzega: „Ducha narodu łatwo zatruć fałszywą ideologią. Komunizm, nazizm, kosmopolityzm czy nihilistyczna negacja chrześcijańskiego systemu wartości niszczą łączącą nas delikatną więź kulturową. Zaciemnianie, zafałszowywanie pojęć wprowadza chaos w nasz kod kulturowy. Utrudnia nam wewnętrzną komunikację. Ideologie wprowadzają wrogość między społeczności, powodują rozpad wspólnot. Usiłują postawić się na szczycie hierarchii wartości, odsuwając na dalszy plan naturalne, odwieczne dążenia i aspiracje człowieka. Abyśmy przetrwali jako wspólnota dojrzała, zasługująca na własne, niepodległe państwo, musimy to rozumieć – i zdecydowanie temu przeciwdziałać".

Wielką pomocą dla Andrzeja Dudy we współkierowaniu państwem jest nauczanie św. Jana Pawła II. Powołuje się na nie często, wielokrotnie wzmacniając swą argumentację jego słowami. Ma zdrową potrzebę kontaktu z autorytetami. Został prezydentem jako człowiek młody, zwłaszcza jak na tę funkcję, w trakcie prezydentury, można powiedzieć, wchodził w wiek średni. Tę generację cechuje, niestety, niechęć do autorytetów; trochę przeprały jej mózgi kosmopolityczne media. Andrzej Duda nie jest, na szczęście, typowym pod tym względem przedstawicielem swego pokolenia. Na pewno jest to pozytywny efekt wyniesionego z domu wychowania, co zresztą prezydent chętnie podkreśla. Jest w ogóle człowiekiem rodzinnym, przywiązanym do rodziców, zatroskanym o córkę i, mam nadzieję, że się nie pogniewa, iż o tym mówię publicznie, wciąż zakochanym. Dla jasności dodajmy: wciąż w Agacie!

Skoro mowa o pomocy, trudno mi tu nie wspomnieć o jednym człowieku, którego Andrzej Duda chciał mieć od początku u swego boku jako swą prawą rękę. Wybór ten sprawdził się w stu procentach: to Krzysztof Szczerski, młody, ale już doświadczony, znakomicie wykształcony polityk. To duet Duda – Szczerski wyciągnął Polskę na szeroki świat, a nie błaganie platformianych hochsztaplerów o niemiecką hegemonię, co jakoby miało nam gwarantować „europejskość". Najważniejsze, że obaj mieli te same priorytety: suwerenność i wiarę.

Prezydent, kiedy tylko mógł, podkreślał chrześcijańską tradycję i wielowiekowy dorobek polskiego narodu. Wydobywał rolę Kościoła w życiu państwa i daleki był od zaganiania duchownych i wiernych do kruchty, co nagminnie czynili i czynią jego polityczni przeciwnicy. „Takim dorobkiem – mówił – jest między innymi stworzenie trwałych ram dla obecności w życiu publicznym instytucji religijnych, Kościołów i wspólnot wyznaniowych oraz aktywności świeckich chrześcijan, dla których wiara jest inspiracją do zaangażowania społecznego i politycznego. Do tych ostatnich zaliczam także siebie. Wolność w naszej Ojczyźnie gwarantuje obecność religii w sferze publicznej, a zasadą ustrojową jest zarówno wzajemna autonomia państwa i Kościoła, jak i ich współpraca dla dobra wspólnego. Tymczasem w licznych państwach europejskich urzeczywistnianie wolności obywatelskich prowadzi do spychania wiary w sferę czysto prywatną". Innym razem jasno deklarował: „W Polsce bowiem – inaczej niż w wielu innych krajach Europy – nigdy nie było rozdźwięku między dążeniami niepodległościowymi patriotów a wiarą i głoszącym ją duchowieństwem. Polscy bojownicy sprawy narodowej w świątyniach, klasztorach i plebaniach zawsze znajdowali oparcie, a niekiedy schronienie przed prześladowcami. Duchowni zaś aktywnie włączali się w działania konspiracyjne i powstańcze, sprawując posługę kapelanów, umacniając wiarę i morale żołnierzy powstańców. Kapłani, zakonnice i zakonnicy, angażujący się na rzecz niepodległości, byli też ofiarami prześladowań ze strony zaborców w wieku XIX, a w wieku XX – niemieckich nazistów i sowieckich komunistów, którzy okupowali nasz kraj podczas II wojny światowej, a także ze strony powojennego reżimu komunistycznego przyniesionego na sowieckich bagnetach".

Kościół ma na pewno w Andrzeju Dudzie wielkiego sojusznika i opiekuna. Ciekaw jestem, jak mu się niebawem odwdzięczy… Bo na razie, niektórzy bardzo znani duchowni jawnie popierają takich fircyków bez najmniejszego doświadczenia politycznego, jak np. Hołownia, a prymas Polski ostentacyjnie skłania się ku *genderowym* pomysłom, chętnie opróżnia do zera kościoły pod pretekstem epidemii oraz oświadcza (w antypatriotycznym Radiu Zet), że na wybory nie pójdzie. No bo skoro ma wygrać taki Duda, to co tam będzie robił taki abp Polak… O ile popieranie lewicowych aktywistów przez niektórych duchownych jest w porządku, to już opowiedzenie się za przedstawicielem obozu patriotycznego uznawane jest za mieszanie się do polityki… Dlaczego tak jest? Ależ to proste: bo tak napisała Wyborcza i tak powiedzieli w TVN! Mam jednak nadzieję, że księża proboszczowie, w olbrzymiej większości ludzie patriotyczni i rozumni, popiszą się też odwagą i bez ogródek poprą z ambony reprezentanta suwerennej i chrześcijańskiej opcji.

Andrzej Duda chętnie nawiązuje do idei wolności: „Wolność to wspaniały dar Opatrzności – ale też wielkie wyzwanie. Wolność to wezwanie do tego, byśmy posiadane talenty i możliwości spożytkowali dla umacniania spoistości naszej wspólnoty i siły państwa, nie zaś przeciwnie. Dlatego też warto wracać do nauczania naszego Ojca Świętego, papieża z Polski, naszej ziemi, który podkreślał, że wolność jest nam nie tylko dana, ale jednocześnie zadana. Aby zdać egzamin z wolności, nie wystarczy z niej tylko korzystać, lecz trzeba to robić w sposób, który będzie służył dobru wspólnemu; zbliżał nas i łączył, a nie dzielił; budował poczucie wspólnoty i umacniał Rzeczpospolitą. Jest to, moim zdaniem, jedna z najważniejszych dzisiaj inspiracji, jakie niesie nam chrześcijaństwo i dziedzictwo świętego Jana Pawła II".

To właśnie zasadniczo odróżnia obecnego prezydenta od wszystkich mniej lub bardziej lewicowych polityków, że zdecydowanie odróżnia wolność od swawoli.

Na początku kadencji Andrzej Duda powtarzał czasem, że chce być prezydentem wszystkich Polaków. To był ulubiony zwrot Aleksandra Kwaśniewskiego; cóż on jednak w gruncie rzeczy znaczy? Przecież konstytucja nie mówi o niczym takim, jak „wszyscy Polacy". To jest chwyt marketingowy. Art. 126/1 Konstytucji stwierdza: „Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej jest najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej i gwarantem ciągłości władzy państwowej". Art. 127/1 stanowi zaś:„Prezydent Rzeczypospolitej jest wybierany przez Naród". – I tyle. Jest się prezydentem Polski, nie „wszystkich Polaków", choć na pewno służyć trzeba wszystkim, ale nie w ten sposób, by wszystkim dogadzać, bo to ani możliwe, ani sensowne.

eprasa.pl a4a4bdc682

Prezydenci Polski i USA, Andrzej Duda i Donald Trump, podczas spotkania w Waszyngtonie. Obu panom towarzyszą Pierwsze Damy: Agata Kornhauser-Duda i Melania Trump. Wrzesień 2019. Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

Jest zwyczaj, że osoba wybrana na najwyższy urząd w państwie rezygnuje z przynależności do partii, która ją desygnowała do wyborów i w nich wspierała. To jednak w żadnym wypadku nie powinno oznaczać, że nowo wybrany ma po zwycięstwie odciąć się od swojego środowiska, od swoich wyborców – a do takiego postępowania właśnie cały czas nakłaniały Andrzeja Dudę mainstreamowe media. Gdyby bowiem popierał lewactwo, to na pewno byłby prezydentem wszystkich Polaków, a tak jest tylko prezydentem ciemniaków zgromadzonych w obozie patriotycznym. A to, że tych ciemniaków jest dużo więcej niż oświeconych lewaków, że te ciemniaki podniosły kraj z zapaści i oczyściły (niestety jeszcze nie do końca) z platformiano-ludowych złodziei, to – zgodnie z lansowaną w kosmopolitycznych mediach demokracją liberalną – nie ma rzekomo żadnego znaczenia.

Im bliżej końca kadencji, tym bardziej Andrzej Duda oddalał się od tyleż rozwrzeszczanej, co miałkiej intelektualnie lewej strony sceny politycznej. Na początku robił w tamtą stronę pewne umizgi, nie z przekonania oczywiście, ale chyba za podszeptem fałszywych doradców, którzy sugerowali, że tak nakazuje polityczna „mądrość". Na szczęście szybko zrozumiał, że polska lewica, wyhodowana całkowicie na sowieckich wzorach, nie tylko odrzuca wiarę w Boga, ale nie jest też w stanie zachować światopoglądowej neutralności. Że nie jest w stanie pohamować się od walki o totalną laicyzację społeczeństwa. W tej bezpardonowej walce zaś gotowa jest iść na współpracę z najbardziej ekstremalnymi ruchami społecznymi albo zgoła z dewiantami, z ludźmi o wielce podejrzanej umysłowości i psychice, nie mówiąc o chorobliwym wiernopoddaństwie wobec niektórych ośrodków zagranicznych. To zaś wiąże się z drugą paskudną cechą współczesnej polskiej lewicy, a mianowicie – z brakiem wiary w suwerenność kraju, który formacja ta powinna uznawać za swoją Ojczyznę, bo tu przez wieki żyli jej ojcowie, ta ziemia również ich karmiła.

Brak wiary w możliwość zachowania suwerenności i w konieczność jej utrwalania musiał wyhamować przyjazne gesty młodego, patriotycznie nastawionego prezydenta. Andrzej Duda, gdzie mógł, tam podkreślał swój patriotyzm, dając do zrozumienia, że działając w jego duchu gotowy byłby do największej ofiary. Charakterystyczny dla niego jest pewien żal, iż nie mógł uczestniczyć w… wymarszu Pierwszej Kadrowej z Oleandrów w Krakowie 6 sierpnia 1914 r.!

Ojciec Święty Jan Paweł II wygłosił na Westerplatte 12 września 1987 roku pamiętne słowa: „Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje 'Westerplatte'. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można 'zdezerterować'. Wreszcie – jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba 'utrzymać' i 'obronić', tak jak to Westerplatte, w sobie i wokół siebie. Tak, obronić – dla siebie i dla innych".

Podobnie jest z Pierwszą Kadrową; każdy z nas ma jakieś zadanie, z którym musi wymaszerować w świat, bez lęku, a z wielką wiarą i nadzieją. Trzeba to zadanie w sobie odnaleźć i maszerować z nim – tak długo, aż wypełni się obowiązek wobec bliskich, wobec siebie, wobec Ojczyzny, nawet jeśli nieraz przychodzi maszerować długo, aż po kres sił. Andrzej Duda odnalazł swoje zadanie i wymaszerował.

eprasa.pl a4a4bdc682

Ile może trwać przerwa w funkcjonowaniu szkoły, aby jej skutki nie były odczuwalne

Oświatowa proteza

Prof. Aleksander Nalaskowski

W zasadzie w dobrym tonie jest dziś powtarzać, że nic nie będzie już takie samo, że świat się „po wirusie" diametralnie zmieni, nastąpi istotne przegrupowanie na arenie międzynarodowej etc. Nie ignorując takich przewidywań, ale wciąż pamiętając o ich tylko prawdopodobnym charakterze, postanowiłem zrobić pewne *résumé* tego, co wiem i co widzę, i czego na pewno możemy się spodziewać. Ponieważ jestem badaczem procesów i zjawisk związanych z kształceniem i wychowaniem, to tej sferze się tutaj przyglądnę. Aczkolwiek łączy się z tym pewne ryzyko, bo sytuacja się tak zmienia, że zanim ten tekst się ukaże, może być już mniej aktualny. Dodam jeszcze, że obecne próby zastąpienia szkoły mediami ogromnie rozumiem i uznaję jako konieczne w tej sytuacji. Chwała tym, którym „się chce". Działamy bowiem w sytuacji nadzwyczajnej, w której wszyscy jesteśmy debiutantami. Wyjaśnię jeszcze, że to Narodowe Zatrzymanie (ale też i globalne) traktuję jak znak, a właściwie Znak, którego nie wolno nam ani zignorować, ani zmarnować, jak to się stało po śmierci Jana Pawła II czy po katastrofie smoleńskiej, gdy okazało się, jak łatwo można zamieniać narodową nadzieję na narodowe piekło.

Szkolna względność czasu

Cofnijmy się o rok. Wtedy to właśnie Polskę ogarnęła inspirowana przez ZNP fala strajków nauczycielskich. Niekiedy nazywano je strajkami szkolnymi, co było nadużyciem pojęciowym, bo ta nazwa odnosi się do strajków uczniowskich, których mieliśmy na progu ubiegłego wieku kilka z Wrześnią na czele, strajków przeciw zaborcom.

Wtedy to, w okresie egzaminów gimnazjalnych, podstawówkowych i maturalnych, ciągłość nauczania, działalność szkół, została przerwana na trzy tygodnie. Nikt wówczas nie zawracał sobie głowy zdalnym nauczaniem, nie powstawały jak grzyby po deszczu portale dydaktyczne (chociażby z inicjatywy niestrajkujących) i bardziej liczyły się terminy sprawdzianów niż luka w wiedzy uczniów. Czas pokazał, że nic się nie stało i uczniowie ukończyli szkoły, dostali się na studia, a luka w procesie nauczania i w wiedzy była rzekoma. Jako badacz zadałem wtedy pytanie – jak długo może trwać przerwa w funkcjonowaniu szkoły, aby jej skutki nie były odczuwalne? Na to pytanie bez eksperymentu nie da się odpowiedzieć. A takiego eksperymentu zrobić wszak nie można było. Teraz ten eksperyment trwa i „po owocach go poznamy". Czas działa na korzyść badaczy, a kiedy zacznie działać na niekorzyść uczniów, to trudno przewidzieć.

Pewne tropy znajdujemy we wcześniejszych badaniach. I tak – Zbigniew Kwieciński pokazał *Praca w szkole jako złudzenie* [w:] *Socjopatologia edukacji*, że wytężona praca w szkole jest mitem, którego rzeczywistość i empiria nie potwierdzają. Intensywność pracy to pozór i złudzenie. Tenże właśnie badacz udowodnił, że z 45 minut statystycznej lekcji faktycznie rozwojowych i ważnych poznawczo jest około 8 minut. A to oznacza, że w przypadku 25 godzin zegarowych spędzanych w szkole tygodniowo niewiele ponad 4 godziny ma jakikolwiek dydaktyczny sens, a to z kolei prowadzi do konkluzji, że efektywnych godzin (zegarowych) jest w roku szkolnym ok. 150, co oznacza, że rok szkolny mógłby trwać 6, a nie 37 tygodni.

Z innego badania dowiadujemy się, że lekcyjna aktywność werbalna ucznia klasy III szkoły podstawowej (mierzona czasem jego kontrolowanej przez nauczyciela wypowiedzi) wynosi 2 minuty i 37 sekund – tygodniowo! Tyle czasu zatem poświęca się na kształtowanie języka i umiejętność komunikowania[1].

Oczywiście powyższe przykłady mają charakter statystyczny i dotyczą wyłącznie procesu dydaktycznego w szkole, nie odnosząc się do innych, także ważnych jej wymiarów (wychowawczego, kontaktu z rówieśnikami, wpajania dyscypliny i systematyczności etc.).

Czy więc koronawirus i ogólnonarodowa absencja szkolna muszą w istocie przynieść takie spustoszenie, jakie niektórzy przewidują? Niekoniecznie. Bowiem strata czasu dydaktycznego wywołana pandemią może być w dużej mierze nadrobiona poprzez późniejszą, „powirusową" intensyfikację i zagęszczenie procesu nauczania. W tym wypadku należałoby poważnie myśleć o wydłużeniu roku szkolnego. Jeśli oczywiście wirus w miarę szybko ustąpi.

A co z egzaminami? Otóż tutaj wpadamy często w „retorykę nieuchronności". Terminy i sposób egzaminowania traktowane są jak przez rolnika pory roku. Zboża jare, aby dały plon, należy wysiać do końca kwietnia. Tym wszak rządzą prawa natury, na które nie mamy wpływu. Natomiast matury, jak i wszystkie inne sposoby sprawdzania wiedzy uczniów, tak samo jak ich terminy, to kwestie czysto umowne i z punktu rzeczywistego rozwoju intelektualnego uczniów wtórne i drugorzędne. Rodzaj świadectw szkolnych czy dojrzałości mogą z powodzeniem pełnić uchwały rad pedagogicznych placówek. Nie ma bowiem żadnego powodu, abyśmy im nie ufali.

Nadto przywróciłoby to godność i ważność tych ciał, poważnie nadszarpnięte przez egzaminy zewnętrzne, będące *de facto* deklaracją nieufności wobec ocen wystawianych przez nauczycieli

1 Krystyna Jaworska, *Pozycja ucznia w przestrzeni klasy i jej konotacje dydaktyczne* (nieopublikowana praca magisterska), [za:] Aleksander Nalaskowski, *Przestrzenie i miejsca szkoły*.

eprasa.pl a4a4bdc682

po latach pracy z uczniem. Nie tylko w kontekście pandemii, ale i wcześniej w zwykłym czasie, byłem przeciwny egzaminom zewnętrznym, mającym nade wszystko charakter selekcyjny.

W przyszłości powinny na uczelnię wrócić odpowiednio skonstruowane egzaminy wstępne. Ich brak fatalnie się odbił na doborze kandydatów na poszczególne kierunki. Póki co jednak winniśmy się zająć ochroną zdrowia młodych ludzi i przyjąć, że aktem ukończenia szkoły, przepustką do dalszych etapów kształcenia będzie to, co uznamy za prawomocne, a nie tylko to, co dotąd obowiązywało. Na czas epidemii możemy wszak zawrzeć nową umowę społeczną. Być może gdy się ten tekst ukaże, takie właśnie rozwiązania zostaną zastosowane.

W trybie awaryjnym wszystko zawsze funkcjonuje nadzwyczajnie i nietypowo. Zawieszenie zajęć szkolnych zaowocowało ogromnym zainteresowaniem, zarówno biernym, jak i czynnym, metodami zdalnej nauki. Kto żyw, rzucił się do smartfonów, aplikacji, komputerów, aby stworzyć protezę szkoły.

Widzimy dość nieoczekiwane (w kontekście ubiegłorocznych strajków) zainteresowanie wiedzą uczniów. Jest to z jednej strony budujące, ale z drugiej zastanawiające i zaskakujące. Podkreślę – w obecnej sytuacji to **jedyne rozwiązanie**, ale znów podkreślę – w **obecnej** sytuacji.

Mając na uwadze moje wcześniejsze uwagi o wykorzystaniu czasu w szkole, można by dojść do wniosku, że szkoła jest niepotrzebna i należy ją zastąpić nauczaniem na odległość, a przynajmniej zastąpić w pewnym stopniu. Taki wniosek byłby jednak na wskroś błędny i prowadziłby tylko na manowce.

Można dzisiaj usłyszeć opinie, że nareszcie odrobimy zapóźnienia technologiczne, że szkoła będzie wyglądała teraz inaczej (oczywiście dzięki nowym technologiom), że uczymy w niej mnóstwa niepotrzebnych rzeczy i teraz to się zmieni. Czy na pewno?

Szkoła czy wesołe miasteczko?

Kilka lat temu powstała pod moim kierunkiem rozprawa doktorska Patrycji Ampulskiej, której jednym z elementów był eksperyment. Otóż dzieciom prezentowano taką samą treść (kilka akapitów powieści *Wspomnienia niebieskiego mundurka* Wiktora Gomulickiego), którą jedna grupa samodzielnie przeczytała w klasie (ciche czytanie ze zrozumieniem), inna grupa poznała tekst przeczytany przez lektora obecnego w klasie (w żywym planie), jeszcze inna przez nagranie tylko jego głosu (jak w audiobookach), a jeszcze inna przez obejrzenie wideo z czytającym lektorem. Zapamiętanie i zrozumienie treści było zdecydowanie najwyższe u dzieci, które samodzielnie zapoznały się z treścią urywka powieści, drugi wynik osiągnęły dzieci słuchające czytania na żywo, a dopiero w dalszej kolejności (odpowiednio ok. 30 proc. i 40 proc. zrozumienia) uczniowie, którzy obejrzeli materiał wideo i wysłuchali wersji audio.

Przepraszając za ten formalistyczno-badawczy wtręt, chcę tylko pokazać, że tradycyjny, oparty na bezpośrednim przekazie, system nauczania jest zupełnie czymś innym niż to, co proponujemy w nauczaniu zdalnym.

Aby system zdalnego nauczania zadziałał, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, co ma być docelową powszechnością edukacji. Czy dotychczasowy system klasowo-lekcyjny, czy system zdalny/przekaz medialny? One bowiem nie są ani komplementarne, ani nie mają zdolności do prostej zastępowalności. Każda z tych metod wymaga innego „sformatowania" uwagi, percepcji, myślenia konkretnego i abstrakcyjnego. Rzec by można – wymaga innego umysłu.

Nadzieje, że szkołę można zastąpić ekranem monitora, to projekcja edukacji możliwej za kilkadziesiąt lat, a w każ

Grupa młodych ludzi w przepisowych maseczkach. Pomimo ogromnej popularności elektronicznych gadżetów widoczny po lewej chłopak czyta książkę, co pozwala wysnuć optymistyczny wniosek, że tradycyjnej wiedzy nie da się do końca zastąpić technologią. Fot. pexels/Gustavo Fring

eprasa.pl a4a4bdc682

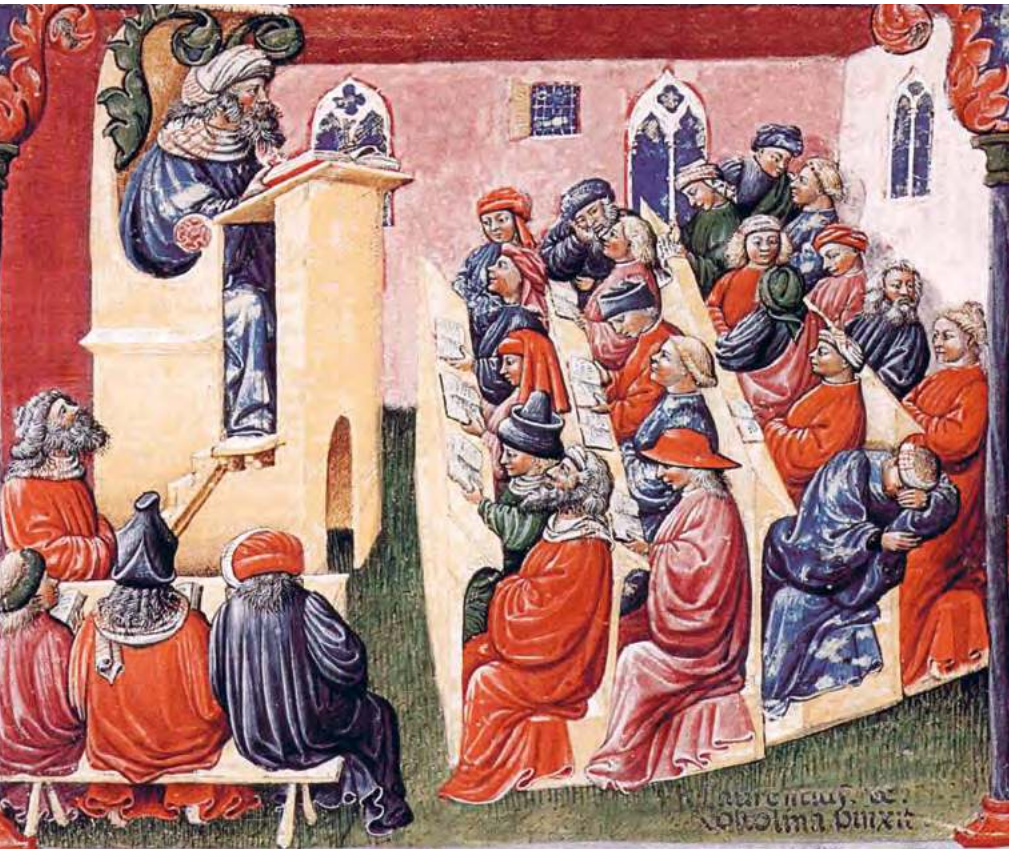

Wykład na Uniwersytecie Bolońskim. Jak widać, średniowiecznym żakom, podobnie jak i współczesnym, też nudziło się na zajęciach, o czym świadczy widoczny z przodu śpiący student. Ilustracja średniowiecznego artysty Laurentiusa de Voltolina do „Liber ethicorum des Henricus de Alemannia". Fot. Wikimedia

dym razie w dość odległej przyszłości. A to z kilku powodów, których zdają się obecni fantaści nie dostrzegać. Otóż obecny i obowiązujący paradygmat szkoły oparty jest na przymusie, który w zapisach prawnych nazywa się „obowiązek szkolny". Każdy obywatel naszego kraju temu obowiązkowi podlega. Jest on obwarowany przepisami o rozpoczęciu nauki szkolnej, odpowiedzialności rodziców za uczęszczanie dzieci do szkoły etc.

Sama konieczność przyswajania wiedzy jest także obudowana sankcjami. To oceny szkolne, promocje, wywiadówki, skierowania do poradni psychologicznych, kuratorzy sądowi itd. Wystarczy posłuchać głośnego „hurra!" jako reakcji uczniów na informację, że „dzisiaj nie będzie lekcji (na przykład) geografii, bo pani jest chora", aby się przekonać, że nieodbycie się lekcji nie jest dla nich szczególną dokuczliwością.

Z modelu szkoły obowiązkowej (przymusowej) wynika też kilka konsekwencji. Nauczyciel i szkoła są w znacznie większym stopniu odpowiedzialni za wiedzę dziecka niż jego rodzice. To nauczyciel zadaje, egzekwuje, ocenia i tym samym decyduje o losach ucznia. Sami rodzice są zepchnięci do roli nadzorców odrabiania zadań domowych. A to niezwykle komfortowa rola i w większości przypadków niezbyt absorbująca. Typowy dialog rodzica i dziecka wracającego ze szkoły brzmi mniej więcej tak: „Jak było w szkole?" „Dobrze" (Inne warianty – w porządku, ok, spoko) lub „Co tam w szkole?" „A, nic".

Dominuje przyswajanie wiedzy w sposób reaktywny. To znaczy – uczyć się należy tylko tego, co zadaje szkoła. Często tylko po to, aby mieć święty spokój. Motywacja do uczenia się ulokowana jest w tym schemacie nauczania poza dzieckiem. Stanowią ją wspomniane wcześniej środki przymusu. Uczenie się w większości przypadków traktowane jest jako sposób na uniknięcie dyskomfortu, kary czy dyscyplinowania. Stąd też ściąganie, plagiaty, wagary nie są traktowane wśród rówieśników jako wykroczenia czy przestępstwo. To element gry ze szkołą wziętą w cudzysłów.

Czy to oznacza, że należy odejść od przymusu/obowiązku? Nie! Taki wniosek byłby dzisiaj przedwczesny. Jako badacz poznałem wiele alternatywnych szkół. Większość z nich próbowała bazować właśnie na wewnętrznej motywacji dziecka do uczenia się. Szkoły te, wywodzące się głównie z ideologii lewicowych, swoją krytykę oświaty opierały na wskazywaniu na opresyjność szkoły, autorytaryzm, dominującą rolę nauczyciela. I swoim działaniem próbowały to odrzucić, uciekając się niekiedy do skrajnego pajdocentryzmu [metoda nauczania dzieci oparta tylko na samorzutnym rozwoju dziecka, do czego dostosowane są programy i organizacja pracy dydaktycznej, pomniejszona jest bardzo rola nauczyciela – przyp. red.].

Szkoły takie, które poznałem, okazały się polem porażek i fiaskiem. Nierzadko jednak były przykrywane retoryką sukcesu. Przypominały raczej plac beztroskich zabaw niż źródło jakiejkolwiek wiedzy. Tak było w przypadku brytyjskiego flexischoolingu, szkół steinerowskich czy placówek opartych na założeniach Summerhill Alexandra Neilla. W sporej mierze dotyczy to także szkół montessoriańskich czy freinetowskich. Najkrócej rzecz ujmując, dzieci i młodzież nie potrafiły ani docenić, ani skorzystać z oferty samodzielności. Dało się nawet usłyszeć pytanie dziecka do nauczycielki „Proszę Panią, czy dzisiaj też musimy robić to, co chcemy?". Alternatywność z czasem stawała się tam fasadą. Cechą tak pojmowanej alternatywności bywa też nierzadko cały zestaw działań podlizujących się uczniowi, zabawiających go i zamieniających szkołę w wesołe miasteczko.

Dało to nam sporą grupę młodzieży, którą lewicowa skądinąd socjolog Ayn Rand opisała tak (*Powrót człowieka pierwotnego. Rewolucja antyprzemysłowa*): „Przeciętny absolwent szkoły średniej jest gwałtownym, niespokojnym, roztargnionym młodzieńcem z umysłem jak strach na wróble zrobionym z najróżniejszych strzępów, które nie dają się ułożyć w jakikolwiek kształt. Nie ma pojęcia o wiedzy; nie wie, kiedy coś wie, ani nie wie, kiedy nie wie. Czuje chroniczny lęk, że oczekuje się odeń, iż będzie coś wiedział i jego pretensjonalne zachowanie ma na celu ukrycie faktu, że nie ma o niczym bladego pojęcia. Na przemian prezentuje gadatliwe wynurzenia i okresy wykrętnego milczenia. Przyjmuje autorytatywny ton, mówiąc o ostatnich wydarzeniach politycznych (stanowiących temat projektów klasowych, w których uczestniczył), i recytuje gotowe banały wzięte z trzeciorzędnych wstępniaków, jakby to były jego oryginalne odkrycia. Nie umie czytać, pisać ani korzystać ze słownika. Jest przebiegły i 'mądry'; wykazuje cynizm dekadenckiego dorosłego człowieka i łatwowierność małego dziecka. Zachowuje się głośno, agresywnie, wojowniczo. Jego głównym celem jest udowodnić, że niczego się nie boi, ponieważ tak naprawdę wszystko napawa go śmiertelnym strachem".

Nawet jeśli opinia ta jest przesadzona, to w swoim jądrze i samej nieredukowalnej istocie wydaje się adekwatna do odczuć tych, którzy oglądają świat nie przez lupę eufemizmów i filtry samouspokojenia.

eprasa.pl a4a4bdc682

Przedwczesne nadzieje

Entuzjazm przekształcania szkoły (lub systemu oświaty), jaką znamy, w placówkę (system) mocno opartą na nauczaniu zdalnym jest objawem niedostrzegania ograniczeń z tego wynikających. *De facto* musiałoby dojść tu do próby radykalnej zmiany systemu. Miejsce przymusu/obowiązku zajmuje dobra wola, a miejsce wzmocnień stymulujących dotychczas proces uczenia się (kary i nagrody) wewnętrzna motywacja wynikająca z dobrej woli. Nadto normalna szkoła w swoim organizacyjnym kształcie nauczania zbiorowego nie ma potrzeby w sposób szczególny zabiegać o dyscyplinę uczniów podczas lekcji. Robi to za nią podział na jednostki lekcyjne, infrastruktura, lista obecności uczniów czy ostatnio dzienniki elektroniczne. W nauczaniu zdalnym musi się jednak bazować na samodyscyplinie młodzieży.

Mamy zatem trzy niezbędne dyspozycje pożądanego „ucznia zdalnego". To **wola uczenia się, silna motywacja do nauki i samodyscyplina ucznia**. A więc edukacja zdalna w znacznie większym stopniu niż ta szkolna musiałaby bazować na cechach zdecydowanie deficytowych u obecnej młodzieży.

Nadto w znacznie większym stopniu niż obecnie ma to miejsce musieliby się w taki sposób kształcenia zaangażować również rodzice. Bowiem szkoła zdalna w zasadzie byłaby rezygnacją z jakichkolwiek działań wychowawczych wynikających z funkcjonowania dziecka w grupie rówieśniczej. Tymczasem już kolejne współczesne pokolenie wyraźnie ceduje kwestię kształcenia dzieci właśnie na szkołę, dokonując samomarginalizacji i pozostawiając sobie zaledwie niewielkie udziały w całym procesie. Pojawiały się nawet postulaty, aby w okresie pandemii państwo wypłacało rodzicom dodatek za opiekę i pomoc dziecku w zdalnych formach nauczania. Choć to margines opinii, to budzi zdumienie i obawy.

W wizjach zastępowania szkoły edukacją zdalną podaje się nierzadko przykłady portali poradniczych, instruktażowych czy pomocowych, które mają wielu, niekiedy tysiące odbiorców. Jako zapalony majsterkowicz często z takich porad korzystam, a skuteczność tej formy jest rzeczywiście bardzo satysfakcjonująca. Trzeba jednak zauważyć, że z tych możliwości korzystają ci, którzy tego rzeczywiście chcą, którzy faktycznie potrzebują takiej wiedzy i powodowani tym potrafią skupić uwagę i efektywnie korzystać z internetowej nauki. Tu nie ma potrzeby wzmocnień, dyscyplinowania etc. Odbiorca spełnia bowiem wszelkie, nawet najbardziej wyśrubowane warunki takiej formy przekazywania wiedzy.

Podobnie ma się rzecz w przypadku zdalnego kształcenia dorosłych, konferencji online czy innych spotkań grup celowych na wideokonferencjach. Uczestniczą w nich tylko ci, którzy chcą, którym na tym zależy.

Zatem takie przykłady w odniesieniu do uczniów poddanych obowiązkowej edukacji nie są adekwatne. Poza tym, co z zajęciami, a jest ich dużo, które oprócz teorii wymagają konkretnych ćwiczeń praktycznych, pracowni, laboratoriów?

W tym miejscu pojawia się nam właściwy wymiar czekających nas zmian w systemie oświaty. Nie wystarczy po marksistowsku zmieniać struktury czy mnożyć bytów instytucjonalnych albo zapisów. Trzeba sięgnąć daleko głębiej i przebudować społeczne nastawienie do edukacji. A to wielka praca na całe pokolenie i powrót do źródeł. To konieczność wmontowania na powrót w młode pokolenie ambicji, a może i wręcz mody na uczenie się. Co byłoby zresztą wskazane nie tylko w przypadku nauczania zdalnego. Niezbędne będą długotrwałe działania budujące ciekawość świata, motywacje poznawcze, rzetelność, dyscyplinę po wszystkich stronach tej barykady. Dla tych zmagań musimy wytworzyć klimat społeczny, instrumentarium, zrewidować poglądy, kto może i kto powinien być nauczycielem.

Trzeba ze wszystkich sił i wszystkimi środkami pokazać młodym, że nauka jest *w porzo*, że uczyć się to znaczy być modnym i na topie, że czytanie jest *cool*, a w *kompie* oprócz *fejsa* jest mnóstwo wiedzy, że dorosły nie oznacza *boomer*, nauczyciel to *spoko gościu*, a człowiek mądry zasługuje na wielki *szacun*. Trzeba przywrócić zachwyt bibliotekami, historią, lekturami rodziców i dziadków, wielkimi patriotami. Jako dorośli powinniśmy robić wszystko tak, jak chcemy tego oczekiwać od swoich dzieci.

Wymagając pobożności sami musimy być pobożni, wymagając abstynencji trzeba pożegnać się z wódą, wymagając zachwytu musimy i my się zachwycać. Musimy jako dorośli robić wszystko tak, jak chcemy tego oczekiwać od swoich dzieci. Trzeba, aby młodzi i najmłodsi Polacy potrafili zrozumieć świat będąc *offline*, gdzie komputer będzie zaledwie pomocą, instrumentem, a nie mózgiem ulokowanym na zewnątrz głowy wyposażonej jedynie w system operacyjny. Nie ma innej drogi. Chociaż i ta wydaje się utopią. Jeśli nie wiemy, jak to zrobić, to szukajmy i znajdźmy (!) takich, którzy to wiedzą i zrobią, a przy okazji przegonią szkodników. Dopiero z tej perspektywy widać, jak wiele i w jak długim czasie jest do zrobienia.

Mamy obecnie czas pewnego wyzerowania, Wielkiego Zatrzymania, resetu. Mamy czas, aby wszystko przemyśleć, aby edukację wymyślić na nowo. Ale nie w negacji do tej istniejącej, nie w bezmyślnym zapatrzeniu na Zachód; chodzi o szkołę faktycznie nową, endemiczną, czyli nam właściwą i własną. Tylko wtedy możemy sensownie odpowiedzieć, jaka powinna być szkoła, tylko wtedy, gdy ją sobie sami od nowa przemyślimy i wymyślimy.

Uczniowie reprezentujący tzw. „digital-pokolenie" od początku edukacji szkolnej korzystali z internetu. Dziś jednak młodzież zmuszona do nauki wyłącznie on-line zapewne marzy o powrocie do szkoły. Fot. pexels/Julia M. Cameron

eprasa.pl a4a4bdc682

„JESTEM CAŁY TWÓJ
I WSZYSTKO, CO MOJE, DO CIEBIE NALEŻY”

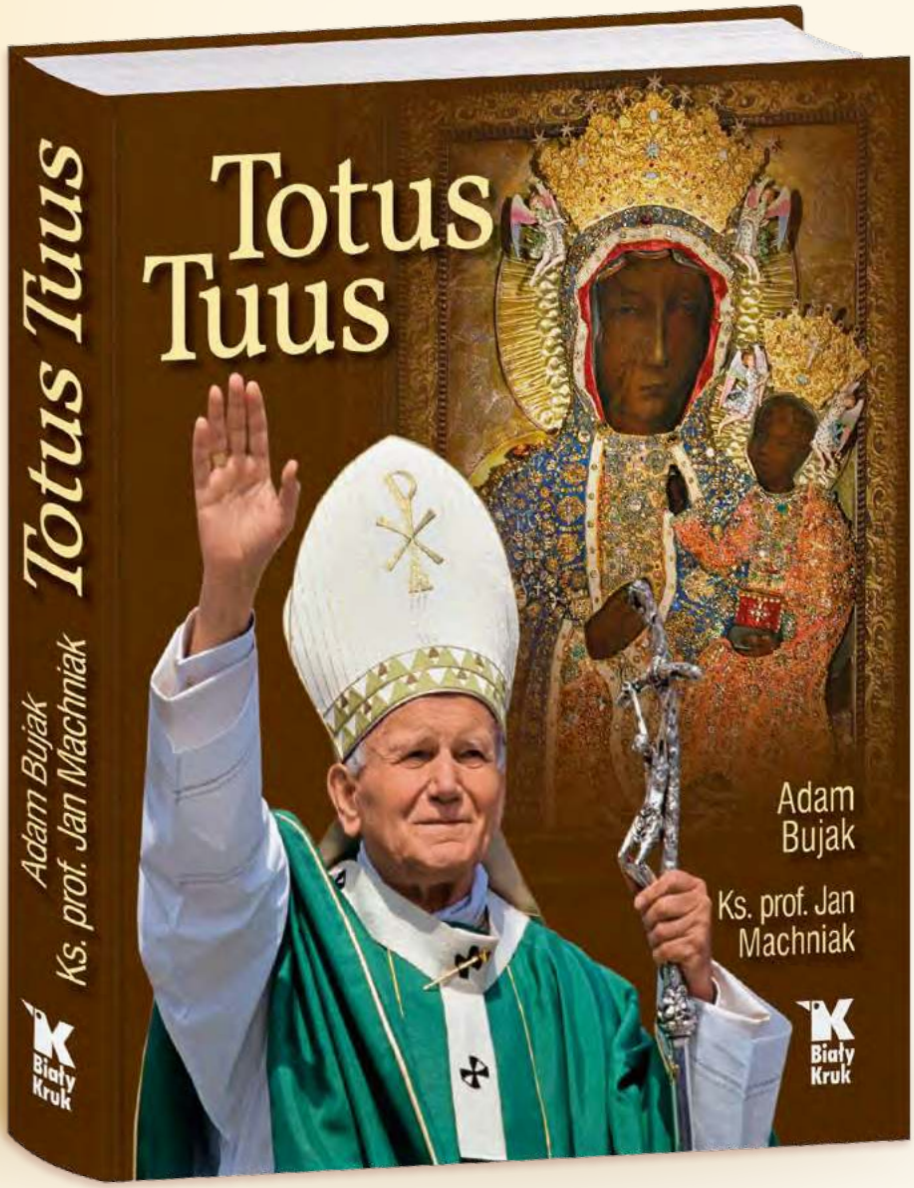

Album przygotowany na trwający właśnie Rok św. Jana Pawła II, który odbywa się pod hasłem „Totus Tuus”. Teolog ks. prof. Jan Machniak objaśnia w prezentowanej książce rodowód i ideę tej dewizy przyjętej przez papieża Jana Pawła II na początku pontyfikatu, a fotograf Adam Bujak przybliża na zdjęciach niezwykłą więź Ojca Świętego z Matką Bożą. Szatę graficzną albumu uzupełniają piękne fotografie wizerunków Maryjnych z różnych stron świata i Polski.

272 str.,
23,5 x 27 cm,
twarda oprawa
Cena detal. **99** zł

Zamów telefonicznie lub e-mailem! Pomóż przetrwać!

Partner publikacji: ORLEN

Pod patronatem: Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia”

Biały Kruk

ZAMÓWIENIA: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a4a4bdc682

Dziedzictwo kapłańskiej wiary, posługi i solidarności z narodem

Najłatwiej jest pokonać Kościół przez kapłanów

Św. Jan Paweł II

Przemówienie to wygłosił święty Papież Polak na początku pontyfikatu, przed 41 laty, 6 czerwca 1979 r. na Jasnej Górze. Słowa te padły w bardzo konkretnej sytuacji polityczno-społecznej, kiedy trwał jeszcze ustrój komunistyczny, a od polskich kapłanów płynęło częstokroć wielkie i bardzo budujące świadectwo heroizmu wiary oraz postaw etycznych. Jan Paweł II szczycił się ówczesną jednością polskiego Kościoła, która też bez wątpienia była ogromną siłą, mogącą przeciwstawiać się naporom ateistycznej ideologii i jej tyraństwa. W obecnym, jakże trudnym czasie pandemii koronawirusa, różnych rozdźwięków w samym Kościele – pośród hierarchów i kapłanów, a także zmasowanych ataków na Kościół z zewnątrz, warto przypomnieć te ogromnie ważne słowa naszego narodowego mędrca, który przez 27 lat zasiadał na tronie Piotrowym. Warto je głęboko przemyśleć, wziąć je do serca i wedle nich postępować. Świat bez apostoła Jana Pawła II stał się bowiem zupełnie innym światem. [JS]

Drodzy moi Bracia w kapłaństwie, a zarazem umiłowani w tymże samym Chrystusowym kapłaństwie Synowie!

Spotykamy się tutaj w katedrze częstochowskiej pod wezwaniem Świętej Rodziny, ale także u stóp Bogarodzicy, w obliczu naszej Matki: Matki kapłanów. Spotykamy się w niezwykłych okolicznościach, które zapewne tak samo jak i ja głęboko odczuwacie (…). Bo przecież ten, który tu dzisiaj stoi wobec was, doznał łaski powołania kapłańskiego na polskiej ziemi, przeszedł przez polskie seminarium duchowne (w znacznej mierze podziemne, bo w czasie okupacji), kształcił się na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, otrzymał święcenia kapłańskie z rąk polskiego biskupa: niezapomnianego i niezłomnego księcia – kardynała Adama Stefana Sapiehy, uczestniczył w tych samych doświadczeniach Kościoła i narodu, co i wy…

To przede wszystkim pragnę wam powiedzieć przy dzisiejszym spotkaniu. To, co tutaj we mnie się ugruntowało – to, co stąd wyniosłem, odzywa się stale żywym echem podczas wszystkich moich spotkań z kapłanami, jakie miałem sposobność odbyć od dnia 16 października [1978]. I dlatego też dzisiaj, spotykając się z wami, pragnę odwołać się nade wszystko do słów, które przy tych różnych spotkaniach już wypowiedziałem. Uważam bowiem, że wszyscy macie jakiś udział w ich sformułowaniu, że należy się wam jakaś cząstka praw autorskich. Uważam z kolei, że – choć wypowiedziane już z Rzymu lub skądinąd – odnoszą się one również do was, w Polsce.

Oto fragment przemówienia wygłoszonego do kapłanów diecezjalnych i zakonnych diecezji rzymskiej w dniu 9 listopada ubiegłego [1978] roku. „Mam w żywej pamięci – mówiłem wtedy – tych wspaniałych, gorliwych, nieraz heroicznych kapłanów, z którymi wspólnie mogłem podejmować te starania i zmagania… Ogromne usługi w dotychczasowej pracy biskupiej oddała mi Rada Kapłańska jako wspólnota i środowisko wspólnej z biskupem troski o życie całego prezbiterium, o skuteczność jego duszpasterskiej działalności… Kiedy was tu dzisiaj po raz pierwszy spotykam i witam – mówiłem dalej do duchowieństwa w Rzymie – mam jeszcze w oczach i w sercu prezbiterium Kościoła krakowskiego: te wszystkie nasze spotkania przy różnych okazjach, te niezliczone rozmowy, które zaczynały się jeszcze w latach seminaryjnych, te zjazdy poszczególnych roczników kapłańskich, na które byłem zapraszany, i w których z radością i pożytkiem uczestniczyłem”.

Całe właściwie moje pierwsze przemówienie do duchowieństwa w Rzymie było przemówieniem o księżach w Polsce. A w każdym razie o kapłaństwie takim, jakiego obraz wyniosłem na podstawie moich doświadczeń z kapłanami w Polsce, a przede wszystkim w archidiecezji krakowskiej. I uważałem, że to jest droga najprostsza, a przede wszystkim, że było o czym mówić bez żadnej próżnej chwalby. Po prostu o problemach, o rzeczywistości, o postawie, o świadomości, o faktach. Inaczej musiałbym zejść na ogólniki, może bardzo słuszne, zasadnicze, ale ogólniki. Wiadomo jednak, że najlepiej przemawiają fakty, słowa oparte na doświadczeniu. Tak więc moje pierwsze spotkanie z kapłanami w diecezji rzymskiej oparłem na doświadczeniu, które wyniosłem z Polski, ze współżycia z kapłanami w Polsce.

A teraz udajemy się na wielkie spotkanie z księżmi meksykańskimi w sanktuarium Matki Bożej w Guadalupe [27 stycznia 1979 r. – przyp. red.], do których skierowałem takie oto słowa: „Słudzy wzniosłej sprawy, od was w dużej mierze zależy los Kościoła w tych dziedzinach, które są powierzone waszej duszpasterskiej trosce. Wymaga to od was głębokiej świadomości wielkości misji, jaką otrzymaliście, i konieczności dostosowania się do niej w każdej sytuacji. Chodzi przecież w końcu… o Kościół Chrystusowy, i jakiż szacunek i miłość powinien w nas wzbudzać ten fakt, że mamy służyć z radością w świętości życia (por. Ef 4,13). Nie można wypełnić tej wzniosłej i wymagającej służby bez jasnego, zakorzenionego przekona

eprasa.pl a4a4bdc682

Zjazd Delegatów Komisji Księży działających przy ZBoWiD, Warszawa 20–21 lutego 1952 r. Do tej organizacji, popierającej działanie narzuconej po 1945 r. przez Sowietów władzy, mógł od 1950 r. należeć „każdy ksiądz, chcący dać tym wyraz pozytywnego stosunku do Polski Ludowej". Zdecydowana większość polskich kapłanów ostro odcinała się od takich działań. Fot. z: C. Ryszka, „Prymas Wyszyński, Ojciec Ojczyzny", Biały Kruk

nia co do waszej tożsamości kapłanów Chrystusa, depozytariuszy i szafarzy Bożych tajemnic, narzędzi zbawiania ludzi, świadków królestwa, które zaczyna się na tym świecie, a dopełnienie osiąga w wieczności".

To spotkanie meksykańskie, na pewno nie mniej liczne niż dzisiejsze, a może nawet liczniejsze, bo jedyne dla księży z całego Meksyku, właśnie w Guadalupe, bardzo mnie ośmieliło i ono w pewnym sensie utorowało drogę do tego pierwszego dokumentu skierowanego do kapłanów, który na pewno znacie. Został on opublikowany także po polsku i doręczony wszystkim księżom biskupom, ażeby podzielili się nim ze swoim prezbiterium i żeby w oparciu o ten list przeżyli tegoroczny Wielki Czwartek, święto kapłańskie.

I wreszcie trzecia wypowiedź, którą z pewnością najlepiej znacie: List do kapłanów na Wielki Czwartek 1979 roku. Odczuwałem szczególnie żywo potrzebę zwrócenia się do kapłanów całego Kościoła, właśnie na samym początku pontyfikatu. Pragnąłem, aby to dokonało się w związku z Wielkim Czwartkiem, w związku ze 'świętem kapłańskim'. Miałem przed oczyma ten dzień w katedrze na Wawelu, kiedy odnawialiśmy wspólnie naszą wiarę w kapłaństwo samego Chrystusa, oddając Mu na nowo do całkowitej dyspozycji całe nasze jestestwo: duszę i ciało – aby On mógł przez nas działać i dokonywać swego zbawczego dzieła.

Z tego Listu do kapłanów przytoczę tylko parę zdań: „Nasza praca duszpasterska domaga się tego, abyśmy byli blisko ludzi i wszystkich ludzkich spraw – czy to będą sprawy osobiste, czy rodzinne, czy społeczne – ale byśmy byli blisko tych wszystkich spraw 'po kapłańsku'. Wtedy tylko – w kręgu tych wszystkich spraw – jesteśmy sobą. Kiedy zaś naprawdę służymy owym ludzkim, nieraz bardzo trudnym sprawom, wtedy jesteśmy sobą: wierni swojemu własnemu powołaniu. Musimy z całą przenikliwością szukać razem z wszystkimi ludźmi tej prawdy i tej sprawiedliwości, której właściwy i ostateczny wymiar znajdujemy nie gdzie indziej, ale tylko w Ewangelii – owszem, w samym Chrystusie".

Ta trzecia wypowiedź, List do kapłanów na Wielki Czwartek tego roku – poszedł w świat. Tu i ówdzie sugerowano, że papież usiłuje narzucić polski model kapłaństwa całemu Kościołowi. Ale to były raczej głosy oderwane. W większości przyjęto ten list z zadowoleniem jako bardzo proste, jasne, jednoznaczne, a przy tym braterskie postawienie spraw, które dla naszej współpracy w Kościele powszechnym są podstawowe. Nie można tutaj zostawiać żadnych luk. Trzeba jasno od początku wiedzieć, na czym stoimy, na co liczymy. Czasem podnosiły się głosy obawy, że Kościół nie wytrzyma z tą wizją kapłaństwa w dzisiejszym zsekularyzowanym świecie. A ja z Polski wyniosłem takie głębokie przekonanie, że tylko z tą wizją kapłaństwa Kościół wytrzyma. Tylko z tą wizją kapłaństwa. Czasem wyrażano obawy, że właśnie ta wizja, właśnie ten obraz kapłaństwa związanego z celibatem, - kapłaństwa, któremu człowiek poświęca się bez reszty, odstrasza, hamuje proces powołań. A ja z Polski wyniosłem przeświadczenie, że jest odwrotnie, że tylko ta wizja kapłaństwa może otworzyć na nowo falę powołań, przyrost powołań na całym świecie. Bo młodzi ludzie pragną wiedzieć, czemu się poświęcają, jeśli się poświęcają… I zdaje się, że w większości ten właśnie List do kapłanów tak został odebrany przez biskupów i przez kapłanów. Jest on wolny od tego, co się nazywa klerykalizmem.

Chociaż i to usiłowano czasem tu i ówdzie podpowiadać w opiniach prasowych, że to jest wizja Kościoła klerykalnego, że to jest klerykalna wizja kapłaństwa, że trzeba iść w kierunku jakiejś większej sekularyzacji urzędu kapłańskiego… Tak, dajmy każdemu swobodę sądzenia, zostawmy swobodę myśli. Myślę, że ten list o kapłaństwie i kapłanach jest bardzo ludzki. Zdajemy sobie sprawę, że z ludzi jesteśmy wzięci, że mamy też ludzkie słabości. Wcale nie stawiamy się ponad Ludem Bożym. Jesteśmy tylko z ludu wzięci i dla ludu postawieni. Owszem, myślę, że najwięcej mamy do czynienia z grzechem człowieka, ale i ze świętością człowieka, chociażby poprzez kratki konfesjonału. Nieraz głęboko czujemy zawstydzenie wobec ludzi świeckich, gdy widzimy, jak bardzo oni dążą do świętości, jak bardzo od siebie wymagają, ile z siebie dają! Ja to również czuję, dzięki temu, że jestem w swoim korzeniu kapłanem polskim.

Oto, umiłowani kapłani polscy, zgromadzeni dziś na Jasnej Górze, główne myśli, którymi pragnę z wami się podzielić. Oczywiście nie wszystkie. Odwołuję się do Listu do kapłanów, bo to jest pierwsza, pełniejsza wypowiedź. Ale i on nie jest jakimś dokumentem o charakterze magisterialnym. Tych dokumentów o charakterze magisterialnym mamy dość, chociażby w na

eprasa.pl a4a4bdc682

uce Soboru. Chociażby encyklika Pawła VI *Sacri coelibatus*, chociażby w tylu różnych listach do kapłanów, które prawie każdy papież ogłaszał: Jan XXIII, Pius XII, Pius XI, tak że źródeł jest mnóstwo, bliższych i dalszych. Więc tylko niektóre myśli… I to myśli, które się do was odnoszą.

Kapłani polscy mają swoją własną historię, którą w ścisłej łączności z dziejami Ojczyzny zapisały całe pokolenia „sług Chrystusa" i „szafarzy Bożych tajemnic" (1 Kor 4,1), jakich wydała nasza ziemia. Czuliśmy zawsze głęboką więź z Ludem Bożym – z tym, „spośród którego wzięci" i dla którego „byliśmy postanowieni" (por. Hbr 5,1). Myślę, że właśnie w tym sensie kapłani polscy są bardzo mało klerykalni. Nie czują się klanem. A jeżeli się czuli może w przeszłości, to obecnie to w znacznej mierze zanika. Świadectwo wiary żywej, czerpanej z wieczernika, Ogrójca i Kalwarii – wiary wyssanej z piersi naszych matek – wiary ugruntowanej wśród ciężkich doświadczeń naszych rodaków – jest naszą duchową legitymacją. Podstawą naszej kapłańskiej tożsamości. Dzisiaj w Kościele wiele mówi się na temat kryzysu tożsamości kapłana w różnych krajach. Myślę, że ten problem w Polsce istnieje w bardzo małym stopniu. Nie mamy poniekąd tego problemu. Tak się jakoś złożyły okoliczności historyczne i współczesne, że nie ma powodu do tego, żebyśmy czuli kryzys naszej tożsamości. Wiemy, kim jesteśmy. Wiemy, że tacy, jacy jesteśmy, dzięki temu, czym jesteśmy, jesteśmy ludziom potrzebni. Czyż mógłbym przy dzisiejszym spotkaniu nie wspomnieć tych tysięcy księży polskich, którzy oddali życie podczas ostatniej wojny, zwłaszcza w obozach koncentracyjnych?

Pozwólcie jednak, że ograniczę wspomnienia, które cisną się tu do myśli i do serca.

Powiem natomiast, że to dziedzictwo kapłańskiej wiary, posługi, solidarności z całym narodem w jego najtrudniejszych okresach, które stanowi jakby fundament historycznego zaufania dla kapłana polskiego wśród społeczeństwa, musi być wciąż wypracowywane przez każdego z was i wciąż niejako zdobywane na nowo. Chrystus Pan pouczył kiedyś apostołów, jak mają o sobie myśleć i czego mają od siebie wymagać: „Słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać" (Łk 17,10). Musicie więc, drodzy bracia kapłani polscy, pamiętni tych słów i pamiętni dziejowych doświadczeń, stawiać sobie zawsze te wymagania, które wynikają z Ewangelii, które są miarą waszego powołania. Ogromnym dobrem jest ten kredyt zaufania, którym cieszy się polski kapłan wśród społeczeństwa, jeśli tylko jest wierny swojej misji, jeśli jego postępowanie jest przejrzyste. Jeśli jest zgodne z tym stylem, jaki Kościół w Polsce wypracował w ciągu ostatnich dziesięcioleci: stylem ewangelicznego świadectwa i społecznej służby. Niech Bóg broni, ażeby ten styl miał ulec jakiemukolwiek „rozchwianiu".

Kościół najłatwiej jest (daruj cie to słowo) pokonać również przez kapłanów. Jeżeli zabraknie tego stylu, tej służby, tego świadectwa – najłatwiej jest pokonać Kościół przez kapłanów. W Polsce to nie zachodzi. Ale też trzeba stale czuwać, żeby to przypadkowo w jakiejś mierze, na jakiejś drodze nie nastąpiło. Nie rozwinęło się coś w niewłaściwym kierunku. Musicie bardzo czuwać, musicie wszyscy mieć tego ducha rozeznania. Kościół w Polsce dzięki kapłanom jest niepokonany. Jest niepokonany dzięki tej jedności kapłanów z Episkopatem. I z kolei jedności całego społeczeństwa z kapłanami i Episkopatem. Ale Kościół przez kapłanów można

„Niech wasza wiara stanie się drogą dla innych (...). Nie ustawajcie w drodze, lecz śmiało postępujcie naprzód, niosąc narodom Ewangelię", powiedział Ojciec Święty w homilii wygłoszonej podczas uroczystości konsekracji 13 biskupów. Rzym, Bazylika świętego Piotra, 6 stycznia 1991 r. Fot. Arturo Mari („Rok 13", Biały Kruk)

eprasa.pl a4a4bdc682

Papież Polak pozdrawia pielgrzymów podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny. Jasna Góra, 5 czerwca 1979 r. Ojcu Świętemu towarzyszą uczestnicy Konferencji Plenarnej: Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński, abp krakowski Franciszek Macharski, generał zakonu oo. paulinów o. Józef Płatek, bp częstochowski Stefan Bareła oraz sekretarz Konferencji Episkopatu Polski bp Bronisław Dąbrowski. Fot. Adam Bujak („Niech zstąpi Duch Twój", Biały Kruk)

także pokonywać. Przed tym trzeba bardzo się strzec.

Chrystus żąda od swoich uczniów, „aby światłość ich świeciła jasno przed ludźmi" (por. Mt 5,16). Zdajemy sobie najlepiej sprawę z tego, ile w każdym z nas jest ludzkiej słabości. Z pokorą myślimy o zaufaniu, jakie w nas pokłada Mistrz i Odkupiciel, oddając w nasze ręce kapłańskie władzę nad swoim Ciałem i Krwią. Ufamy, że z pomocą Jego Matki potrafimy w tych trudnych, często nieprzejrzystych czasach postępować tak, aby „światłość nasza świeciła przed ludźmi". Módlmy się o to nieustannie. Módlmy się z największą pokorą.

Pragnę jeszcze wyrazić gorące życzenie, aby Polska nie przestawała być ojczyzną powołań kapłańskich i ziemią wielkiego świadectwa dawanego Chrystusowi przez posługę waszego życia: przez posługę słowa i Eucharystii.

Miłujcie Maryję, drodzy bracia!

Nie muszę wam tego powtarzać ani zalecać, bo to jest też jakiś polski charyzmat: Miłujcie Maryję! Z tej miłości nie przestawajcie czerpać siły dla waszych serc! Tak mówię z całym poczuciem tej rzeczywistości, jaką jest ludzkie serce. Nie przestawajcie czerpać siły dla waszych serc. Niech Ona okazuje się dla was i przez was również Matką wszystkich, którzy tak bardzo spragnieni są tego macierzyństwa: Jej opieki!

Monstra Te esse Matrem,/ sumat per Te preces,/ qui pro nobis natus/ tulit esse Tuus. [Okaż, żeś jest Matką,/ Wzrusz modłami swymi/ Tego, co Twym Synem/ Zechciał być na ziemi; fragment łacińskiej antyfony Maryjnej z VIII w. *Ave Maris Stella* – przyp. red.]

Chciałbym jeszcze na zakończenie poruszyć jedną sprawę, (…) powołań misyjnych i misyjnego wkładu Kościoła w Polsce w dzieło Kościoła powszechnego.

Jest w tej chwili jakieś ogromne zapotrzebowanie na kapłanów polskich na całym świecie. Ponieważ są tu także siostry, i to siostry misjonarki, chcę powiedzieć, że to się i do nich odnosi. Jest ogromne zapotrzebowanie.

Kiedy byłem jeszcze w Polsce, jako metropolita krakowski, w ciągu roku miałem co najmniej kilkadziesiąt odwiedzin z różnych krajów świata, z różnych kontynentów, nawet z Europy, w poszukiwaniu kapłanów do pracy duszpasterskiej. I trzeba było nieraz tłumaczyć rozmówcom i wymawiać się, „zwalać" wszystko na księdza biskupa [Jana] Wosińskiego [1914–1996; w l. 1970–85 dyrektor krajowy Papieskich Dzieł Misyjnych – przyp. red.], że to on rozdziela; bo nie możemy działać w sposób bezładny; musimy mieć jakiś program, jakąś dystrybucję tych sił misyjnych, którymi służymy i służyć pragniemy całemu Kościołowi. Poza tym tłumaczyłem, że my też jesteśmy krajem misyjnym, znajdujemy się w specjalnej sytuacji, sytuacji frontowej, w której nie może zabraknąć sił kapłańskich, gdzie praca jest szczególnie trudna, naprawdę misyjna. Kapłan nie przychodzi do gotowego, musi sobie warsztat pracy sam zbudować, gdy chodzi chociażby o katechizację. Jego sytuacja nie jest taka, jak kapłana w krajach zachodnich i w znacznej części krajów świata, gdzie po prostu przychodzi do klasy – i uczy religii. Jego sytuacja jest taka, że on sobie musi tę wspólnotę katechizowaną sam zbudować, stworzyć. Oczywiście, że wszystko jest w ramach pewnej organizacji katechetycznej, organizacji prawnej, organizacji społecznej, zaakceptowanej, organizacji kierowanej z wielką troskliwością przez Episkopat i pilnowanej jak oko w głowie przez samych duszpasterzy. Niemniej, za każdym razem jest to osobny wysiłek misyjny.

eprasa.pl a4a4bdc682

Z kolei ten kapłan, ażeby jego katecheza odnosiła skutki, zwłaszcza na pewnych odcinkach, gdy chodzi o młodzież, młodzież szkół średnich, młodzież ośrodków wielkomiejskich, gdzie prądy sekularyzacji są silniejsze, musi ogromnie dużo z siebie dawać i pod względem intelektu, i pod względem serca. Musi wciąż się sam dokształcać, musi wciąż nad sobą pracować, ażeby podołać tym zadaniom.

Tak to tłumaczyłem moim rozmówcom z całego świata. Jednak tłumacząc, zdawałem sobie sprawę, że ilościowo my jesteśmy w sytuacji lepszej od takich na przykład krajów misyjnych, czy krajów chociażby Ameryki Łacińskiej, gdzie średnia liczba wiernych na kapłana jest o wiele gorsza niż w Europie, niż w Polsce, gdzie sięga ona czasem kilkunastu tysięcy, a na Kubie sięga czterdziestu tysięcy dusz na jednego kapłana!

Rzeczywiście w porównaniu z tym sytuacja nasza jest jeszcze bardzo uprzywilejowana; to wszystko trzeba umiejętnie wyważać. Ja myślę, że Konferencja Episkopatu, a zwłaszcza Komisja Misyjna robi to bardzo umiejętnie. Nie stosujemy jakiegoś niekontrolowanego rozpędu misjonarskiego, ale równocześnie stale w tym kierunku pomagamy Kościołowi. Dajemy, ile możemy. Dajemy coraz więcej.

I jesteśmy bardzo poszukiwani ze względu na formację kapłana polskiego, która nie budzi zastrzeżeń i obaw. Bo nieraz biskupi boją się kapłanów przychodzących z niektórych krajów, z niektórych środowisk, ponieważ to, co przynoszą, może być raczej burzeniem niż budowaniem. Może ten proces powoli się uspokaja na świecie, ale wciąż jeszcze trwa. (…)

Nauka *Vaticanum II* określiła posłannictwo kapłana jako posłannictwo uniwersalne. Przez fakt święceń kapłan jest posłany do całego Ludu Bożego. Oczywiście to posłanie musi być potem określone przez przełożonego kościelnego najwyższej instancji, przez Stolicę Apostolską, przez poszczególne Episkopaty, a przede wszystkim przez poszczególnych ordynariuszów. Ale posłannictwo kapłańskie samo z siebie, wynikające ze święceń, jest posłannictwem uniwersalnym.

I należy cieszyć się z tego, że – przyjąwszy wszystkie założenia i zastrzeżenia, które wypowiedziałem – że Kościół w Polsce coraz bardziej staje się Kościołem misjonarskim, coraz więcej jest polskich misjonarzy w całym świecie. Nie wiem, czy są jakieś kraje na świecie, gdzie nie ma polskich kapłanów, przynajmniej pewnych grup. (…)

Jako źródło bardzo ważne zawsze będę polecał dokumentację Synodu Biskupów z 1971 roku, która dla ustawienia problematyki kapłanów w Kościele posoborowym jest właściwie klasyczna.

Pomódlmy się w intencji wszystkich kapłanów polskich, kapłanów chorych, starych, emerytów, ażeby Pan Bóg przyjął ofiarę ich życia. Pamiętajmy również o (…) chorych, (…) bo wiemy dobrze z naszego doświadczenia duszpasterskiego, że to są nasi najdyskretniejsi, najcichsi, ale także i najskuteczniejsi pomocnicy i współpracownicy. Ja w każdym razie o tym wiem na pewno!

Pragnę tym znakiem krzyża, którym teraz wszystkich błogosławię, w szczególny sposób poświęcić misjonarzy i kandydatów oraz ich krzyże misyjne, z którymi tutaj się znajdują.

Góra: Ks. prof. Jan Machniak podczas spotkania z Janem Pawłem II w apartamentach papieskich w Watykanie. Fot. Archiwum ks. Jana Machniaka
Dół: Ks. prof. Stanisław Nagy, wybitny teolog apologeta, późniejszy kardynał, był częstym gościem Papieża w Rzymie; obu łączyły wieloletnie serdeczne więzy przyjaźni. Fot. z książki „Kardynał ludzkich serc", Biały Kruk

eprasa.pl a4a4bdc682

100-lecie urodzin św. Jana Pawła II

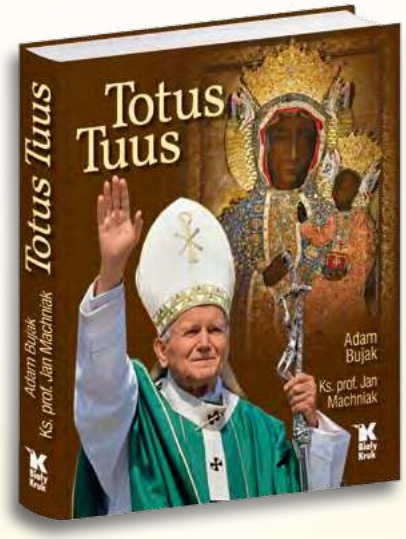

Ogłoszony przez polski parlament Rok św. Jana Pawła II w stulecie jego urodzin (1920–2020) każe zastanowić się nad dziełem naszego wielkiego rodaka. Ks. Karol Wojtyła na drogę swego dorosłego życia wybrał dewizę Totus Tuus, czyli po polsku Cały Twój – zawołanie odnosi się do Maryi, Matki Jezusa.

Wybitny artysta Adam Bujak, który fotografował Karola Wojtyłę – Jana Pawła II przez 40 lat!, ukazuje w tym albumie zarówno niezwykły kult Matki Bożej, jak i związki polskiego Papieża z pobożnością Maryjną. Autor pięknymi obrazami objaśnia sens dewizy Totus Tuus.

nowość

272 str., 23,5 x 27 cm,
papier kredowy 150 g, twarda oprawa
Cena detal. **99** zł

Zamieszczone w tej książce rozważania Drogi Krzyżowej zostały napisane przez krakowskiego metropolitę abp. Marka Jędraszewskiego na nabożeństwo, które w roku 2020 miało zostać odprawione w Nowej Hucie. Nie mogło się odbyć z powodu pandemii koronawirusa. Ale te bardzo ciekawe, warte utrwalenia rozważania ukazują się w postaci książkowej.
Oparta na paralelach czternastu epizodów Męki Pańskiej z czternastoma epizodami z życia Jana Pawła II konstrukcja tych rozmyślań, powstałych dla uczczenia stulecia urodzin Świętego Papieża, nabrała w kontekście opustoszałych polskich miast szczególnie dramatycznego wyrazu.

nowość

112 str., 16,5 x 22,5 cm,
papier kredowy 150 g, twarda oprawa
Cena detal. **29** zł

49 zł

312 str., 23 x 28,5 cm,
papier kredowy 170 g,
twarda oprawa
Cena detal. **93** zł

49 zł

224 str., 23 x 28,5 cm,
papier kredowy 170 g,
twarda oprawa
Cena detal. ~~93~~ zł

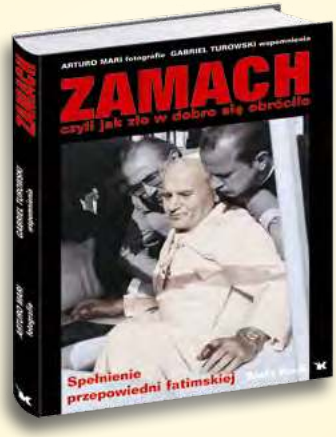

39 zł

114 str., 24 x 320 cm,
papier kredowy 170 g,
twarda oprawa
Cena detal. ~~82~~ zł

eprasa.pl a4a4bdc682

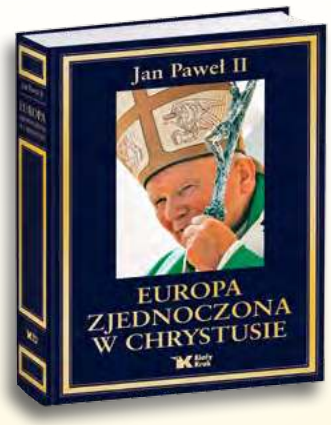

29 zł **432 str.**, 16,7 x 23,5 cm, papier kredowy, złocenia, tłoczenia, twarda oprawa
Cena detal. ~~59~~ zł

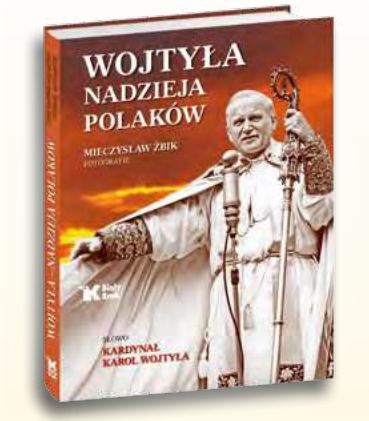

29 zł **128 str.**, 23 x 29 cm, papier kredowy, twarda oprawa
Cena detal. ~~72~~ zł

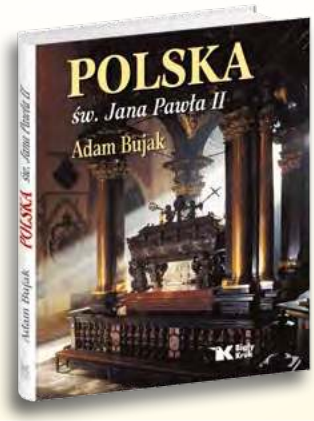

29 zł **160 str.**, 20,5 x 28 cm, papier kredowy, twarda oprawa
Cena detal. **79** zł

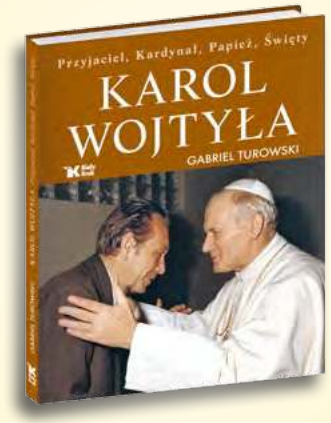

29 zł **160 str.**, 23 x 28 cm, papier kredowy 170 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~82~~ zł

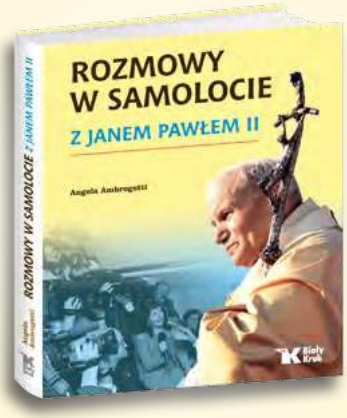

29 zł **240 str.**, 20,5 x 25 cm, papier kredowy 150 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~79~~ zł

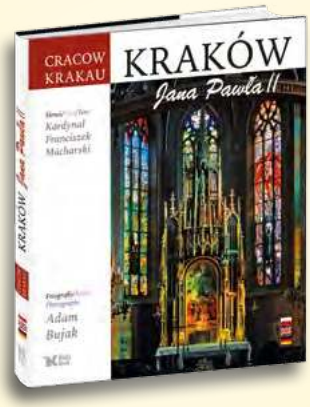

29 zł **128 str.**, 23,5 x 27 cm, papier kredowy, twarda oprawa
Cena detal. **80** zł

29 zł Cena za 1 egzemplarz, dotyczy tomów 1–3

Tom I **448 str.**, Tom II i III **432 str.**, 19,5 x 24 cm, papier kredowy 115 g, twarda oprawa
Cena detal. ~~83~~ zł/egz.

bonus

1 zł* **Film dokumentalny, czas trwania: 150 minut**
Cena detal. ~~23~~ zł

*Przy zamówieniu powyżej 200 zł

Zamów telefonicznie lub e-mailem! Pomóż przetrwać!

ZAMÓWIENIA: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a4a4bdc682

Bez odrodzenia się moralnej odpowiedzialności każdy program prewencyjny będzie nieskuteczny

Jan Paweł II wobec epidemii

Jolanta Sosnowska

Nie sądzę, by ks. prof. Karol Wojtyła zaakceptował restrykcyjną liczbę pięciorga wiernych podczas Mszy św. i zachęcał do wypędzania ludzi z kościoła, gdyby to za jego czasów rozszalała się pandemia koronawirusa. Nie sądzę, żeby się bał – zawsze wszak dawał przykład odwagi i niezłomności oraz nawoływał: „Nie lękajcie się!". Albo żeby okazywał wobec parafian strach przed zarażeniem, strach o własne zdrowie. Nie sądzę, by jako ordynariusz diecezji biskup Wojtyła nie zaordynował szybko dla swych wiernych specjalnego programu opieki dusz pasterskiej na czas zarazy. By akceptował trwożne pozamykanie się w swoich domowych wieczernikach, bo zewsząd słychać, że czas powrócić do pierwotnej formy chrześcijaństwa – do Kościoła domowego. By spełniało się marzenie ateistów: chrześcijaństwo tak, ale tylko w domu.

Nie wyobrażam sobie, by za czasów Jana Pawła II nie trwała z podziałem na dyżury nieustanna modlitwa błagalna wiernych przed Najświętszym Sakramentem o zatrzymanie pandemii, którą to modlitwę on by zainicjował i której odważnie by przewodził. Szczególnie, że dziś, inaczej niż w czasach biskupa i kardynała Karola Wojtyły, można bez problemu i szybko porozumiewać się, skrzykiwać smsami, mejlami, na Twitterach, Instagramach itp. Zupełnie nie mieści mi się w głowie, żeby zganił któregoś ze swoich kapłanów za to, że chodzi lub jeździ po ulicach z monstrancją i błogosławi Chrystusem ukrytym pod postacią chleba ludzi uwięzionych w domach przez pandemię. Przecież ten czas w sposób szczególny domaga się wzmożonej modlitwy, wzmożonego pocieszenia i pokrzepienia!

Nie wyobrażam sobie, by za czasów biskupa Karola Wojtyły i kard. Stefana Wyszyńskiego świątynie nie rozbrzmiewały nieustannym śpiewem suplikacji, czyli bardzo uroczystej prośby „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!". Dzisiaj zapewnia nam to tylko codzienna – za pośrednictwem nieocenionej TV Trwam – transmisja wieczornego Apelu Jasnogórskiego z Kaplicy Cudownego Obrazu, który sprawowany jest z udziałem częstochowskiego ordynariusza abp. Wacława Depo.

Gdyby Jan Paweł II jeszcze żył, dałby nam na pewno widoczny i mocny przykład gorliwości w wierze, zawierzenia Panu Bogu, a swoją postawą pociągnąłby innych do żarliwości i trwania na klęczkach. Sprzeciwiłby się na pewno masowemu – jak to się dzisiaj dzieje – przeniesieniu praktyk religijnych na poziom wirtualny. Bardzo to niebezpieczne zjawisko, a jego szkody mogą być wprost niepowetowane. Ludzie łatwo przywiązują się bowiem do praktyk wygodnych, nie wymagających od nich wysiłków, a przyzwyczajenie to, jak wiadomo, druga natura.

Jan Paweł II nigdy się nie bał, bez najmniejszego strachu wychodził na spotkanie drugiego człowieka – nawet najciężej chorego. Jego tarczą było zawierzenie Bożej Opatrzności. Fot. Adam Bujak („Rok 12", Biały Kruk)

Ilu wiernych korzystających obecnie z dyspensy od udziału w niedzielnej Eucharystii rzeczywiście czynnie i z należytą pobożnością uczestniczy w radiowych, telewizyjnych czy internetowych Mszach św. tak, jakby byli na nabożeństwie w kościele? Ilu zaś po prostu ogląda transmisję jak każdą inną audycję, np. w piżamie, z kubkiem kawy w ręce, odrywając się od czasu do czasu do domowych czynności? Ilu wirtualnych uczestników ma taką potrzebę, świadomość i samodyscyplinę, by uczynić akt nierzeczywistej obecności aktem rzeczywistej pobożności? Przy filmowaniu dla celów li tylko oglądania dużą wagę przywiązuje się do atrakcyjności przekazu, co stanowi często przeszkodę w skupieniu się na modlitwie, która jest przecież rozmową z Bogiem i wymaga dużego skupienia. Jednym z czynników powodujących dekoncentrację jest choćby skupianie uwagi operatora, a tym samym i naszej, na osobach sprawujących liturgię, na uczestnikach.

Pandemia ustanie i rygory zostaną zniesione, ludzie rzucą się na powrót do centrów handlowych, placówek kulturalnych, restauracji, obiektów sportowych etc. Czy rzucą się też do kościołów, by zaspokoić duchowy głód i powetować sobie czas, gdy świątynie były dla nich praktycznie zamknięte?...

Na jakiej podstawie snuję przypuszczenia na temat tego, jak w obecnej sytuacji zachowałby się ksiądz, biskup, kardynał Karol Wojtyła – św. Jan Paweł II? Oczywiście na podstawie analizy jego

eprasa.pl a4a4bdc682

życia i nauczania. Szczególnie zaś jego postawy i reakcji wobec dwóch epidemii, jakie zagrażały światu za jego czasów.

Ciężki krzyż trądu i piętno odrzucenia

Pierwszą z nich była epidemia trądu, choroby zakaźnej, przewlekłej, wywoływanej przez prątka *Mycobacterium leprae*. Nie było wtedy o niej tak zaawansowanej wiedzy, jaką mamy dzisiaj; obecnie to choroba prawie wyleczalna. Pomimo tego trędowaci pozostali do teraz synonimem ludzi odtrąconych, żyjących w odosobnieniu, okrutnie oszpeconych i zdeformowanych, naznaczonych piętnem rozpadu ciała. W biednych krajach nieleczony trąd prowadził u pacjentów do ogromnych zniekształceń. Pierwsza z form tej choroby wywołuje zmiany skórne – pojawiają się swędzące guzy i guzki, pokrywające stopniowo całe ciało, które uciskają inne tkanki. W dawnych czasach ów potęgujący się ucisk prowadził do śmierci w straszliwych cierpieniach; znane są wstrząsające opisy trądu i trędowatych z czasów średniowiecznych. W drugiej formie trądu, w której rozwój choroby był powolniejszy, zmianom skórnym towarzyszyły również zmiany neurologiczne, jak zanik czucia czy porażenia pewnych części ciała.

Trąd do dziś występuje w Indiach (tam odnotowuje się ponad 50 proc. wszystkich przypadków choroby na świecie), w Azji Południowo-Wschodniej, Afryce Równikowej oraz Ameryce Południowej. Choć w chwili obecnej obserwuje się spadek liczby zachorowań, to jednak każdego roku notuje się ponad 200 tys. nowych przypadków, o czym media, jak wiemy, wcale się nie rozpisują. Do zakażenia dochodzi przez górne drogi oddechowe (droga kropelkowa), rzadziej kontaktowo przez uszkodzoną skórę.

Podczas swych podróży apostolskich po świecie Papież Polak odwiedzał również leprozoria, a więc miejsca odosobnienia i leczenia trędowatych. Po raz pierwszy uczynił to 12 maja 1980 r. w Adzopé na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Rozmawiał tam z lekarzami, zwiedził Krajowy Instytut do Walki z Trądem, ale przede wszystkim – spotkał się z chorymi. Przemawiając do pacjentów, przeważnie niechrześcijan, z pokorą wyjaśnił im najpierw, że od 16 października 1978 r. jest biskupem Rzymu i duchowym zwierzchnikiem katolickiego Kościoła. Papież nie oczekiwał, że będzie znany przez wszystkich, choć zapewne chorzy zostali wcześniej poinformowani o jego wizycie i godności, którą sprawuje.

Ojciec Święty przemawiał jak misjonarz, ale także jak nauczyciel, w czym pomagało mu wieloletnie doświadczenie wykładowcy. Zapewnił, że szanuje uczucia religijne innych, a także ich sposób „zwracania się do Boga według własnego sumienia. Gdyż nikt nie jest zwolniony od zwracania się ku Bogu; a jak o Nim zapomnieć, gdy uciska nas nędza? (…) Zdradziłbym swą misję, gdybym nie spędził cennego czasu z tymi, których Jezus szczególnie umiłował z powodu ich nędzy, ponieważ potrzebowali pocieszenia, umocnienia, uleczenia, nadziei". Z oczu wielu trędowatych popłynęły wtedy łzy wzruszenia. Niewiele tu mieli odwiedzin, a tymczasem specjalnie do nich przyjechał znamienity gość z dalekiego Rzymu, przynosząc wiarę, nadzieję i miłość. I jeszcze jedno – Jan Paweł II nie brzydził się ich, nie odwracał się od ich zniekształconych chorobą, nierzadko pozbawionych kończyn ciał, szpetnych twarzy. Nie odnosił się do nich jak do nieczystych czy nietykalnych. Nie używał odkażalników, nie nosił ochronnej maseczki ani jednorazowych rękawiczek. Traktował ich na wzór Chrystusa z przynależną każdej osobie ludzkiej godnością. A przecież trąd jest chorobą wysoce zaraźliwą – w latach 1980. chorowało na nią na świecie 20 mln osób.

W lipcu tego samego roku 1980 Jan Paweł II odwiedził także znajdującą się w pobliżu brazylijskiego miasta Belém (po portugalsku znaczy to Betlejem) kolonię trędowatych Marituba. Nieopodal niej wzniesiono osiedle Pedreirinha dla wyleczonych, których jednak wyrzekły się rodziny; nie chciały mieć z nimi kontaktu z obawy o własne życie i zdrowie. Gdyby nie to osiedle, nie mieliby gdzie się podziać. Wówczas w Brazylii żyło 1 mln 630 tys. chorych na trąd. Na ścianie kaplicy leprozorium w Maritubie wisiała pozbawiona rąk i nóg figura trędowatego Chrystusa, przed którą pacjenci modlili się każdego dnia słowami: „Chrystus nie ma rąk, ma tylko nasze ręce do swej dzisiejszej pracy. Chrystus nie ma nóg, ma tylko nasze nogi, by prowadzić ludzi swoją drogą". Jednym z 750 pacjentów owego leprozorium był niejaki Adalusio, który przebywał tu już od 40 lat. Nie był katolikiem, ale osobą religijną i to jemu przypadł zaszczyt powitania Jana Pawła II. Wielce wzruszony Adalusio powiedział wówczas: „Dziś czujemy się jak w niebie, gdyż jest wśród nas przedstawiciel Jezusa Chrystusa i następca Piotra. Nasza radość jest wielka. Dostąpiliśmy wielkiej łaski i błogosławieństwa Bożego. Może ta postawa zastępcy Chrystusa odmieni ludzkie serca i jeszcze bardziej uwrażliwi je na chorobę, cierpienie i nędzę braci".

Św. Jan Paweł II chciał uwrażliwiać świat i swoim zachowaniem dawał przykład. Również w kolonii Marituba podszedł do trędowatych. Ściskał im ręce, gładził po twarzach, wziął na ręce małe dziecko. Przyniósł im też wtedy ogromnie ważne słowa przyjaźni, pociechy i na-

Będąc w Korei w maju 1984 r., Papież Polak odwiedził chorych na trąd przebywających w leprozorium w Sorogdo, odprawił dla nich Liturgię Słowa i przekazał na pomoc im 25 tys. dolarów. Fot. Arturo Mari/L'Osservatore Romano („Jan Paweł II. Dzień po dniu", tom I, Biały Kruk)

eprasa.pl a4a4bdc682

dziei: „Choroba naprawdę jest krzyżem, czasami ciężkim krzyżem, próbą, którą Bóg dopuszcza w życiu człowieka, w niepojętej tajemnicy planu, który wymyka się naszym zdolnościom pojmowania. Ale nie powinna być ona widziana jako ślepe przeznaczenie. Nie musi też być wcale sama w sobie karą. Nie jest czymś, co unicestwia, nie zostawiając nic pozytywnego. Przeciwnie, krzyż choroby, nawet kiedy ciąży ciału, niesiony w łączności z krzyżem Chrystusa staje się źródłem zbawienia, życia i zmartwychwstania, dla samego chorego i dla innych. (…) Nie odgradzajcie się z powodu waszej choroby. Wszyscy ci, którzy z oddaniem i znajomością rzeczy wami się zajmują, poświęcając wam może cały swój talent, czas i siły, powtarzają z naciskiem, że nie ma nic lepszego jak to, gdy czujecie się głęboko włączeni we wspólnotę braci, a nie od niej odcięci".

Na przełomie maja i czerwca 1984 r. odbyła się w Watykanie konferencja nt. „Immunologia, epidemiologia i aspekty społeczne trądu", w której uczestniczyli naukowcy Papieskiej Akademii Nauk. Przemawiając do nich, Jan Paweł II wykorzystał także swoje doświadczenia z pobytów w leprozoriach.

Ojciec Święty przekonywał, że w dziedzinie leczenia różnych chorób, także trądu, badania naukowe muszą łączyć się z uczuciami braterstwa, by mogły skutecznie ratować ludzkość w jej potrzebach i cierpieniach. Badania służą bowiem nie tylko wspaniałemu wykorzystaniu możliwości ludzkiego umysłu, ale też spożytkowaniu wybitnych cnót moralnych. Jan Paweł II mówił wprost, że naukowcom potrzebna jest pomoc Ducha Świętego, by nie ulegali zwątpieniu i zniechęceniu. Nauka ukierunkowana na cele pokojowe może złagodzić bolączki świata, poprawić położenie i pomóc podnieść jakość życia, zwłaszcza tych najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych. Dlatego Jan Paweł II wezwał rządy, instytucje międzynarodowe i organizacje pomocowe, by w jeszcze większym stopniu wspierały pracę naukowców, lekarzy, misjonarzy i wolontariuszy, którzy walczą zarówno z trądem, jak i „upokarzającym i tragicznym odrzucaniem trędowatych przez społeczeństwo".

Św. Jan Paweł II przypomniał spotkanie Jezusa z trędowatymi, o którym pisze św. Marek Ewangelista: „Wtedy przyszedł do Niego trędowaty i upadając na kolana, prosił Go: 'Jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić'. Zdjęty litością, wyciągnął rękę, dotknął go i rzekł do niego: 'Chcę, bądź oczyszczony!'. Natychmiast trąd go opuścił i został oczyszczony" (Mk 1, 40–42).

Nietrudno było się domyśleć, że właśnie te słowa Pisma Świętego stanowiły dla Papieża Polaka inspirację w jego kontaktach z trędowatymi. Jan Paweł II podziwiał też chrześcijańskich misjonarzy, którzy prowadzili działalność apostolską wśród chorych na trąd. Przypomniał naukowcom postać jednego z nich, ofiarnego ojca Damiana de Veustera (1840–1889) ze Zgromadzenia Najświętszych Serc Jezusa i Maryi, który apostołował na hawajskiej wyspie Molokai. Tam też umierał, zaraziwszy się trądem, co potraktował jako wielką Bożą łaskę. Beatyfikując go w 1995 r., Papież powie: „Stał się trędowatym wśród trędowatych – stał się trędowatym dla trędowatych. Tak jak oni cierpiał i umarł, wierząc w zmartwychwstanie wraz z Chrystusem, albowiem Chrystus jest Panem!".

Jan Paweł II mówiąc o walce z trądem często też przywoływał postacie świeckiego misjonarza, Włocha Marcello Candii (1916–1983), oraz Polaka, ojca jezuity Jana Beyzyma (1850–1912). Przebywając w 1989 r. w malgaskim mieście Fianarantsoa, Ojciec Święty spotkał się ze 180 chorymi na trąd z pobliskiego leprozorium w Maranie, które założył właśnie polski misjonarz, zwany apostołem trędowatych, wywodzący się z bardzo patriotycznej polskiej rodziny, niezwykle szykanowanej przez władze carskie po Powstaniu Styczniowym. Jan Paweł II sprawował tam Eucharystię przy drewnianym ołtarzu wykonanym przez o. Beyzyma, przy którym stał obraz Matki Bożej Częstochowskiej przywieziony przez niego z Polski; Ojciec Święty używał też jego kielicha liturgicznego. 18 sierpnia 2002 r. Papież Polak dokonał w Krakowie beatyfikacji o. Beyzyma.

Podczas pobytu w 1990 r. w Gwinei Bissau, w mieście Cumura, Jan Paweł II odwiedził leprozorium dla ponad 100 osób. Przekazał tam też orędzie na Światowy Dzień Chorych na Trąd, w którym podkreślił, że choroba ta „łączy się prawie zawsze z biedą, niedostateczną opieką lekarską, marginalizacją i opuszczeniem". Jan Paweł II docenił też wtedy ogromne zasługi skromnych zakonnic i zakonników, którzy z poświęceniem, z dala od zgiełku mediów i świateł jupiterów, bez nagród i orderów, oddają swoje siły opiece nad chorymi, podczas gdy świat woli nie dostrzegać ani ich pracy, ani cierpienia trędowatych. Tymczasem, jak słusznie podkreślał Papież: „Nie ma dziś kraju, którego problemy nie angażowałyby w jakimś stopniu odpowiedzialności wszystkich pozostałych krajów". Pandemia koronawirusa potwierdza te słowa z całą jaskrawością.

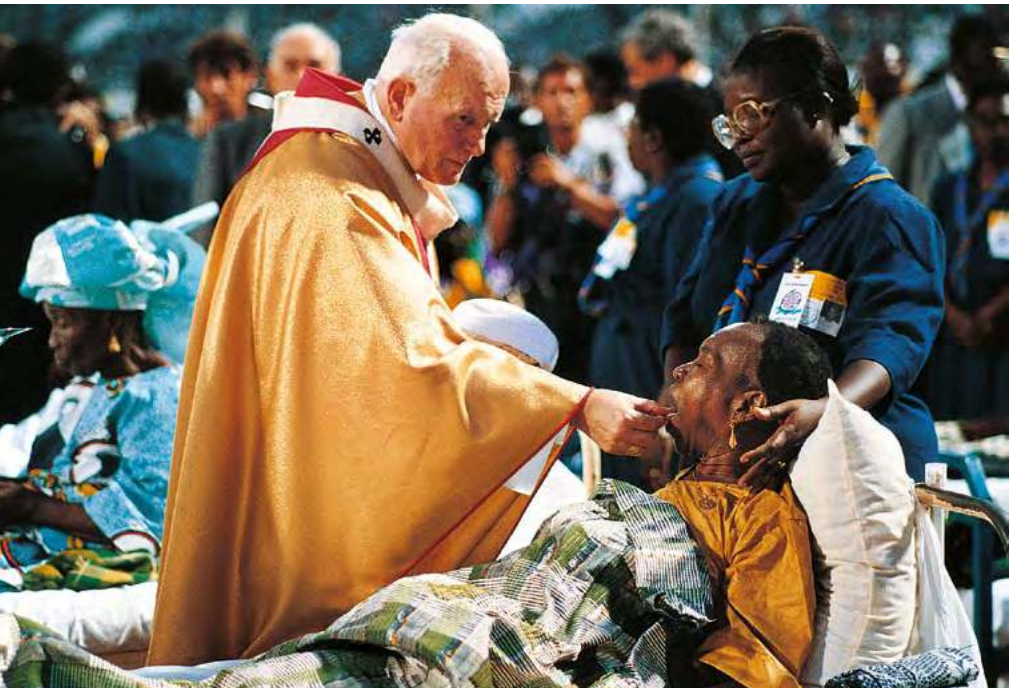

Odwiedzając kraje afrykańskie, na które spadła plaga choroby AIDS, Jan Paweł II nie tylko spotykał się z chorymi i pełnił wobec nich duchową posługę, także uświadamiał o prawdziwych przyczynach szerzenia się pandemii wirusa HIV. Fot. Arturo Mari/L'Osservatore Romano („Jan Paweł II. Dzień po dniu", tom II, Biały Kruk)

Dżuma XX w. – brak odporności w sferze wartości

17 września 1987 r. cały świat obiegła fotografia zrobiona w centrum Golden Gate Bridge w San Francisco, przedstawiająca Jana Pawła II przytulającego chorego na AIDS czteroletniego chłopca, który zaraził się wirusem HIV podczas transfuzji krwi. Papież wziął dziecko na ręce i pocałował je w policzek. Ono bardzo mocno się do niego przytuliło, a potem żartobliwie… pociągnęło za ucho. Przed

eprasa.pl a4a4bdc682

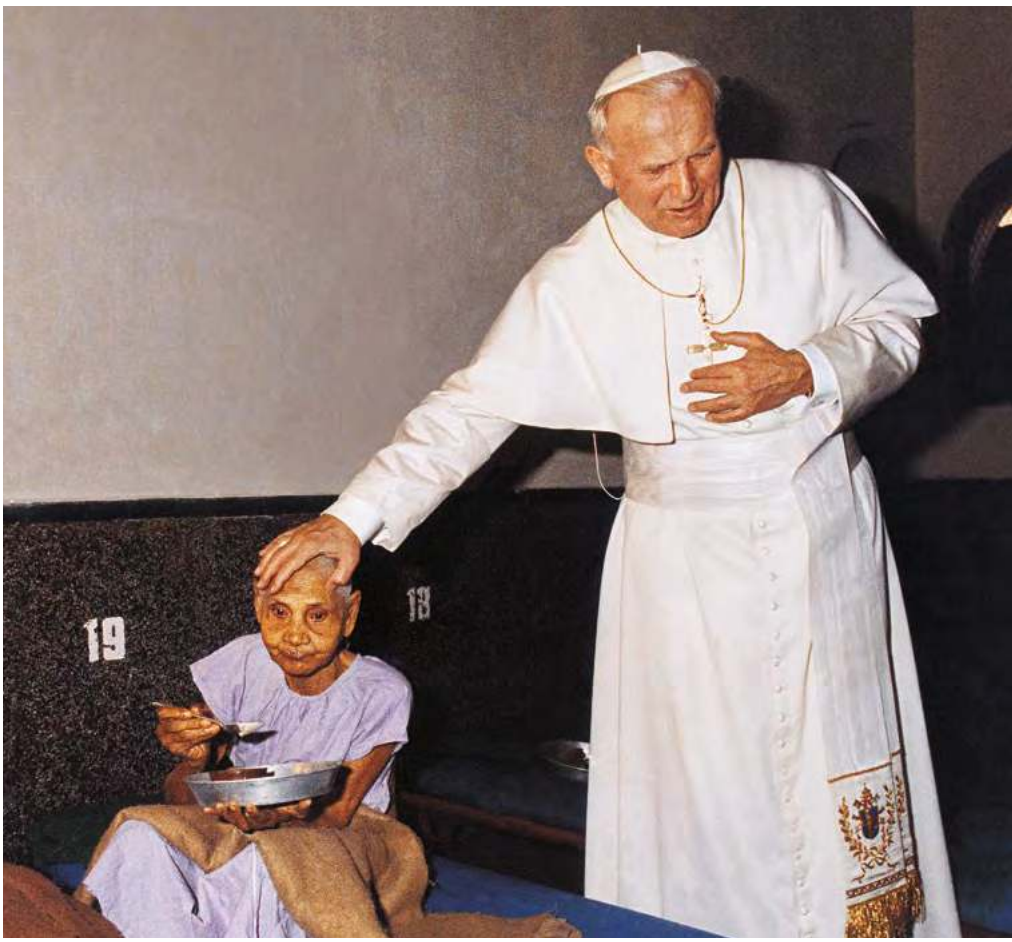

Ojciec Święty w lutym 1986 r. w prowadzonym w Kalkucie przez Matkę Teresę i Siostry Misjonarki Miłości przytułku dla umierających, nazwanym Domem Czystego Serca. Fot. Arturo Mari/L'Osservatore Romano („Matka Teresa i jej papież", Biały Kruk)

wejściem do centrum Golden Gate Bridge zebrała się także nieliczna, ale hałaśliwa grupka, która głośno krzyczała w kierunku Papieża: „Wstyd, wstyd!". Ich zdaniem Ojciec Święty powinien był wstydzić się tego, że nawołuje do wstrzemięźliwości seksualnej, wierności małżeńskiej i zabrania używania prezerwatyw, a przecież jest to jakoby doskonały środek ochronny przeciw AIDS. Tymczasem, paradoksalnie, nikt z owych demonstrantów oraz ich zleceniodawców nie chciał przyznać, ani nawet o tym słyszeć, że wybuch zarówno tej strasznej choroby, jak i jej światowej epidemii został spowodowany zanikiem wstydu w kontaktach seksualnych – a dokładnie: globalnym lansowaniem i praktykowaniem bezwstydu.

Pierwsze przypadki zachorowań na AIDS odnotowano w 1981 r. u homoseksualnych mężczyzn, dlatego chorobę tę nazywano początkowo GRID, od angielskiego *gay-related immunodeficiency*, czyli niedostatek odporności dotyczący gejów. Później, gdy choroba zaczęła się rozprzestrzeniać, w 1986 r. powstała (tak naprawdę ukrywająca pierwotne źródło zakażenia i bardziej poprawna politycznie) nazwa AIDS, od angielskiego *acquired immune deficiency syndrome*, czyli zespół nabytego niedoboru odporności. Papież Polak tymczasem nazwał tę wywołaną rozprzestrzenianiem się wirusa HIV zarazę, czyli masową chorobę zakaźną – dżumą XX w.

O szerzącej się pladze AIDS, której pandemia rozszalała się w czasach pontyfikatu Jana Pawła II, Papież Polak mówił wielokrotnie. Szczególnie powracał do analizy tego bolesnego problemu podczas swych pielgrzymek na biedny kontynent afrykański, którego mieszkańców tragedia AIDS dotknęła najbardziej. 1 września 1990 r. w ówczesnej stolicy Tanzanii Dar es-Salaam Ojciec Święty mówił zdecydowanie: „Tragedia AIDS zagraża nie tylko poszczególnym narodom czy społecznościom, ale całej ludzkości. Ona nie zna geograficznych granic, ras, wieku, sytuacji społecznej. W przeciwieństwie do innych, tej epidemii towarzyszy wyjątkowy niepokój. Prokreacyjna funkcja ludzkiej seksualności oraz krew, esencja zdrowia i życia, stały się nośnikami śmierci. Jedynie odpowiedź, która uwzględni tak aspekt medyczny choroby, jak i ludzki, kulturowy, etyczny i religijny wymiar życia, może zapewnić całkowitą solidarność z ofiarami i wzmocnić nadzieję, że możliwe są kontrola oraz ograniczenie epidemii.

Epidemia AIDS wymaga niezmiernego wysiłku międzynarodowej współpracy pomiędzy rządami, światowymi środowiskami lekarskimi i naukowymi, a także tymi, którzy mają wpływ na rozwój poczucia moralnej odpowiedzialności we wspólnocie".

Jan Paweł II zapewniał, że członkowie Kościoła nie tylko modlą się za chorych na AIDS i nosicieli HIV, ale też „nadal będą opiekować się cierpiącymi, tak jak Chrystus nakazał to czynić swoim uczniom. Są bowiem przekonani, że bez odrodzenia się moralnej odpowiedzialności i bez ponownego utwierdzenia się w podstawowych wartościach każdy program prewencyjny będzie nieskuteczny, a wręcz hamujący rozwój. Jeszcze bardziej szkodliwe są kampanie pośrednio promujące – za sprawą braku treści moralnej i fałszywości oferowanego bezpieczeństwa – właśnie te przykłady zachowań, które w dużej mierze przyczyniły się do ekspansji choroby".

Cztery dni później w Bużumburze, stolicy Burundi (w kraju tym nosicielami wirusa HIV było co najmniej 30 proc. mieszkańców), Ojciec Święty podkreślił, że duszpasterstwo Kościoła katolickiego napotyka na szereg wyzwań wobec epidemii AIDS. Przede wszystkim zaś musi „informować i wychowywać, nie zgadzając się, by ten problem był rozważany ze szkodą dla etyki, gdyż w tym wypadku nie sposób byłoby ani pojąć, ani zwalczyć źródła zła".

W stolicy Ruandy, Kigali, podczas Mszy św. 9 września 1990 r., Jan Paweł II przekonywał z mocą, że: „informowanie o ryzyku infekcji i organizowanie akcji prewencyjnej w wymiarze ściśle medycznym nie byłoby godne człowieka, gdyby się nie łączyło z wezwaniem go do dojrzałości uczuciowej i do przeżywania płciowości w sposób uporządkowany (…). Trzeba informować i kształcić, nie godząc się na wyrwanie problemu z kontekstu etycznego, ponieważ w takim przypadku nie byłoby możliwe ani zrozumienie przyczyn zła, ani skuteczna walka z nimi". Te słowa były nie tylko ewangelizacją, ale oznaczały także rzucenie wyzwania potężnemu biznesowi farmaceutycznemu, dla którego polski Papież stał się niebezpiecznym przeciwnikiem, nawet wrogiem, co dziś odczuwalne jest jeszcze bardziej niż w 1990 r.

Problem epidemii AIDS poruszył Jan Paweł II także podczas pobytu w 1993 r. w Ugandzie, jednym z najbiedniejszych krajów afrykańskich, z ogromną ilością analfabetów oraz ludzi chorych na „dżumę XX wieku". Nosiciele HIV stanowili tam aż 9 proc. wszystkich mieszkańców. W Kampali Ojciec Święty odwiedził największy miejscowy szpital katolicki,

eprasa.pl a4a4bdc682

17 września 1987 r. cały świat obiegła fotografia zrobiona w centrum Golden Gate Bridge w San Francisco, przedstawiająca Jana Pawła II przytulającego chorego na AIDS czteroletniego chłopca. Fot. Arturo Mari/L'Osservatore Romano („Rok 9", Biały Kruk)

w którym na 360 pacjentów jedną trzecią stanowili chorzy na AIDS. W ich imieniu kilkuletnia dziewczynka wręczyła Ojcu Świętemu bukiet kwiatów. Papież wyraził szczere i głębokie ubolewanie z powodu szerzenia się tej strasznej choroby, a w kaplicy pobłogosławił pięcioro ludzi w bardzo ciężkim stanie. Do chorych mówił wprost o przyczynach lawinowego rozprzestrzeniania się zachorowań. Wyjaśniał im, wbrew teoriom głoszonym przez koncerny farmaceutyczne, przyczyny zła. Koncerny w krajach takich jak Uganda upatrywały ogromny rynek zbytu na środki antykoncepcyjne. Pomoc humanitarna i związane z tym akcje uświadamiające sprowadzały się często do rozpowszechniania prezerwatyw, a nawet uzależniały pomoc wprost od ich stosowania.

Jan Paweł II wyjaśniał, że AIDS ma swój społeczny i moralny aspekt, że jest wynikiem nadużywania wolności, w tym przypadku seksualnej. Z tego zaś względu stanowi nie tylko osobisty dramat chorych, ale też wyzwanie dla całego świata. Zapewniał, że chorych nie odrzuca, wskazuje tylko na złe czyny i chce ich nawrócić. Domagał się respektowania katolickiej etyki seksualności, która stanowi jedyny właściwy drogowskaz. Papież zostawił chorym na AIDS słowa pocieszenia, że ich „cierpienie może być darem łaski, który przyczyni się do moralnego odrodzenia społeczeństwa Ugandy". Przekonywał, że mogą oni swe cierpienia ofiarować w intencji głoszenia prawdy i miłości Chrystusa w ich kraju.

Papież przemawiając oddzielnie do młodzieży na temat tragicznej plagi AIDS, uwrażliwiał młodych na głęboki „ludzki sens seksualności". Przekonywał, że zrozumienie tego sensu i postępowanie według zasad moralnych to najpewniejszy sposób uniknięcia tragedii AIDS. Jakże pięknie mówił o miłości cielesnej: „Akty płciowe to jakby 'słowa', które odsłaniają nasze serca. Bóg pragnie, byśmy posługiwali się naszą płciowością zgodnie z Jego zamysłem. Oczekuje, że za jej pośrednictwem będziemy 'mówili' prawdę".

Św. Jan Paweł II trwał jak opoka, choć przysporzył tym sobie bardzo wielu wrogów, którzy przy pomocy zmasowanych ataków medialnych uczynili go wręcz winnym rozprzestrzeniania się AIDS w Afryce. Papież tymczasem doskonale rozeznawał, że propagowanie środków antykoncepcyjnych przyczynia się do propagowania rozwiązłości seksualnej w myśl zasady „hulaj dusza, piekła nie ma", co zresztą jest przyczyną wielu innych ludzkich tragedii na skalę globalną.

Nie wiedziano jeszcze wtedy tego, co za 10 lat mieli ogłosić amerykańscy badacze i naukowcy na podstawie wyników kilkuletnich badań i eksperymentów. Oto na początku XXI w. słynny *Science* podał, że jest dowód na to, iż epidemię AIDS można skutecznie powstrzymać, stosując – wstrzemięźliwość seksualną. Eksperyment taki przeprowadzili Amerykanie właśnie w Ugandzie. Szeroko propagując w tym kraju i argumentując ograniczenie liczby przypadkowych kontaktów seksualnych, uzyskano tam w ciągu kilku lat zmniejszenie liczby zachorowań na AIDS o 70 proc.! Etyczna metoda leczenia była (jest) jednak nie do zaakceptowania przez potężne koncerny farmaceutyczne. Poprzestano więc na eksperymencie. I tak raporty Światowej Organizacji Zdrowia wykazują, że obecnie chorych nie ubywa, że liczba przypadków rośnie i np. w 2017 r. z powodu AIDS zmarło ponad milion osób. Na świecie jest już obecnie prawie 40 mln osób dotkniętych HIV.

W kwestii wirusa nazwanego HIV i choroby, którą on wywołuje, Papież Polak był znakomicie poinformowany i zorientowany. Jak przystało na naukowca, zawsze badał każdą sprawę dogłębnie, słuchał uważnie opinii uczonych specjalistów i na tej podstawie wyrabiał sobie własną opinię i osąd. Już w listopadzie 1989 r. odbyła się w Watykanie zorganizowana przez Papieską Radę ds. Duszpasterstwa Służby Zdrowia międzynarodowa konferencja nt. AIDS, w której udział wzięło 1600 specjalistów. Przemawiając na jej forum, Jan Paweł II podkreślał jakże słusznie i jakże niepoprawnie politycznie, czego postępowcy do dziś nie są w stanie mu wybaczyć: „AIDS, w porównaniu z innymi chorobami zakaźnymi, które nękały ludzkość na przestrzeni dziejów, wywołuje daleko głębsze reperkusje natury moralnej, społecznej, gospodarczej, prawnej i organizacyjnej tak w życiu rodzin i lokalnych wspólnot, jak też w życiu poszczególnych krajów i całej wspólnoty narodów. Dziś bowiem wirus HIV występuje, choć w różnym nasileniu i w różnych formach, w ogromnej większości krajów świata i, jak wykazują okresowe badania prowadzone przez służby medyczne, zjawisko to stale się rozszerza.

(…) Nie ulega wątpliwości, że raz jeszcze badania nad groźną chorobą przyczyniły się do postępu całej związanej z nią gałęzi medycyny, z korzyścią dla leczenia innych patologii. Skądinąd, dzięki większej obecnie świadomości wpływu czynników biologicznych, środowiskowych i społeczno-kulturowych na rozwój i rozprzestrzenianie się chorób zakaźnych, ze szczególną uwagą zajęto się pytaniem, na ile pewne formy obcowania i kontaktu między osobami – wewnątrz poszczególnych kategorii lub grup ludzkich – mogą stwarzać i powiększać niebezpieczeństwo zakażenia wirusem HIV. (…)

eprasa.pl a4a4bdc682

Okoliczności, w jakich następuje zakażenie i rozprzestrzenianie się AIDS, a także pewnego rodzaju sposób podejmowania walki z tą chorobą ujawniają – jak słusznie przypomina temat tego kongresu – niepokojący kryzys wartości. Nie będzie dalekie od prawdy stwierdzenie, że równolegle z rozpowszechnianiem się AIDS ujawnił się pewnego rodzaju brak odporności w sferze wartości egzystencjalnych, którego trudno nie uznać za prawdziwą patologię duchową. Należy więc przede wszystkim stanowczo stwierdzić, że aby działalność prewencyjna była godna osoby ludzkiej, a zarazem naprawdę skuteczna, musi stawiać przed sobą dwa cele: prawidłową informację i wychowanie do odpowiedzialnej dojrzałości".

Choć od tamtej wypowiedzi minęło ponad 30 lat, zdiagnozowany przez Jana Pawła II „brak odporności w sferze wartości egzystencjalnych" gnębi współczesne społeczeństwa jeszcze silniej niż wówczas. Także przy okazji obecnej pandemii koronawirusa często ów brak odporności w sferze wartości jest widoczny. Dają się coraz głośniej słyszeć opinie, że paradoksalnie potrzeba było tej światowej epidemii, tego swoistego zatrzymania się galopującego na oślep świata, tego zmuszenia ludzi do pozostania w domach, by człowiek początku XXI w. wreszcie przystanął (został zatrzymany?). Przystanął w rosnącym pędzie za nieustannymi przyjemnościami i realizowaniem na przeróżne sposoby własnej samowoli, nazywanej jakże często samorealizacją. By zetknął się z ograniczeniami, został zmuszony dostrzec wokół siebie innych – bardziej potrzebujących, schorowanych, słabych – i musiał, mniej lub bardziej dobrowolnie, wziąć na nich wzgląd. Nie da się zaprzeczyć, że człowiek pierwszej ćwierci XXI w. otrzymał w ten przedziwny i dla wielu niezrozumiały sposób okazję do przemyślenia własnego dotychczasowego życia, ustalenia na nowo pryncypiów, oderwania się od wielu duchowych patologii. W nieustannym pędzie nie ma czasu na refleksje. Inną kwestią pozostaje odpowiedź na pytanie – na ile ludzkość z tego „zatrzymania się świata" duchowo i moralnie skorzysta?

Powróćmy jeszcze na chwilę do owej naukowej konferencji w Watykanie w 1989 r., która w sposób poważny, całościowy i uwzględniający naukę Kościoła przeanalizowała problem AIDS. Papież Polak skierował wtedy również odpowiednie apele do chorych na tę chorobę, a także do rodziców, wychowawców, młodzieży, do rządzących, uczonych, pracowników służby zdrowia, kapłanów i zakonników działających w służbie zdrowia. Nie był bezradny, nie przyglądał się biernie. Działał. A oprócz tego – przywoływał Bożą pomoc. Sam gorliwie się modlił, innych do modlitwy motywował oraz zachęcał.

Św. Jan Paweł II wskazywał jedyną skuteczną drogę do zahamowania pandemii AIDS – propagowanie i stosowanie wstrzemięźliwości seksualnej zamiast rozwiązłości, wierność małżeńską zamiast niewierności. Syte, nowoczesne, zachodnie społeczeństwa hołdujące konsumpcji i hedonizmowi nie chciały (i do tej pory nie chcą) jednak tego słuchać. Pandemia AIDS nadal się rozszerza, choć dziś już nie absorbuje tak środków masowego przekazu jak dawniej. Spowszedniała, przestała być gorącym newsem. Osławiona prezerwatywa niczego nie zahamowała. Wręcz przeciwnie – zwolniła hamulce moralne, doprowadzając do obecnego triumfu chorej ideologii LGBT, która podobnie jak zabijanie nienarodzonych czy eutanazja znajduje coraz częściej umocowanie w tzw. państwach prawa.

Pod Bramą Brandenburską 20 czerwca 1996 r. Jan Paweł II przestrzegał po-

Wywodzący się z polskiej rodziny hrabiowskiej jezuita, bł. ojciec Jan Beyzym, nazywany apostołem trędowatych lub posługaczem trędowatych, opatruje rany choremu na trąd. Fot. www.beyzym.pl

eprasa.pl a4a4bdc682

Jan Paweł II w styczniu 1990 r. w leprozorium w miejscowości Cumura w Gwinei Bissau, z którego pomocy korzysta dziennie ponad 100 trędowatych. Fot. Arturo Mari/L'Osservatore Romano („Rok 12", Biały Kruk)

nownie: „Wolność nie oznacza prawa do samowoli. Wolność nie daje nieograniczonych przywilejów. Kto tak ją pojmuje, naraża wolność na śmiertelny cios. Człowiek wolny jest przede wszystkim zobowiązany do prawdy. Inaczej jego wolność nie będzie trwalsza niż piękny sen, który kończy się wraz z przebudzeniem. Człowiek nie zawdzięcza wszystkiego samemu sobie, lecz jest stworzeniem Bożym; nie jest panem swego życia ani też życia innych; jeśli pragnie być człowiekiem w prawdzie, musi słuchać i być posłusznym. Jego wolne siły twórcze rozwiną się w pełni tylko wówczas, gdy będzie je opierał na prawdzie, która jest dana każdemu człowiekowi jako niewzruszony fundament. Tylko wtedy będzie mógł się w pełni zrealizować, a nawet przerosnąć samego siebie. Nie ma wolności bez prawdy".

W latach 1980–2000 AIDS spowodowała śmierć 22 mln osób, a nosicieli wirusa HIV było wówczas ok. 36 mln; najwięcej na kontynencie afrykańskim – 25 mln. Kiedy w czerwcu 2001 r. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych zwołało na ten temat sesję specjalną, Jan Paweł II wystosował przesłanie do sekretarza generalnego ONZ Kofiego Annana. Papież napisał w nim m.in.: „Groźna epidemia AIDS wpisuje się w kontekst społeczny nacechowany poważnym kryzysem wartości. W tej dziedzinie, podobnie jak w innych, społeczność międzynarodowa nie może uchylać się od odpowiedzialności moralnej; przeciwnie, w walce z epidemią winna się inspirować konstruktywną wizją ludzkiej godności i inwestować w młodzież, pomagając jej przygotować się do dojrzałego i odpowiedzialnego życia uczuciowego.

Przez swoje nauczanie i przez działalność na rzecz chorych na AIDS Kościół katolicki nieustannie potwierdza świętość życia. Podejmowane przez niego działania, zarówno w sferze zapobiegania chorobie, jak i opieki nad chorymi, prowadzone często we współpracy z instytucjami Narodów Zjednoczonych, są wyrazem jego miłości i chęci służenia życiu każdego człowieka od chwili poczęcia aż po naturalny kres. Szczególną wagę przywiązuję do dwóch problemów, które – jestem pewien – zostaną wnikliwie rozważone podczas obrad sesji specjalnej.

Przekazywanie HIV/AIDS dzieciom przez zarażone matki jest problemem niezwykle bolesnym. Podczas gdy w krajach rozwiniętych udało się dzięki stosownym terapiom znacznie zmniejszyć liczbę dzieci, które są zarażone już w chwili narodzin, w krajach rozwijających się, zwłaszcza w Afryce, bardzo wiele dzieci przychodzi na świat z wirusem, co jest źródłem wielkich cierpień dla rodzin i całych społeczności. Gdy do tego ponurego obrazu dodamy dramat dzieci osieroconych przez rodziców zmarłych na AIDS, stajemy w obliczu sytuacji, która domaga się reakcji ze strony społeczności międzynarodowej.

Problem drugi to zapewnienie chorym na AIDS możliwości leczenia się, a także – zależnie od dostępnych środków – poddania się terapii antyretrowirusowej. Wiemy, że ceny tych właśnie leków są zbyt wygórowane, czasem wręcz niewyobrażalnie wysokie w porównaniu z możliwościami obywateli krajów najuboższych. Zagadnienie to ma różne aspekty ekonomiczne i prawne, do których należą także pewne interpretacje prawa własności intelektualnej".

***

Święty Jan Paweł II przez 27 lat pontyfikatu spotykał się na całym świecie z milionami ludzi, w tym jakże często z chorymi zakaźnie – na trąd, AIDS i inne choroby. Podawał im rękę, przytulał, całował. Trzeba też sobie zdawać sprawę, że Ojciec Święty narażony był na różne choroby tropikalne groźne dla Europejczyka, a kontaktował się z milionowymi masami – dotykał milionów rąk, czystych i brudnych, przytulał do siebie zupełnie obcych ludzi, gładził ich twarze, całował dzieci i brał je na ręce…

Papież Polak nie unikał bliskiego kontaktu, nie wzbraniał się, gdy ktoś chory chciał przylgnąć do niego jak do ojca. Zawsze w nim podziwiałam, że tak odważnie wychodził na spotkanie drugiego człowieka, nie bał się zarażenia przez wirusy i bakterie, nie brzydził się ludzi chorych i cierpiących, nie miał odruchu wstrętu wobec osób zdeformowanych przez rozmaite schorzenia, dotkniętych śmiercią. Chorzy zawsze zajmowali uprzywilejowane miejsce najbliżej ołtarza podczas jego papieskich celebracji. Do ludzi cierpiących szedł z Najświętszym Sakramentem, z olejami namaszczenia, z błogosławieństwem i słowami pociechy. Czy w tym jego bezwzględnym zawierzeniu Bogu podczas spotkań z drugim człowiekiem (bliźniego, który przed nim stawał, Jan Paweł II traktował zawsze jako zadanie postawione mu przez Pana) pewne znaczenie odegrała ofiarna postawa starszego, ukochanego brata, lekarza, który zmarł w młodym wieku, zarażony śmiertelnie w szpitalu przez pacjentkę chorą na szkarlatynę? Pełen poświęcenia medyk Edmund Wojtyła w młodym wieku zapłacił życiem za swoje zaangażowanie. Jego brat, który został papieżem i każdego dnia spotykał się z potencjalnymi nosicielami najróżniejszych, nawet najbardziej egzotycznych chorób i nigdy nie unikał wielkich ludzkich zgromadzeń, z woli Boga nigdy nie został niczym zarażony. Jego imponujące zawierzenie miłosiernemu Panu było niczym tarcza szczepień.

eprasa.pl a4a4bdc682

Skutki hedonizmu i politycznej nieodpowiedzialności

Austriacki *danse macabre*, po którym wirus wypełzł na Europę

Adam Sosnowski

Ischgl to malutka, urocza austriacka miejscowość położona w Tyrolu, niedaleko granicy z Włochami. Na co dzień żyje i pracuje tam nie więcej niż 1500 osób, ale w sezonie zimowym turystów zjeżdża się aż 10 razy więcej. Zatem w tej małej wiosce przebywa wtedy równocześnie blisko 15 tys. ludzi; przez cały sezon przewija się ich blisko dwa miliony! Ischgl to jedno z najbardziej ekskluzywnych miejsc dla miłośników narciarstwa alpejskiego, na których czeka tam 250 km tras zjazdowych, blisko 50 wyciągów oraz luksusowa infrastruktura hotelarska i sportowa. Co więcej, tyrolska wieś jest położona na trasie tranzytowej Niemcy – Austria – Tyrol Południowy (Włochy)/Szwajcaria, co wraz ze znakomitymi warunkami do uprawiania sportów zimowych sprawiło, że w ostatnich dekadach Ischgl siedziało wprost na żyle złota. Aż do marca tego roku, kiedy również tam pojawił się mikroskopijny, niewidoczny gołym okiem wróg, który od tygodni spędza nam sen z powiek. Chodzi, oczywiście, o wirus SARS-CoV-2. Szacuje się, że z austriackiego Ischgl wyszło na całą Europę tysiące zakażeń.

Rekonstrukcja wydarzeń owych marcowych dni jawi się niczym zapis rażącej niekompetencji i beztroski, a także nieodpowiedzialnego hedonizmu.

A orkiestra grała dalej…

Już 25 lutego oficjalnie podano, że w Austrii odnotowano dwa pierwsze przypadki zarażenia koronawirusem. Było to w Innsbrucku, stolicy Tyrolu, oddalonym o 100 km od Ischgl. W kolejnych dniach pojawiali się w naddunajskim kraju kolejni zarażeni, ale do szpitali przyjmowano tylko najcięższe przypadki. Reszcie pacjentów nakazano kwarantannę domową oraz kontakt telefoniczny z przychodnią.

Według austriackich mediów władze Tyrolu już 29 lutego mogły wiedzieć, że w ich landzie zaczyna się rozwijać poważne siedlisko koronawirusa, co zresztą nie dziwi, gdy się spojrzy na mapę. Tyrol ma szeroką granicę z północnymi Włochami, gdzie pod koniec lutego było już ponad 1100 zakażonych, odnotowano 29 zgonów, a przyrost nowych chorych następował lawinowo. Nie powodowało to jednak żadnych reakcji ze strony austriackich władz. Turystyka narciarska w Tyrolu dalej funkcjonowała normalnie, a granice pozostały otwarte. Do Ischgl codziennie wjeżdżało i wyjeżdżało stamtąd tysiące ludzi.

Na początku marca 15-osobowa grupa narciarzy z Islandii po powrocie z Ischgl do domu przeszła odpowiednie testy i okazało się, że są zarażeni koronawirusem. Rząd **Islandii** zareagował natychmiast – 4 marca ogłosił Ischgl jako rejon najwyższego ryzyka, na równi z Iranem oraz chińskim Wuhanem. Główny epidemiolog Islandii Thorolfur Gudnason wysłał ostrzeżenie do odpowiednich służb w Wiedniu, a także umieścił notę w europejskim systemie „Early Warning Response System", którego zadaniem jest zapobieganie rozpowszechnianiu się chorób zakaźnych. Poza tym rzecznik policji w Reykjavíku Vidir Reynisson zaalarmował międzynarodowe media, udzielając im stosownego wywiadu. Strona islandzka ostrzegła Tyrol również przed tym, że 15 zakażonych osób nie podróżowało jako jedna grupa – mieszkali w różnych hotelach i nie kontaktowali się ze sobą. Wskazywało to zatem, że zarazili się w różnych miejscach, a więc nosicieli koronawirusa już w tym momencie w Ischgl musiało być wielu.

Tyrolski land tymczasem dalej nie widział problemu i twierdził, że Islandczycy

Widok na malowniczo położoną wieś Ischgl w Austrii. To stąd koronawirus dotarł do licznych krajów Europy. Fot. Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

Jeden ze stoków narciarskich w Ischgl. Podczas gdy w innych krajach były już zamknięte szkoły i granice, tu wciąż tysiące ludzi jeździło beztrosko na nartach. Fot. Wikimedia

zarazili się nie w Austrii, lecz w samolocie w drodze powrotnej do Reykjavíku. Uznano ponadto, że zakażenie w Austrii jest „wysoce nieprawdopodobne".

Minęło pięć kolejnych dni. Włochy zdążyły w tym czasie zamknąć wszystkie swoje tereny narciarskie i zakończyły zimowy sezon turystyczny. W malutkim Ischgl tymczasem 10 marca oficjalnie było już 16 zakażonych, a barman z owianej już teraz w całej Austrii złą sławą knajpy „Kitzloch" zaraził kolejnych 15 osób, w tym cały personel. Reakcji na to ze strony władz dalej jednak nie było. Przewodniczący Związku Turystycznego w Ischgl, Andi Steibl, stwierdził nawet w mediach, że: „Zakażenia należy przypisać do jednego lokalu. Sytuacja jest jasna, nie wolno teraz reagować nerwowo. Sytuacja jest nieporównywalna z Włochami". Wspomniany bar został co prawda zamknięty, ale stoki nadal pozostawały otwarte. Zjeżdżało po nich codziennie ok. 15 tys. ludzi. Zamknięto je dopiero cztery dni później. Jak dzisiaj wiadomo, o dużo za późno. W całej Austrii w tym czasie było już 361 zakażonych i zanotowano pierwszą ofiarę śmiertelną.

Dla porównania: 12 marca w całej Polsce (5 razy więcej mieszkańców niż w Austrii) było wtedy 20 zakażonych, mniej niż w samym Ischgl. Mimo to nasz rząd – obserwując rozwój sytuacji w innych krajach – podjął natychmiastowe i zdecydowane działania. Po malowniczych stokach w Ischgl zjeżdżało jeszcze 15 tys. osób, a wieczorem w tyrolskich barach trwało zabawowe szaleństwo podczas tzw. *après-ski*, czyli dzikie imprezy w ciasnej przestrzeni z bliskim kontaktem cielesnym… W Polsce w tym momencie już ogłoszono zamknięcie szkół; 15 marca zamknięto granice naszego kraju i wprowadzono zakaz zgromadzeń publicznych powyżej 50 osób.

W tym czasie największe media austriackie zaczęły atakować władze w Tyrolu, zarzucając im, że motywowane chciwością i chęcią zarobku poświęcają ludzkie zdrowie. Wraz z wywieranym naciskiem międzynarodowym spowodowało to, że sprawą zajął się austriacki rząd, który 13 marca ustanowił kwarantannę dla całej gminy Ischgl. Cztery inne gminy tyrolskie zostały w całości objęte kwarantanną dzień później. Miejscowości te zostały zupełnie odcięte od świata, co miało zapobiec dalszej ekspansji wirusa.

Pół Europy źródła zarażenia może szukać w Austrii

Jak się jednak okazało, kroki te podjęto zbyt późno. Ischgl stało się tzw. *hot spotem* dla *superspreaderów*, czyli nosicieli wirusa, którzy zarazili szczególnie dużą liczbę osób. Przede wszystkim dotknęło to samą Austrię. 9 kwietnia Agencja ds. Zdrowia i Bezpieczeństwa Żywności (AGES) podała, że 57 proc. (!) zakażonych Austriaków zaraziło się w maleńkim Ischgl. Wirus do Islandii został również sprowadzony z Ischgl. W połowie kwietnia Norwegia meldowała 1198 chorych, z czego 500 zaraziło się w Austrii, większość w Ischgl. Połowa zarażonych w Danii pośrednio lub bezpośrednio złapała wirusa przez Ischgl. Podobnie w Szwecji, Anglii oraz Irlandii. Już 20 marca śmierć upomniała się o jednego z pierwszych zarażonych w Ischgl. 55-letni Thomas H., który zmarł w szpitalu w północnoniemieckim Bochum, zjeżdżał po tyrolskich stokach wtedy, gdy tamtejsze urzędy powinny były już wiedzieć o czyhającym w ich miejscowości zagrożeniu. Chory zmarł samotnie, nieświadomy i bez bliskich, których z powodu epidemii do niego nie wpuszczono. Żonie Thomasa nie pozwolono wejść nawet do zakładu pogrzebowego, do którego przewieziono jego zwłoki. „Nikt nas nie ostrzegł" – skarżyła się załamana wdowa.

Kogo za to winić? Wiadomo, że teraz nikt się do błędów nie przyzna. Prokuratura wszczęła na razie tylko jedno postę-

eprasa.pl a4a4bdc682

powanie – lecz nie przeciwko politykom, a przeciwko pewnej placówce gastronomicznej w Ischgl. Tymczasem odpowiedzialność spada na polityków, zwłaszcza tych lokalnych w Tyrolu. Tamtejszy Landeshauptmann (odpowiednik naszego wojewody) Günter Platter jeszcze pod koniec lutego przekonywał, że turyści mogą spokojnie przyjeżdżać: „Wszystkie trybiki działają, pracujemy profesjonalnie i niezawodnie – tego nasze społeczeństwo może być pewne i nie ma żadnych powodów do zmartwień". Nie wiemy, ilu turystów sugerowało się tymi oraz podobnymi wypowiedziami, decydując się na przyjazd do Ischgl. Część na pewno. Jeden z urlopowiczów, Niemiec Jürgen Becker, powiedział w wywiadzie dla telewizji ZDF, że szukał informacji o koronawirusie w Ischgl, ale z dostępnych danych wynikało, że jest tam bezpiecznie. Wjechał do Austrii 3 marca, do domu wrócił już zakażony wirusem SARS-CoV-2.

Turystka z Amsterdamu 6 marca wysłała wiadomość do tyrolskich urzędów z zapytaniem, czy jej przyjazd do Ischgl będzie bezpieczny z uwagi na epidemię koronawirusa. Dodała, że jest w szoku, iż na oficjalnych stronach tyrolskiego landu nie ma o tym żadnych informacji. Szeregowy urzędnik z gminy Ischgl odpisał lakonicznie: „Władze Austrii doskonale radzą sobie z tą sytuacją". Holenderka, posłuchawszy zdrowego rozsądku, jednak nie zdecydowała się na wyjazd.

To nie koniec zaniedbań. Kiedy 14 marca zima dla turystów w Ischgl się skończyła, pracownikom sezonowym nakazano opuścić rejon – mimo iż nie wiedziano, czy są, czy nie są zarażeni, czy są, czy nie są nosicielami koronawirusa. Steve Elvis P., który pracował w Ischgl przez zimę jako kucharz, opowiadał w austriackiej telewizji ORF, jak wyglądały „badania" na obecność koronawirusa. „Przystawiono mi termometr do ucha i tyle. Na tej podstawie dostałem od lekarza atest, że jestem zdrowy". W zaświadczeniu owym dosłownie napisano tak: „Wyżej wymieniona osoba cieszy się najlepszym zdrowiem, nie ma żadnych objawów ze strony oddechowej i nie miała żadnego kontaktu z osobami z potwierdzonym COVID-19. Obecnie nic nie wskazuje na to, że osoba ta jest zarażona jakimś wirusem płucnym, a w szczególności aktualnym koronawirusem".

Lekarz, który wystawiał te zaświadczenia, twierdzi dziś, że niczego… nie podpisywał. Burmistrz Werner Kurz mówi z kolei, że „gmina Ischgl nie była zaangażowana w proces decyzyjny", cedując tym samym odpowiedzialność na władze landu Tyrol. Tyrolski radny ds. zdrowia Bernhard Tilg odpowiada natomiast: „Zasadniczo należy powiedzieć, że urzędy w Tyrolu działały prawidłowo. (…) Każdy podjęty krok był prawidłowy". Czyli państwo zdało egzamin?

Oskarżenia sięgają samych szczytów państwa, w tym także kanclerza Sebastiana Kurza, który jeszcze w lutym tego roku uczestniczył w spotkaniu tzw. Stowarzyszenia Orła (niem. Adlerrunde), nieformalnego związku najpotężniejszych biznesów rodzinnych w Tyrolu, które dominują w miejscowej branży turystycznej. A jest to branża potężna. Co czwarte miejsce pracy w Tyrolu w ten czy inny sposób jest zależne od turystyki, która co roku generuje w tym landzie ok. 8,5 mld euro obrotu (38,5 mld zł). Innymi słowy: z jednej tylko gałęzi gospodarki austriacki land, zamieszkany przez tyle osób, co w dużym polskim mieście, generuje taki wolumen finansowy, dzięki któremu Polska mogłaby pokryć koszt programu 500+ przez cały rok. Przy takich sumach nie należy się dziwić, że jest to branża o pokaźnych wpływach politycznych. Trzeba tu jednak dodać, że to rząd austriacki ostatecznie wykonał ruch w sprawie Ischgl, a nie miejscowi politycy.

Co dalej?

Wobec tych zaniedbań, który doprowadziły wiele osób do uszczerbku na zdrowiu, a także niestety do zgonów, trudno nawet postawić pytanie, czy z tego wszystkiego mogłoby wyniknąć coś dobrego. A jednak – naukowcy dokładnie nad tym się obecnie zastanawiają. Badacze z Uniwersytetu Medycznego w Innsbrucku opracowali bowiem ciekawą hipotezę i wychodzą z założenia, że paradoksalnie teraz Ischgl może być jednym z najbardziej bezpiecznych miejsc świata pod kątem koronawirusa. Teoria zakłada bowiem, że przez bardzo wysoki wskaźnik zachorowań w Ischgl, po którym natychmiast nastąpiła kwarantanna całej gminy, rozwinęła się miejscowa odporność stadna. Czym ona jest?

To forma pośredniej ochrony przed chorobami zakaźnymi, która występuje, gdy znaczna część populacji stała się odporna na infekcję, zapewniając tym samym ochronę osób niechronionych. W populacji, w której wiele osób jest odpornych, łańcuchy szerzenia się infekcji zostaną przerwane, co zatrzymuje lub opóźnia rozprzestrzenianie się choroby. Im większa jest proporcja osób w społeczności, które są odporne, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ci, którzy nie są odporni, wejdą w kontakt z osobą zakażoną. Austriaccy naukowcy myślą, że właśnie to ma miejsce w Ischgl i że dlatego tam jest teraz bezpiecznie.

„Après-ski" to określenie dzikich imprez w austriackich kurortach zimowych. Na malutkiej przestrzeni gromadzi się tam mnóstwo osób. Fot. Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

Pod koniec kwietnia zniesiono kwarantannę w tej tyrolskiej gminie i wtedy badacze zaczęli pobierać próbki na obecność przeciwciał wśród jej mieszkańców. Wyniki będą znane w maju.

„Wychodzimy z założenia, że bardzo wiele osób będzie miało te przeciwciała – wyjaśnia austriacka wirusolog Dorothee von Laer. – Zbadamy wszystkich na obecność przeciwciał i porównamy tę liczbę z liczbą osób, o których wiadomo, że przeszły infekcję COVID-19. Szacujemy, że 50 proc. pacjentów przeszło chorobę bez jakichkolwiek objawów i dlatego do tej pory nie byli uwzględniani w żadnych statystykach. Naukowcy w Japonii twierdzą zgoła, że na 10 osób zarażonych 9 z nich nawet tego nie zauważy". Austriaccy badacze argumentują, że z tego powodu śmiertelność i zagrożenie wirusem są znacznie niższe, niż to przedstawiają media, które skupiają się tylko na udowodnionych przypadkach, a większość ludzi przejdzie infekcję COVID-19 zupełnie bezobjawowo – tak przynajmniej na ten moment kształtuje się teoria.

Wynikom tych badań przyjrzy się z pewnością cały świat, mogą one dać nam odpowiedź na wiele pytań. Przede wszystkim zaś ujawnią, na ile rzeczywiście niebezpieczny jest koronawirus. Natomiast z przypadku Ischgl można wyciągnąć jeszcze jedną ważną lekcję – jeżeli chce się zwalczać koronawirusa, trzeba działać zdecydowanie, w jedną lub w drugą stronę. Dlatego Polska jest podawana za przykład udanej walki z SARS-CoV-2. Kiedy w Ischgl w górskich nocnych barach pito jeszcze na umór i obściskiwano się w tańcach – nie bez powodu Ischgl nazywane jest zimową Majorką – polski rząd zamykał już szkoły, odwoływał wydarzenia masowe i zamykał granice. Owszem, będzie to miało wpływ na naszą gospodarkę, ale rozpatrując te decyzje wyłącznie pod kątem ochrony ludzkiego zdrowia i życia, należą się słowa pochwały. Gospodarka, miejmy nadzieję, szybko nadrobi, a życia człowiekowi się nie wróci.

Kiedy piszę te słowa pod koniec kwietnia, wydaje się, że Polska jest jednym z nielicznych państw, które najlepiej poradziły sobie z kryzysem. I dodajmy tu jeszcze – bez pomocy kogokolwiek, a przede wszystkim bez pomocy Unii Europejskiej.

Inną drogę obrała Szwecja – równie zdecydowaną, aczkolwiek zupełnie odwrotną. Być może już niebawem zapanuje tam taka odporność stadna, o jakiej teraz myśli się, że panuje w Ischgl. I być może to też będzie skuteczne, choć nie wiemy, ile ofiar będzie to kosztować.

Wreszcie ostatnia lekcja płynąca z tyrolskiego przykładu: pandemia koronawirusa jest czasem próby dla polityków, by nie stawiali swego interesu nad interes wspólnoty. I choć polski rząd działał szybko, sprawnie i nie bojąc się decyzji niepopularnych (np. zamknięcie lasów) czy też czasem błędnych (ograniczenie liczby ludzi w kościołach do 5 osób), to niestety znalazł się jeden człowiek, który wykorzystując czas kryzysu chciał ugrać własny kapitał polityczny.

Jest to człowiek, który szkodzi Polsce od dawna. Pochodzi z wyjątkowo nieciekawego środowiska, związany był najpierw z Unią Wolności, a potem z Platformą Obywatelską, był ministrem sprawiedliwości rządu PO-PSL w czasach śledztwa smoleńskiego i afery Amber Gold, a ostatnio położył na łopatki polską naukę, przeciwko czemu protestowali profesorowie od lewej do prawej strony spektrum politycznego. Warto przypomnieć te karty w życiorysie Jarosława Gowina, kiedy w czasach wielkiego kryzysu, który spadł na nas nieoczekiwanie, nagle i bez naszej winy, destabilizuje on prace rządu. Przykład maleńkiego Ischgl przestrzega nas przed pychą, żądzą władzy i chciwością – ale nie tylko Austriacy powinni o tym pamiętać.

Ta mapa przedstawia drogę koronawirusa z Ischgl do różnych krajów europejskich. Przez Ischgl SARS-CoV-2 dotarł m.in. do Islandii, Niemiec, Norwegii, Szwecji, Danii czy Szwajcarii. Fot. z dokumentu „Frontal 21" niemieckiej telewizji ZDF.

eprasa.pl a4a4bdc682

Świat po pandemii będzie inny, ale niekoniecznie lepszy

Jak epidemia wpływa na politykę międzynarodową

Prof. Krzysztof Szczerski

Wszyscy żyjemy dziś sprawą pandemii wywołanej przez koronawirusa. Nasza uwaga i emocje skierowane są na problemy zdrowotne, obawiamy się o życie i zdrowie swoje i naszych najbliższych. Jednocześnie coraz bardziej zdajemy sobie sprawę z tego, że pandemia ta wywołuje nie tylko bezpośrednie i pośrednie zagrożenia chorobowe, ale będzie miała również długofalowe skutki ekonomiczne. Czasowe wygaszenie dużej części działalności gospodarczej, zarówno tej w skali makro, jak i milionów drobnych biznesów, wstrzymanie społecznej mobilności, załamanie nastrojów konsumenckich niezbędnych dla popytu, zerwanie więzi kooperacyjnych i łańcuchów dostaw, a wreszcie zatrzymanie na pewien okres handlu międzynarodowego – wszystko to powoduje, że niezależnie od spraw czysto medycznych (o których się nie wypowiadam, tym bardziej że w naszym środowisku jest jeden z najwybitniejszych ekspertów w tej sprawie – prof. Janusz Marcinkiewicz), wiadomo już, że świat wyjdzie z obecnego doświadczenia solidnie pokiereszowany. Wróci zapewne zmora bezrobocia i być może większa inflacja, skutkujące powstaniem nowych sfer ubóstwa i problemów zmagania się z codziennością, o jakich zdążyliśmy szybko zapomnieć, a których doświadczaliśmy w czasach brutalnej transformacji gospodarczej lat 1990. Nasza optymistyczna ścieżka rozwoju ostatnich lat była bowiem oparta na opłacalnym eksporcie (nadwyżce w bilansie handlowym) i dobrej koniunkturze na rynku wewnętrznym, którą napędzał optymizm konsumentów pewnych swoich zarobków i mających aspiracje lepszego życia, a tym samym zaopatrujących się w coraz to nowe towary. Oba te czynniki koniunktury mogą się teraz załamać, a nasze społeczne przekonanie, iż każdy kolejny rok będzie lepszy od poprzedniego, może runąć jak domek z kart. Sytuacja ta może spowodować napięcia społeczne w skali nieznanej od wielu lat i różnego rodzaju osobiste oraz zbiorowe dramaty, a z pewnością będzie rodzajem wspólnotowej traumy.

Prezydent RP Andrzej Duda oraz szef jego gabinetu politycznego prof. Krzysztof Szczerski w Houston we wrześniu 2019 r.; towarzyszy im Piotr Naimski (z prawej), pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej. Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

Piszę to nie dlatego, by wieszczyć katastrofę. Mam nadzieję, że spowolnienie gospodarcze nie będzie aż tak głębokie, a odbicie koniunktury nastąpi w miarę szybko. Mam też nadzieję, że z Bożą pomocą uda nam się pokonać pandemię na tyle szybko, że nie przyniesie ona ze sobą masowych ofiar.

Piszę to po pierwsze dlatego, by uzmysłowić nam wszystkim, przed jak wielką niewiadomą co do naszej przyszłości dziś stoimy i jak fundamentalnie egzystencjalne są polityczne i społeczne wybory, które są przed nami. To naprawdę w bardzo wielu wymiarach jest kwestia życia i śmierci.

Ale piszę to też dlatego, że mając to wszystko na uwadze i niepokojąc się o przyszłość, możemy łatwo ulec złudzeniu, że wszyscy w równym stopniu podzielają nasze emocje, że cały świat i cała Polska na chwilę wstrzymały realizację wszelkich innych celów i skupiają się dzisiaj, w dobrej wierze, wyłącznie na wspólnej heroicznej walce z pandemią koronawirusa. Wydawałoby się, że skala tego zagrożenia zmusza wszystkich do zbiorowego działania dla dobra innych. Nic bardziej mylnego. Rzeczywisty obraz jest zupełnie inny – w czasie, gdy jedni walczą o życie i zdrowie obywateli, o zachowanie żywotności gospo-

eprasa.pl a4a4bdc682

darki, o bezpieczeństwo narodowe, inni koniunkturalnie starają się na tej tragedii skorzystać.

W czasie pandemii nie zamarły by najmniej intrygi i knowania wewnętrzne w Polsce. Wszyscy widzimy, że agresywna opozycja bynajmniej nie zelżała i nie jest skłonna do złagodzenia politycznego sporu. Wręcz odwrotnie, nastawienie opozycji na czystą i totalną destrukcję instytucji i gospodarki kraju nosi znamiona wojny z własnym państwem.

Pandemia nie zniosła też chciwości ani chęci dorobienia się na krzywdzie innych – cyniczne zachowania biznesowe też można bez trudu zaobserwować.

I wreszcie – pandemia to nie jest okres zawieszenia polityki międzynarodowej, nawet jeśli politycy nie podróżują i nie organizują spotkań na szczycie. W tle walki z wirusem toczy się gra o wpływy, o bezpieczeństwo, o przyszłą pozycję i polityczny status.

Jeżeli mówimy o skutkach obecnej sytuacji wpływających na politykę międzynarodową i o tym, co dzieje się w tej polityce w tle walki z pandemią, warto zwrócić uwagę na kilka spraw – jednych o charakterze bieżącym, innych o znaczeniu długookresowym.

Zacznijmy od elementów optymistycznych. Do nich zaliczyłbym fakt, że stan epidemii nie zerwał więzi międzynarodowych nawet pomimo wstępnego szoku, wywołanego przez nagłe zamykanie granic, które spowodowało przejściowe napięcia i utrudnienia. W ciągu pierwszego miesiąca pandemii prezydent Andrzej Duda odbył kilkanaście rozmów z szefami innych państw. Przede wszystkim dotyczyło to państw Trójmorza – od Słowenii po Estonię. Wszystkie one dotyczyły wzajemnej pomocy i współpracy, odblokowania transportu, współdziałania w zaopatrywaniu się w niezbędne materiały medyczne, wspomaganiu w przylotach do kraju. Prezydent rozmawiał też z prezydentem Włoch o pomocy dla tego kraju w szczycie pandemii (Polska udzieliła takiej pomocy wysyłając ekipę lekarzy, co zostało niezwykle pozytywnie odnotowane jako rzadki przykład realnej solidarności z tym krajem) czy z prezydentami Niemiec i Ukrainy o wzajemnym współdziałaniu na granicach i o pomocy. W imieniu prezydenta jestem też w stałym kontakcie z Białym Domem i najbliższymi współpracownikami prezydenta USA, choć, jak wiemy, sytuacja ich jest bardzo trudna. Prezydent Andrzej Duda rozmawiał też z prezydentami Chin oraz Republiki Korei o możliwościach zakupu w tych państwach niezbędnego w Polsce sprzętu, testów i materiałów ochronnych. Wszystkie te rozmowy przyniosły w efekcie konkretne działania, które służą polepszeniu trudnej sytuacji w Polsce i innych krajach. To dobry znak, że prawdziwych przyjaciół można poznać w biedzie oraz że budowane przez ostatnie lata dobre stosunki z wieloma krajami i osobiste relacje prezydenta Dudy z przywódcami innych państw owocują możliwościami bezpośredniego kontaktu i szybkiego rozwiązywania problemów.

Jednakowoż równolegle z tymi przejawami współpracy, okres pandemii to także pożywka dla działań nieczynych i podstępnych. Dotyczy to przede wszystkim używania przez niektórych graczy narzędzi medialnych i innych kanałów wpływu do siania kłamstw i manipulowania opinią publiczną w celu uzyskania pożytków politycznych. Chodzi tu o podważanie zaufania do własnych rządów, by osłabić ich zdolności do oporu przed ewentualną przyszłą agresją oraz o podważanie zaufania między sąsiadami i sojusznikami tak, by rozbić jedność regionalną i euroatlantycką oraz spójność sojuszniczą. Piszę o tym ogólnie, z oczywistych względów, ale warto o tym pomyśleć i być bardzo wyczulonym na tego typu manipulacje. Emocje, w jakich dziś żyjemy, czynią nas bowiem dużo bardziej podatnymi na takie podstępne knowania. Pojawiają się liczne teksty i wypowiedzi, których celem jest przekonanie nas, że nasze państwo na pewno sobie nie da rady, a władza ukrywa prawdę przed społeczeństwem (podważanie zaufania

Szczyt NATO w Warszawie był jednym z najważniejszych wydarzeń międzynarodowych 2016 r. świadczącym o randze Polski w stosunkach międzynarodowych. Jego organizacja była wspólnym sukcesem prezydenta Andrzeja Dudy i ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza. Fot. Adam Sosnowski

eprasa.pl a4a4bdc682

wewnętrznego), że nikt nam nie pomoże, a wszystkie instytucje międzynarodowe zawiodły (wytworzenie poczucia osamotnienia i zerwanie zaufania zbiorowego) i wreszcie, że w naszym regionie wrze, że kraje kłócą się i rywalizują ze sobą (rozbicie jedności regionalnej). Oczywiście to prawda, że nie wszyscy działają optymalnie i można mieć wiele zastrzeżeń np. do instytucji unijnych, jeśli chodzi o szybkość i skuteczność ich reakcji, ale warto odróżnić tych, którzy formułują w tej sprawie realne uwagi od tych, którzy od razu przechodzą od nich do sączenia do naszego ucha ogólnych przekazów w rodzaju „jedność europejska to fikcja" czy „NATO zawiodło" itp., bo to już jest celowa propaganda. W przypadku Polski jedna rzecz jest smutna i uderzająca. Wiele z tych zmanipulowanych informacji (zwanych *fake news*, ale ja nie lubię używać tego obcego wyrażenia) jest u nas bardzo chętnie podłapywane przez nienawidzące rządu media i polityków totalnej opozycji tylko po to, by szkodzić i nasilać destrukcję. W Polsce nie potrzeba obcych agentów, wystarczą domowi ochotnicy.

Spójrzmy teraz na długofalowe skutki pandemii dla relacji międzynarodowych. Wskazałbym na trzy.

Po pierwsze, pandemia spowodowała wielki renesans myślenia w kategoriach państw narodowych. Pokazała bowiem, jak bardzo do zapewnienia i utrzymania bezpieczeństwa potrzebne jest skuteczne i dobrze zorganizowane państwo. Pandemia brutalnie weryfikuje instytucje poszczególnych krajów i ich jakość i to w obszarze podstawowym – ochrony życia i zdrowia obywateli. Ostatecznie okazało się, że jako obywatele mamy do swojej dyspozycji jedną podstawową sieć bezpieczeństwa – nasze własne państwo. Większość ludzi w obliczu zagrożenia chciała wrócić do swoich krajów, schronić się pod własny dach, tym bardziej, że nawet najbardziej kosmopolityczni obywatele świata, o ile nie posiadali odpowiednich środków finansowych, bardzo szybko poczuli, co to znaczy być obcym w innym kraju i że obywatelstwo narodowe ma znaczenie. To państwa pospieszyły ludziom na pomoc i organizują ją w kontaktach dwustronnych.

Po drugie, pandemia pokazała jak kruchy jest świat globalizacji. Sama pandemia, można powiedzieć, że dowiodła, w jak wielkim stopniu funkcjonujemy dziś w globalnym świecie wzajemnych zależności. Konsekwencje wydarzeń, które miały miejsce dziesiątki tysięcy kilometrów od Europy, bardzo szybko dotknęły Stary Kontynent, a za chwilę także Amerykę i resztę świata. Ale nie jest to tryumfalny marsz globalizacji. Odwrotnie, pandemia pokazuje, że niesie ona ze sobą

Autor artykułu, architekt prezydenckiej polityki zagranicznej prof. Krzysztof Szczerski z głową polskiego państwa Andrzejem Dudą w ogrodach prezydenckiego pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Fot. Andrzej Hrechorowicz/KPRP

także potężne zagrożenia. I to dwojakiego rodzaju – te bezpośrednie, wynikające z możliwości szybkiego rozprzestrzeniania się zabójczych wirusów, i te związane z globalnymi łańcuchami dostaw, które napędzają gospodarkę, ale jedynie wówczas, gdy świat jest bezpieczny, pokojowy i otwarty. Gdy pojawiło się niebezpieczeństwo, a wraz z nim izolacja i granice, więzi te zamarły, co ukazało, jak bardzo byliśmy od nich uzależnieni i jak mało zrobiliśmy, by budować własną albo sąsiedzką (regionalną) podmiotowość gospodarczą. W zasadzie istnieje ona u nas obecnie wyłącznie, na szczęście, w obszarze żywnościowym.

Po trzecie, pandemia zmienia definicję bezpieczeństwa narodowego i zbiorowego. Jest to oczywiste, ale równocześnie może być źródłem niepokoju. Przenosi ona bowiem uwagę społeczeństw, a tym samym priorytety polityczne, z dotychczasowych obszarów twardego bezpieczeństwa – militarnego czy energetycznego – na kwestie zdrowotne. To może oznaczać zaniechanie niektórych inwestycji w tradycyjnych obszarach bezpieczeństwa czy brak środków na niezbędną infrastrukturę. Hierarchię w polityce skierowaną na budowanie potencjału państwa w obszarze siły militarnej czy niezależności energetycznej zastępuje ta, w której o sukcesie polityki rządów zdecyduje adekwatność i szybkość reakcji na zagrożenie zdrowotne o zasięgu globalnym. W tym przypadku istotne znaczenie ma społeczna wrażliwość państwa, a więc zdolność do podjęcia działań zgodnych z oczekiwaniami obywateli. Taka sytuacja otwiera pole do osłabiania niektórych państw poprzez nacisk opinii publicznej na porzucenie kosztownych projektów, np. modernizacji armii. Jednocześnie powoduje, że kraje, które do tej pory były objęte sankcjami za łamanie prawa międzynarodowego w obszarze twardego bezpieczeństwa, mogą łatwo odgrywać rolę dobrego partnera (pomagającego medycznie).

Powyższe wyzwania dotyczą w różnym stopniu wszystkich państw bez wyjątku. Świat po pandemii będzie inny, ale niekoniecznie lepszy. W tle walki o ludzkie życie i zdrowie toczy się szereg drugoplanowych działań, wedle innych scenariuszy. Dlatego musimy być odpowiedzialni i świadomi tego, co wokół nas się dzieje. Do tego potrzebujemy prawdziwych i rzetelnych informacji i jak najmniej manipulacji, ale to już temat na inny tekst…

eprasa.pl a4a4bdc682

Kilkudziesięciu polskich intelektualistów apeluje o interwencyjny zakup książek przez państwo; branża stoi w obliczu zapaści

Różnie państwo może pomagać przedsiębiorcom w dobie kryzysu. Do znanych metod ratowania firm lub całych branż, oprócz darowania części podatków lub obowiązkowych składek ubezpieczeniowych, należą zakupy interwencyjne. Zatem – w coraz bardziej dramatycznej sytuacji, w jakiej znalazła się branża wydawniczo-księgarska, zwracamy się z apelem do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wicepremiera prof. Piotra Glińskiego o szybki interwencyjny zakup książek. O poparcie tej inicjatywy prosimy prezydenta Andrzeja Dudę. Chodzi o ratowanie całej branży, a w konsekwencji – o ratowanie czytelnictwa w Polsce.

Prof. Piotr Gliński ogłosił, że na wspomożenie kultury w czasie epidemii państwo przeznacza 4 mld zł. Jak się jednak okazuje, na pomoc branży wydawniczo-księgarskiej wyasygnowano z tej kwoty… 20 mln zł. Stanowi to zaledwie pół procenta! A w rzeczywistości i to nie jest pewne, bowiem program pomocowy jest sformułowany niejasno. Tak nie może być. Branża wydawniczo-księgarska jest szczególnie zagrożona i szczególnie potrzebująca, ponieważ od dawna jest tragicznie niedoinwestowana i zaniedbana. Już przed epidemią od lat gwałtownie malała liczba księgarń, upadły całe sieci, a wydawnictwa, jedno po drugim, ograniczają od przeszło dziesięciu lat nakłady, czyli *de facto* swą działalność, albo jak ostatnio – zgoła upadają. Wydawnictw jest już tak mało, że proponowana tu akcja interwencyjnego zakupu książek przez państwo nie będzie wielkim zadaniem organizacyjnym ani finansowym.

Potrzebna jest akcja natychmiastowa i odbiurokratyzowana. Proponuję proste kryteria zakupu interwencyjnego. Zakup powinien obejmować książki wartościowe, tylko polskich autorów, książki o naszej kulturze, o tradycji i wierze, o wielkich Polakach, szanowane działa literackie, prace popularnonaukowe, rodzime książki dla dzieci. Na pewno zakup interwencyjny nie może dotyczyć thrillerów, erotyki itp. Chodzi o to, żeby akcja taka była zarazem okazją do wielkiej promocji prawdziwych, godnych upowszechniania wartości, a także promocji naszego kraju. I naszych twórców. Stąd do zakupu interwencyjnego powinny kwalifikować się również wersje obcojęzyczne książek ukazujących historię i dzień dzisiejszy Polski, piękno naszego kraju i naszego kulturowego dziedzictwa.

Wydawnictwa powinny niezwłocznie przesłać listę swoich tytułowych propozycji do MKiDN, ministerstwo zaś – powinno ją szybko przeanalizować i zatwierdzić. Najlepiej, jak zrobi to pozaministerialna kilkuosobowa komisja uznanych powszechnie fachowców, dobrze zorientowanych w rynku wydawniczo-księgarskim (z uwagi na zagrożenie zakażenia koronawirusem trzeba to zrobić internetowo).

Chodzi o szybkie zakupy z rezerw książkowych, które wszystkie wydawnictwa mają i które w tych tygodniach gwałtownie rosną. Do wydawnictw przychodzą bowiem całe nakłady książek zaplanowanych i zamówionych przed epidemią, ale nie ma jak i gdzie ich sprzedawać, nie mówiąc o utrudnionych promocjach, uniemożliwionych spotkaniach autorskich itp. Przychodzi też każdego dnia dużo zwrotów z zamkniętych księgarń i hurtowni.

Zapewne Ministerstwo będzie chciało ustanowić limit zakupów; najsprawiedliwsze wydaje się kryterium proporcjonalne, np. zakup do wysokości 35% ubiegłorocznych obrotów osiągniętych ze sprzedaży książek. Na pewno zakup interwencyjny powinien dotyczyć tylko firm czysto wydawniczych, a nie wkomponowanych w inne branże czy koncerny międzynarodowe.

Ponieważ Ministerstwo nie posiada ani stosownych magazynów, ani struktur dystrybucyjnych, książki z zakupu interwencyjnego powinny trafić bezpośrednio do końcowego odbiorcy, czyli do księgarń, bibliotek publicznych, zwłaszcza oddziałów terenowych, także do bibliotek pedagogicznych, choć nie tylko do nich. Wysyłka książek powinna leżeć po stronie danego wydawcy. Do rozliczenia z MKiDN muszą wystarczyć stosowne potwierdzenia odbioru gratisowych książek przez odbiorcę końcowego. Zazwyczaj rozliczanie najmniejszych nawet kwot z Ministerstwem jest obarczone wielką biurokracją.

Kto ma być odbiorcą zakupionych przez państwo książek? Przede wszystkim powinny być to księgarnie niezrzeszone w wielkich sieciach czy koncernach, a więc te podmioty, które teraz znajdują się w najtrudniejszej sytuacji. Gdy sytuacja się znów unormuje, to dzięki temu te księgarnie będą dysponować kapitałem, dzięki któremu mogą nadrobić poniesione teraz straty. Owych odbiorców może być jeszcze dużo więcej. Należą do nich na pewno biblioteki, szkoły, ośrodki i placówki kultury, różne organizacje społeczne, ministerstwa, urzędy państwowe itp. Ale bardzo ważne są też parafie; nie każdy wie, że są one dystrybutorem wielu tysięcy książek, niekoniecznie *stricte* religijnych, ale na pewno zawsze wartościowych. Także ambasady polskie oraz instytuty zależne, Polonia (także szkoły i biblioteki polonijne) – nie można przecież zapomnieć o zagranicy, o Polakach mieszkających na obczyźnie. Do celów tej akcji trzeba szybko stworzyć listę uprawnionych do odbioru zakupionych interwencyjnie książek, ale chyba listę tylko według rodzajów, np. księgarnie, biblioteki, parafie, szkoły itd. – szczegóły należy pozostawić wydawcom.

Zwracamy się równocześnie do Autorów i Czytelników w całej Polsce o poparcie tej inicjatywy.

Podpisano:

Prof. PIOTR BILIŃSKI, historyk, autor
ADAM BUJAK, fotografik papieski, członek Kapituły Orderu Orła Białego
Dr JUSTYNA CHŁAP-NOWAKOWA, historyk literatury, poetka
Ks. prof. WALDEMAR CHROSTOWSKI, biblista, pisarz
Dr hab. MARTYNA DESZCZYŃSKA, historyk, autorka
Prof. BOGUSŁAW DOPART, historyk literatury, prezes AKO w Krakowie

eprasa.pl a4a4bdc682

Prof. SYLWIA GALIJ-SKARBIŃSKA, historyk, autorka
Ks. prof. WALDEMAR GLIŃSKI, historyk
Prof. RYSZARD KANTOR, etnolog i antropolog kultury
Prof. JANUSZ KAWECKI, członek KRRiT, medioznawca
HALINA ŁABONARSKA, aktorka
Prof. ALEKSANDER NALASKOWSKI, pedagog, autor
Prof. ANDRZEJ NOWAK, dziejopis, Kawaler Orderu Orła Białego
Ks. prof. DARIUSZ OKO, teolog, autor
Prof. KRZYSZTOF OŻÓG, historyk, autor
Prof. WOJCIECH POLAK, historyk, autor
MAŁGORZATA ROSZKOWSKA, artystka, plastyczka
Prof. WOJCIECH ROSZKOWSKI, historyk, ekonomista
JOLANTA SOSNOWSKA, pisarka, publicystka
LESZEK SOSNOWSKI, założyciel wydawnictwa Biały Kruk, autor
JANUSZ SZEWCZAK, wiceprezes Zarządu PKN Orlen
Ks. ROMAN SZPAKOWSKI, prezes Stowarzyszenia Wydawców Katolickich
Prof. ARTUR ŚLIWIŃSKI, ekonomista, autor
Dr BOHDAN URBANKOWSKI, filozof, pisarz, publicysta
Prof. JAN ŻARYN, historyk, pisarz, dyrektor IDMN

Już w momencie oddawania tego numeru „Wpisu" do druku dotarła do nas bardzo dobra wiadomość, że premier Mateusz Morawiecki, z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy oraz na wniosek wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego, wystąpi do Komisji Europejskiej o umożliwienie wprowadzenia w Polsce stawki 0% VAT na książki drukowane. Przypomnijmy, że ta stawka obowiązywała do 2011 r., a podwyższenie VAT-u przez koalicję PO-PSL zapoczątkowało wieloletni spadek sprzedaży książek i tym samym czytelnictwa. Zerowa stawka VAT jest bardzo proinwestycyjna i pomoże odbudować się w pierwszej kolejności księgarzom, a potem wydawcom. Dziękujemy prezydentowi za inicjatywę, a premierowi i wicepremierowi życzymy jak najszybszego przeforsowania sprawy w Brukseli! Mamy nadzieję, że uda się też załatwić pomoc doraźną w postaci interwencyjnych zakupów.

Leszek Sosnowski

Apel o zakupy interwencyjne polskich książek spotkał się z wielkim odzewem w środowisku branży książki, także wśród czytelników. Petycję podpisało 15 tys. internautów, wpłynęły także niezliczone maile oraz komentarze. Publikujemy przykładowo niektóre z nich:

Oczywiście jestem za. Warto dorzucić zdanie, że agendy Rządu Londyńskiego (i chyba ktoś z KG AK, warto sprawdzić, mówiła mi o tym śp. Irena Rowecka) w czasie okupacji podpisywały z autorami umowy (i płaciły!) za książki na „po wojnie". To piękny wzorzec dalekowzroczności. Autorzy, którzy chodzą żebrać albo wystają godzinami na rogach, bardziej są narażeni od tych zadbanych. I nie mając kiedy pisać – przestają być autorami. Dbanie o autorów i wydawnictwa leży w dobrze pojętym interesie samego MKiDN.

Dr Bohdan Urbankowski

Jako Wydawca, który na polskim rynku jest od 25 lat, drukując w Polsce, bardzo cieszy nas taka inicjatywa i z przyjemnością do niej dołączymy. Wspieramy polskich autorów, nasze publikacje są nagradzane, znane i lubiane przez dzieci i rodziców. W naszej ofercie znajduje się wiele tytułów przygotowanych dla dzieci z myślą o ich Pierwszej Komunii Św., pozycje prezentujące najważniejsze informacje o historii i kulturze Polski. (…) Wybrane tytuły, które w interwencyjnym zakupie możemy zaproponować z rabatem 50%.

Monika Dżaman
Dyrektor ds. administracji i sprzedaży, wydawnictwo Zielona Sowa

Czytając i słuchając o różnych inicjatywach realizacji tarczy, myślałem o tym, w jaki sposób można je zrealizować wobec wydawców książek i czasopism. I też przyszła mi na myśl inicjatywa podejmowana często wobec wytwórców produktów rolnych. Wobec czasopism jest to praktycznie niemożliwe, ale wobec książek – jak najbardziej. W całości apel popieram i pod nim się podpisuję. Nie tylko jedną, ale również drugą ręką.

Prof. Janusz Kawecki
Członek KRRiTV

Oczywiście podpisałem się pod waszą akcją dwoma rękami, bo sprawa jest ważna i pilna nie tylko dla polskiej książki, ale dla naszej narodowej kultury, której to znakomitym nośnikiem jest polska książka. Dziewiętnastowieczni działacze na polu tejże zrobili robotę wręcz fantastyczną, nie docenianą przez ogół historyków i publicystów. (…)

Odzyskanie wolnego kraju nie pociągnęło za sobą kultywowania tych tradycji. Jedynie wydaliśmy Dzieła wszystkie Adama Mickiewicza. A gdzie opracowania innych klasyków, gdzie polska filologia?

Stan polskich bibliotek jest opłakany, (…) a interwencja w tym charakterze, jaki proponujecie, to będzie tylko plasterek na wielką ranę. Trzeba by zebrać wszystkie polskie książki bezcenne dla naszej kultury, bo wbrew pesymistycznemu wydźwiękowi mojej tyrady są wydawnictwa, Biały Kruk jest tego przykładem, że są wydawane wartościowe książki i wtedy takie pakiety trzeba wysyłać do bibliotek publicznych, szkolnych, ambasad i placówek kulturalnych na całym świecie. Najpierw musimy zrobić remanent tego, co posiadamy. To tylko kilka uwag tak na gorąco.

Jerzy Załęski
Księgarz, antykwariusz

Popieram w całej rozciągłości apel o interwencyjny skup wartościowych polskich książek i bardzo o to proszę.

Marzena Pfeffer
Dr nauk przyrodniczych

Potrzebna jest akcja natychmiastowa i odbiurokratyzowana. Proponuję proste kryteria zakupu interwencyjnego. Zakup powinien obejmować książki wartościowe, tylko polskich autorów.

John Sam
telewizjarepublika.pl

Proszę umieścić moje nazwisko na liście sygnatariuszy listu. Nie proponuję żadnych zmian, gdyż sprawa jest rzeczywiście pilna. Jednak sądzę, że w dalszym scenariuszu wyraźnie należy podkreślić, że nie wolno lekceważyć opiniotwórczej funkcji książek, zwłaszcza o charakterze edukacyjnym.

Prof. Artur Śliwiński

eprasa.pl a4a4bdc682

Plaga ohydy w polskim teatrze

Temida Stankiewicz-Podhorecka, krytyk teatralny

Znajdujemy się w dobie panowania koronawirusa (z rozmaitymi przyległościami). Nikt nie wie, jak długo to potrwa, tak więc w ramach akcji „Zostań w domu" teatry, nie chcąc dać widzom o sobie zapomnieć, prezentują w sieci – na YouTube czy na Instagramie – w różnorakiej formie swoje spektakle. W tej sytuacji Polacy – zwłaszcza ci, którzy rzadko bywają w teatrach żywego planu – mają wreszcie okazję zobaczyć, jakie pozycje, jakie treści i jaką ideologię propaguje w swoich przedstawieniach teatr, szczególnie że spektakle wystawiane są za pieniądze podatników. Oczywiście, nie można obejrzeć w internecie wszystkich przedstawień, jakie zostały wystawione w bieżącym sezonie czy też w sezonach poprzednich, tylko jakąś ich część. W czasie, gdy piszę ten tekst, nie jest jeszcze wiadoma odpowiedź na pytanie: kiedy teatry powrócą do swojej normalnej działalności i kiedy publiczność będzie mogła zasiąść na prawdziwej widowni.

Niemniej jawi się refleksja, być może szokująca dla niektórych, że trzeba było aż koronawirusa, by wymusił zamknięcie teatrów. I to w okresie Wielkiego Postu. Albowiem to, co na większości scen teatralnych było do tej pory prezentowane, nie godzi się być nazywane teatrem. Mniej więcej do 11 marca, kiedy nastąpiło zamknięcie teatrów, a więc właśnie w czasie trwania Wielkiego Postu, próżno byłoby szukać na scenach teatralnych choćby minimalnie zarysowanego akcentu czy klimatu, odzwierciedlających ten jakże ważny i wyjątkowy dla chrześcijańskiej cywilizacji czas. Bo przecież nie tylko dla katolików. Wydawałoby się, że głęboka refleksja nad sobą, nad przemijaniem, nad istotą naszego człowieczeństwa i sensu naszej egzystencji tu, na ziemi, dotyczy wszystkich bez względu na światopogląd. Tymczasem teatry, poza nielicznymi wyjątkami, prezentowały w tym okresie na swoich scenach spektakle nierzadko bluźniercze, karykaturujące Pana Jezusa, Matkę Bożą, szydzące z krzyża Chrystusowego, jadowicie nienawistne wobec Kościoła katolickiego, naszej religii, ośmieszające katolików. No i – co też jest stałym elementem wielu przedstawień – dokonywały deprecjacji rodziny, podstawowych wartości oraz szydziły z polskości i patriotyzmu. Nie mówiąc już o prezentowanej na rodzimych scenach pornografii, w tym tzw. twardej, jak choćby w „Diabłach" na scenie Teatru Powszechnego w Warszawie. Należy przy tym dodać, że spektakle te są w warstwie artystycznej przykładem wyjątkowej miernoty, pustki intelektualnej i amatorskiego wykonawstwa.

Scena z bluźnierczego spektaklu „Diabły" (Teatr Powszechny, Warszawa, reż. Agnieszka Błońska). Kulminacyjnym momentem tego „przedstawienia", epatującego wulgaryzmami, twardą pornografią i agresywną kpiną z chrześcijaństwa, było nawoływanie do wymordowania polskich katolików. Fot. Magda Hueckel

Złe trendy obecne były nawet w programie odbywającego się corocznie od jedenastu lat w Warszawie Interdyscyplinarnego Wielkopostnego Festiwalu Nowe Epifanie, którego część zdążyła się jeszcze odbyć – od 26 lutego do 11 marca, kiedy zamknięto z powodu pandemii instytucje kultury. Ten organizowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II festiwal, mający obecnie w podtytule słowo „wielkopostny", bodaj do 2017 r. nosił nazwę Gorzkie Żale; oba te termi-

eprasa.pl a4a4bdc682

Znakomita sopranistka Izabela Matuła jako Halka. Teatr Wielki Opera Narodowa, Warszawa, reż. Mariusz Treliński. Śpiewaczka stworzyła poruszającą kreację wokalną tragicznej bohaterki, niestety fatalny kostium i scenografia stanowiły przykry kontrast do wysokiego poziomu muzycznego spektaklu. Fot. Krzysztof Bieliński

ny wzięte zostały z liturgii Kościoła katolickiego. Tegorocznym bohaterem, główną postacią, wokół której koncentrował się program festiwalu, nie był bynajmniej Jezus Chrystus, co wydawałoby się tak bardzo oczywiste, lecz Maria Magdalena, jak napisano w programie do festiwalu: „Apostołka Apostołów". Według organizatorów jest ona patronką m.in. „pociągu seksualnego oraz kobiet", co obrazował zresztą spektakl „Maria Magdalena. Wykład o grzechu". Wyraźnie propagowana była w tej sztuce ideologia feministyczna oraz podważane prawdy zawarte w Piśmie Świętym. Powoływano się na apokryfy oraz prezentowano dowolne spekulacje twórców spektaklu na temat Marii Magdaleny. Z kolei w innym przedstawieniu zaprezentowanym w ramach festiwalu, a zatytułowanym „Boża krówka", nie zabrakło szyderstw z pieśni religijnych, z procesji Bożego Ciała, z wizerunku Matki Bożej. Ośmieszone zostały także spowiedź i Komunia święta – ksiądz miał zawieszoną na szyi kokardę ze stuły, pił wódkę, używał wulgaryzmów.

Również w roku ubiegłym nie Zbawiciel był głównym bohaterem „wielkopostnego festiwalu", lecz Judasz. Dziwi to tym bardziej, że impreza rokrocznie odbywa się w okresie przygotowującym do święta Zmartwychwstania Pańskiego – najważniejszego w liturgii Kościoła katolickiego. No i, jak już wspomniałam, jego organizatorem jest warszawskie Centrum Myśli Jana Pawła II, którego celem powinno być propagowanie, wdrażanie i realizowanie myśli Ojca Świętego, ukazywanie głębokiego wymiaru papieskiego nauczania. Tymczasem Festiwal Nowe Epifanie – zwłaszcza ta część programu, która tyczy się teatru – wskazuje, iż Centrum działa właściwie na szkodę imienia świętego Jana Pawła II i sprzeniewierza się Jego nauczaniu. Spektakle rokrocznie tam prezentowane nie tylko uwłaczają Polakom, ale przynoszą niewymierną szkodę – demoralizując, zatruwając umysły i kreując fałszywy obraz Kościoła i katolików, a także Polski i Polaków. Co najdziwniejsze, te bluźniercze festiwalowe przedsięwzięcia zostały także w tym roku – podobnie jak poprzednio – dofinansowane ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a zatem z naszych podatków!

W sytuacji nagromadzenia na scenach teatralnych tylu bezeceństw, obrzydliwości i amatorstwa wykonawczego zdawało się, że tak bardzo od dawna oczekiwana premiera Moniuszkowskiej „Halki" w reżyserii Mariusza Trelińskiego przynajmniej w części wynagrodzi publiczności owe niedopuszczalne braki prawdziwej sztuki w repertuarach teatralnych. Tymczasem znowu nastąpiło wielkie rozczarowanie, jeśli chodzi o formułę inscenizacyjną widowiska, wizualną stronę spektaklu oraz przerobienie libretta.

Moniuszkowska „Halka" w inscenizacji Trelińskiego miała dwie premiery: wiedeńską w Theater an der Wien w grudniu i po dwóch miesiącach warszawską. Przedstawienie w Operze Narodowej w Warszawie jest identyczne z wiedeńskim spektaklem. Różni je tylko obsada – poza Piotrem Beczałą, który śpiewał zarówno w Wiedniu, jak i w Warszawie – chór i orkiestra. Realizatorzy są ci sami, toteż koncepcja inscenizacyjna oraz interpretacja dzieła Moniuszki również jest identyczna w obu wystawieniach. Można wręcz powiedzieć, że widząc warszawski spektakl można było mieć obraz przedstawienia wiedeńskiego z poprawką na ową różnicę w obsadzie. Wiedeński spektakl prezentowała Telewizja Polska na kanale Kultura 29 marca w ramach akcji „Zostań w domu". Widzowie, którzy widzieli warszawskie przedstawienie „Halki", z pewnością zauważyli bliźniacze podobieństwo obu tych wystawień.

eprasa.pl a4a4bdc682

Światowej sławy polski tenor liryczny Piotr Beczała w roli Jontka. Wyjątkowej urody głos śpiewaka i tym razem elektryzował publiczność, mimo koszmarnych eksperymentów scenicznych reżysera, scenografa i choreografa. Tej klasy artysta z pewnością zasługuje na lepsze traktowanie. Fot. Krzysztof Bieliński

Do tych, którzy z niecierpliwością oczekiwali na warszawską premierę „Halki", należałam także i ja. Mimo iż znając reżyserskie przedsięwzięcia operowe Mariusza Trelińskiego na scenie warszawskiej Opery Narodowej – Teatru Wielkiego, powinnam być przygotowana na to, że z oryginalnej Moniuszkowskiej „Halki" niewiele się ostanie. I rzeczywiście – niestety, niewiele się ostało.

Główną atrakcją spektaklu i w Wiedniu, i w Warszawie był polski śpiewak, jeden z najwybitniejszych obecnie tenorów na świecie, jeśli nie najwybitniejszy, Piotr Beczała, który wykonywał partię Jontka. To właśnie dzięki jego zabiegom „Halka" Stanisława Moniuszki została wystawiona w Wiedniu, co ma niebagatelne znaczenie, jeśli chodzi o propagowanie w Europie i na świecie tej najwybitniejszej obok „Strasznego dworu" i najpiękniejszej polskiej opery narodowej. Wyjście opery Moniuszki poza Polskę jest sprawą oczywiście bardzo ważną, ale nie na tyle, by działo się to kosztem karykaturowania Moniuszkowskiej myśli oraz idei zawartej w oryginalnym utworze, a także nadpisywania dziełu interpretacji z pozycji współczesnej ideologii feministycznej. A takie właśnie jest przedstawienie Mariusza Trelińskiego.

Jak pamiętamy, u Moniuszki, w oryginalnym libretcie Wolskiego, akcja toczy się na Podhalu. Halka jest góralską dziewczyną zakochaną w dziedzicu Januszu, który ją uwiódł, a potem porzucił, żeniąc się z Zosią, córką Stolnika. W Halce z kolei kocha się góral Jontek, który nią się opiekuje. Jednak nieszczęśliwie zakochana dziewczyna, nosząca pod sercem dziecko Janusza, popada w obłęd i w finale opery rzuca się w wody górskiej rzeki.

Treliński całkowicie przerobił operę. Według nowego, zupełnie bezsensownego scenariusza Piotra Gruszczyńskiego, który wypacza zarówno myśl Moniuszkowską, jak i ideę dzieła, narracja prowadzona jest z perspektywy Janusza (w tej roli Tomasz Rak; w spektaklu wiedeńskim – Tomasz Konieczny), który staje się głównym bohaterem. Akcję umieścił reżyser w hotelu Kasprowy w latach 1970. Halka jest tam sprzątaczką i pokojówką, Jontek kelnerem, a Janusz obibokiem i uzależnionym od alkoholu celebrytą, który biorąc za żonę Zosię (Maria Stasiak), wżenia się w bogatą rodzinę dorobkiewicza Stolnika (Krzysztof Szumański); Stolnik to właściciel hotelu, ktoś w rodzaju mafiosa. Goście o proweniencji marginesu społecznego, którzy dorobili się na przestępczej działalności, bawią się na weselu Janusza, a usługuje im służba hotelowa. Wszyscy piją na umór (pewnie są i narkotyki) aż do tarzania się po podłodze. Kobiety są rozochocone i rozwydrzone. Paląca papierosy Halka, rzucająca się na szyję Januszowi, wygląda i zachowuje się niczym tłumok. Aż dziw, że Janusz chciał ją uwieść. Występująca w roli Halki Izabela Matuła (w warszawskim spektaklu) została jakby złośliwie ubrana w obcisłą minisukienkę, szpecącą i deformującą sylwetkę śpiewaczki. Aż dziw, że artystka zgodziła się na takie wizerunkowe oszpecenie poprzez fatalnie dobrany kostium autorstwa Doroty Roqueplo. Całe to pijane, prostackie weselne towarzystwo urządza sobie dyskotekę w rytm Moniuszkowskiego mazura, wyczyniając przy tym pokraczne figury taneczne. Choreografia Tomasza Jana Wygody jest wprost straszna, zupełnie nie do przyjęcia. Tylko Jontek grany przez Piotra Beczałę zachowuje w tej inscenizacji twarz, ubrany na przemian w białą kelnerską marynarkę i czarną skórzaną kurtkę. Przypomina w swym sposobie bycia hollywoodzkich aktorów Jamesa Deana i Clinta Eastwooda.

Wszystkie sceny z „Halki" rozgrywają się pośród koszmarnej, wyciemnionej, szarobrej scenografii Borisa Kudlički. Patrząc na tę karykaturę Moniuszkowskiego dzieła, nikt nie uwierzy, iż „Halka" jest perełką w skarbcu naszego dziedzictwa narodowego. Wulgarnie unowocześniona, odarta z pierwotnego, głębokiego ducha, z problemów swoich czasów, z patriotyzmu i polskości, ze szlacheckiej tradycji, z malowniczego górskiego otoczenia i pięknych tańców góralskich, nijak się ma do muzyki Stanisława Moniuszki. Zawarte w dziele kompozytora społeczne kwestie będące odbiciem tamtych czasów przeniesione u Trelińskiego na lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku są tworem zupełnie sztucznym.

Gdy jednak zamkniemy oczy na ohydną stronę wizualną i pozostaniemy w kontakcie tylko ze stroną muzyczną (świetnie poprowadzona przez Łukasza Borowicza orkiestra) i wokalną, doświadczymy wielkiego, pięknego przeżycia artystycznego. Piotr Beczała w partii Jontka wystąpił w Warszawie w trzech przedstawieniach (w następnych zagrał Rafał Bartmiński). Gdy śpiewał „I ty mu wierzysz, biedna dziewczyno…" czy „Szumią jodły…", na widowni panowała taka cisza, jakby publiczność przestawała oddychać, nie chcąc uronić ani jednej nuty. To była uczta muzyczna nie do zapomnienia. Pozostaje w pamięci także miły uchu, o ładnej barwie, mocny sopran Izabeli Matuły jako Halki. Wszyscy soliści zresztą, cała strona wokalna, chór są na wysokim poziomie, dają popis znakomitego perfekcyjnego wykonania. Napawają pocieszeniem, że mimo fatalnej inscenizacji piękna i tak bardzo polska muzyka Stanisława Moniuszki jest jak królowa, zdecydowana i niezależna od tego, co zmajstruje przy niej jakiś wypełniony pychą i chorą ambicją reżyser.

eprasa.pl a4a4bdc682

Naród – wspólnota emocjonalna lub byt organiczny

Bez uczuć patriotycznych człowiek jest kaleką moralnym

Dr hab. Martyna Deszczyńska

Jakiekolwiek strategie przyjmowaliby filozofowie, historycy nie powinni zaczynać od wypierania niechcianych wspomnień w imię ulepszonej metody" – to słowa amerykańskiego uczonego Donalda R. Kelly'ego, pochodzące z książki pt. *Losy historii*. Padły one dlatego, że w imię nowomodnych sposobów patrzenia na przeszłość „usuwa się" z niej owe „niechciane wspomnienia", czyli np. wiedzę o powstawaniu i krystalizowaniu się współczesnych narodowości w Europie i na świecie, zakładając, że zjawiska te nieuchronnie prowadziły ku szowinizmowi czy wręcz totalitaryzmom. Temat ten jest niezwykle ważny, gdyż wielu młodych ludzi widzi świat sformatowany, bez niuansów, czarno-biało, ulegając chęci rozmycia tożsamości w zglobalizowanym świecie albo odwrotnie – akcentowania swojej tożsamości w sposób budzący oburzenie euroentuzjastów i lewicy. W przypadku Polski zarówno jedna, jak i druga opcja wydają się czymś zapożyczonym i nieadekwatnym do rzeczywistości historycznej.

W środkowych dekadach epoki rozbiorów upowszechniało się przekonanie, że naród można traktować jak „osobę" w swoistym pośrednictwie między Opatrznością a człowiekiem. Tak myślał Kazimierz Brodziński. Tak też uważał wielkopolanin Jan Rymarkiewicz (1811–1889), społecznik i badacz literatury, piszący w 1843 r.: „Jak między Niebem a ziemią człowiek, tak między ziemską a duchową ojczyzną znajduje się Naród – Osoba. On (…) obie ojczystego bytu struny: realną i idealną w jeden nieprzerwany łańcuch, w jedną udzielną, sakramentalną żywota narodowego wiąże strunę".

Nie ma co jednak ukrywać, że myśli takie dotyczyły tylko elity. Nie we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa, wkraczającego w epokę modernizacji i tworzenia się masowych ruchów społecznych, poczucie świadomości narodowej przybierało tak wzniosły, idealistyczny kształt. Mało tego, dla większości np. warstwy chłopskiej czy drobnomieszczaństwa poczucie narodowe nie było w ogóle czymś wyrazistym, nie myślano o tych sprawach na co dzień. Ot, mówiono po naszemu, chodziło się do miejscowego kościółka, jak dziadowie i pradziadowie. Ba! Nie wszy

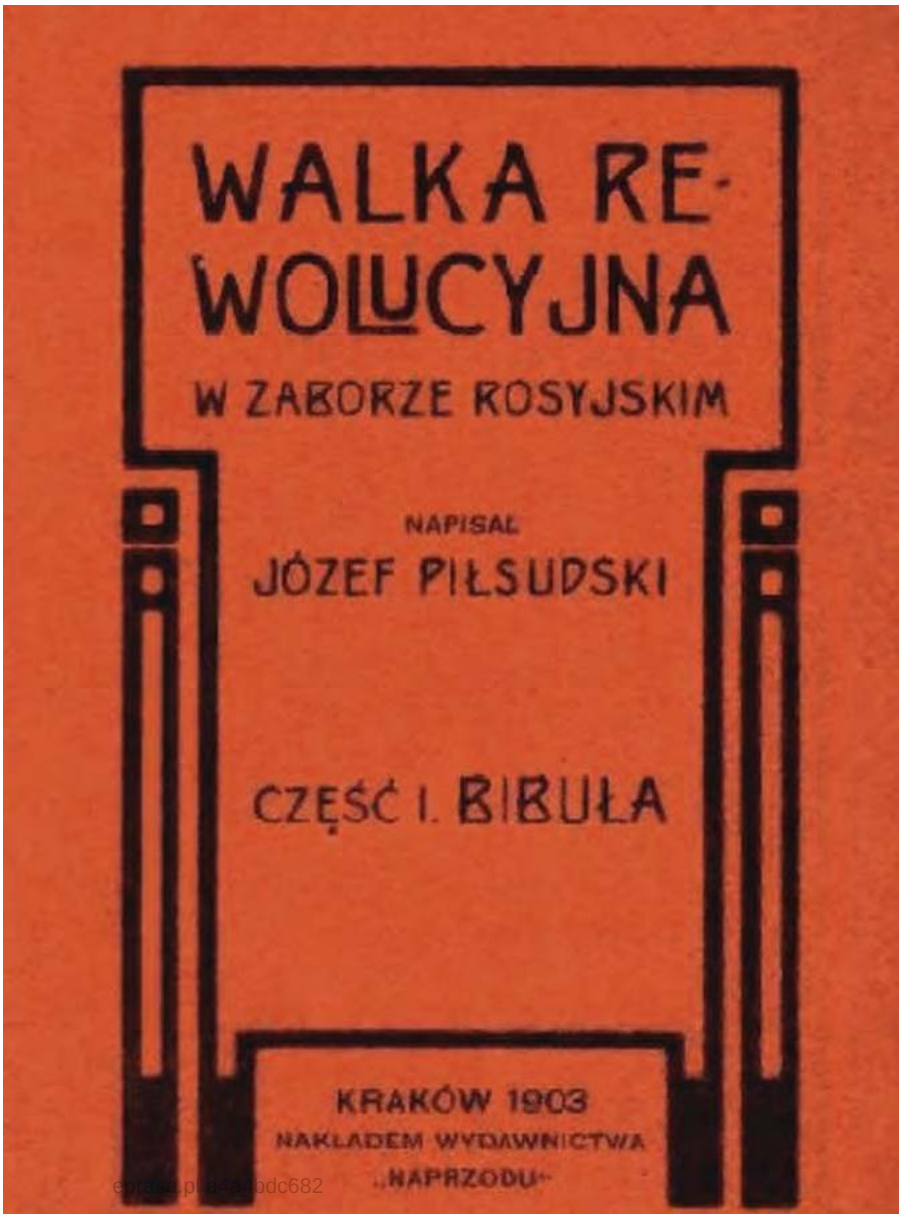

Okładka „Bibuły", czyli zbioru nielegalnych (z punktu widzenia Rosji) felietonów Józefa Piłsudskiego z czasów jego działalności socjalistycznej. Piłsudski opisał w „Bibule" naród polski jako naród konspiracji i rewolucji (tj. rewolucyjnego ruchu wolnościowego). Źródło: wikisource

scy zdawali sobie sprawę z roli przynależności do wspólnoty ani z siły procesów, które np. u sąsiadów-zaborców już od lat 30. czy 40. XIX w. scentralizowane państwa prowadziły w szkołach i na uniwersytetach (np. w Prusach i Rosji).

Nie oznacza to oczywiście, że nie byliśmy Polakami. Badacze uważają, że tzw. świadomość etniczna (język, ubiór, obyczaje, religia, kultura ludowa) wszystkich nas łączyła pomimo ważnych różnic, wynikających z przetrwania tradycji poszczególnych dialektów i obyczajowości na wsi polskiej w różnych regionach. Tak jak górale z Tatr i Podhala różnią się od górali beskidzkich, tak i Mazurzy różnią się od mieszkańców Polesia. Ale przecież i członkowie jednej rodziny bywają bardzo różni. Kultura szlachecka była nieco bardziej zintegrowana i jednolita, choć i tu polski szlachcic z Inflant był przez mazowieckiego szlachetkę uważany za kogoś innego, tych obu zaś magnat z czasem lekce sobie ważył.

Dzisiejszy brak zrozumienia zjawiska tworzenia się wspólnej świadomości narodowej, a nawet mówienie o tym z pewnym zawstydzeniem (szczególnie dotyczy to przypadku polskiego) przynosi fatalne skutki – ignorancję co do ważnej dla naszego kraju epoki zaborów. Objawia się uleganiem fałszywej narracji, że naród to coś, czego lepiej się wyprzeć, coś zarazem przestarzałego i wstydliwego. Ta fałszywa nuta rodzi kompleks odrzucenia własnej tożsamości, także subordynacji państwowej, na rzecz tożsamości niższego rzędu (takiej jak lokalna ojczyzna, miasto, kraina geograficzno-historyczna) bądź wyższego rzędu (Europa, enigmatycznie – Ludzkość) lub roztapiania się w paraojczyznach, np. fanklubach, subkulturach, sektach czy nowych ruchach jak świadomość planetarna bądź ekologizm. Czasem myślenie takie prowadzi do tropienia skrajnego nacjonalizmu i szowinizmu tam, gdzie go nie było, lub mylenia – o zgrozo! – patriotyzmu z faszyzmem.

Procesy narodotwórcze oskarża się o zło imperializmu w XIX-wiecznej fazie czy kolonializmu, pomijając ich naturalność i powszechność. Przecież zachodziły one i w Europie Zachodniej, i na Bałkanach, i w Afryce, i w obu Amerykach. W ciągu 150–200 lat z potomków hiszpańskich czy portugalskich kolonizatorów i rodzimej ludności oraz niewolników afrykańskich, a także emigrantów z Europy i Chin wyłoniły się narody argentyński, brazylijski, chilijski, peruwiański i wiele innych. Obecnie, w epoce globalizacji, ale i globalnej pandemii, okazuje się, że państwo narodowe w formie, jaka dominuje na świecie, posługujące się w komunikacji z obywatelami wspólnym językiem i systemem odniesień (kodem kulturowym), wydaje się jedną z najskuteczniejszych form organizacyjnych chroniących ludność przed niebezpieczeństwem gospodarczym, politycznym i biologicznym.

Jan Molga, „Obraz Bożego Narodzenia", tryptyk, lewe skrzydło: „Polonia semper fidelis" przedstawiające wybrane, zasłużone w historii Polski postacie składające hołd Nowo Narodzonemu Dzieciątku. Fot. Adam Bujak („Polsko, uwierz w swoją wielkość", Biały Kruk)

Polski socjolog Kazimierz Kelles-Krauz (1872–1905), członek Polskiej Partii Socjalistycznej, stwierdzał, że „stawanie się narodem" jest dobrowolnym uświadamianiem sobie przez rzesze ludzi sobie podobnych i mówiących podobnymi narzeczami tego samego języka swojej wspólnoty. Uważał, że powstawanie wspólnot na fundamentach państw średniowiecznych i absolutystycznych było narzucone poddanym i jako takie stanowiło ciąg dalszy zobowiązań feudalnych. Wspólne cele i przełamanie pewnego balastu tradycji (np. uciskania pewnych grup przez inne) mogło – jego zdaniem – ukształtować naród. Takimi elementami mogły być także rozwój wytwórczości i handel. Kelles-Krauz twierdził: „każdy robotnik poczuwa się jednocześnie członkiem pewnej określonej narodowości, której prawa są częścią jego praw – szczególniej, jeśli cierpi ona ucisk". Tak więc uważał ów badacz i działacz zarazem, że idea przynależności narodowej nie kłóci się z ideą socjalizmu. Co więcej, pisał w książce *Krytyka zasady narodowości* (1889), że mogły w historii istnieć różne kryteria podziału ludzkości na społeczeństwa, lecz „narodowość może być jedyną podstawą logiczną" ta-

eprasa.pl a4a4bdc682

kiego podziału, który wynika z logicznego prawa człowieka do samorządu i podporządkowania się woli większości. Był jednak daleki od apoteozowania roli państwa w rozumieniu np. Francuzów, co nazywał „nieznośnym zwyczajem francuskim". Można więc uznać zasadę podporządkowania w obrębie państwa narodowego – jego zdaniem – ale może być już ona nie do wyegzekwowania w większych całościach. W ciągłości mowy i zamieszkiwania na określonym terytorium widział on czynniki wystarczające, jak pisał, „dla stworzenia – ojczyzny".

Nieco odmiennie patrzył na tę sprawę wybitny działacz niepodległościowy, również socjalista i socjolog, a zarazem historyk Bolesław Limanowski (1835–1935). Akcentował on w pracy *Naród i państwo* (1905) różnicę między tymi pojęciami oraz między patriotyzmem narodowym i państwowym. Państwo łączył z terytorium, ludnością i instytucjami, naród zaś uważał za „społeczność żyjącą, organiczną". Ta definicja nawiązywała do myśli pozytywistycznej. Naród – zdaniem Limanowskiego – był najdoskonalszym tworem, wykazującym najwyższy stopień uspołecznienia. Co dziwne, idąc za wykorzystanymi przez antropologię współczesną motywami, szukał powinowactw społecznych w mechanizmach psychologicznych: „Naród ma pewne wspólne uczucia, myśli, pragnienia, dążenia, które przejawiają się w jego kulturze, piśmiennictwie, sztuce, wierzeniach, instytucjach, działalności dziejowej. (…) naród jest więcej psychicznym niż cielesnym organizmem". Źródłem patriotyzmu państwowego była wierność tronowi, monarsze (jak np. wierność rosyjskich chłopów carowi), źródłem patriotyzmu narodowego – zdaniem nestora socjalistów polskich – było poczucie „wspólności, solidarności plemiennej". Za taki uważał patriotyzm Francuzów w okresie napoleońskim czy Włochów w okresie walki o zjednoczenie oraz patriotyzm sobie współczesnych Polaków. Co znamienne, dodawał: „człowiek bez uczuć patriotycznych jest kaleką moralnym – spada on na poziom dzikich plemion, które nie doszły jeszcze do rozwoju narodowego". W innym tekście Limanowski pisał, że „naród – to osoba władająca, państwo – to rzecz władana", a naród jest kierownikiem i rządcą państwa. Ten ciekawy, inspirowany zresztą analizą rewolucji francuskiej 1789 r. sąd, a zawarty w pracy *Państwo unarodowione i unarodowienie ziemi* (1916), niósł przedsmak niepodległości, którą myśliciel mógł się już niebawem cieszyć.

Żeby podsumować polską myśl socjalistyczną nt. narodu formułowaną przed odzyskaniem niepodległości, trzeba odwołać się do Józefa Piłsudskiego (1867–1935). W felietonach pod zbiorczym tytułem *Bibuła* (1903), publikowanych przez Ignacego Daszyńskiego na łamach socjalistycznego pisma „Naprzód", podkreślał Piłsudski, że naród polski, będąc narodem konspiracji i rewolucji (tu jako rewolucji wolnościowej), te właśnie cechy rozwinął najbardziej. Jednak nie miało to miejsca w okresie powstań, ale w okresie po nich następującym, czyli po 1864 r., kiedy „bibuła", czyli nielegalna prasa i książka, kolportowana wśród warstw pracujących, była tym, co docierało do jałowej i niezagospodarowanej mentalnie duszy przeciętnego człowieka na ziemiach polskich. Piłsudski zauważył, że niespętane cenzurą słowo socjalistów wyzwoliło naród z marazmu, a także przyczyniło się do zwycięstwa żywiołów demokratycznych, w tym socjalistów, na polu świadomości narodowej ludności. Przy czym dawał tu przyszły Naczelnik Państwa swoistą definicję tego narodu, rozumianego: „nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący miejski i wiejski". Pominął Piłsudski w swoich rozważaniach pracę konspiracyjną politycznej konkurencji, czyli endecji, w zaborze rosyjskim, skupiając się na socjalistach jako mu bliższych i lepiej znanych. Inaczej więc niż na Zachodzie idee narodowe i uświadamianie narodowe szerzyły się w Polsce pod zaborami nie poprzez ideologię tylko narodową, ale także poprzez idee socjalizmu i solidarności robotniczej fabryk Królestwa Polskiego.

eprasa.pl a4a4bdc682

Licznie zgromadzeni pielgrzymi podczas sumy pontyfikalnej na Jasnej Górze w święto Matki Bożej Królowej Polski, 3 maja 2006 r. Fot. Adam Bujak („Polsko, uwierz w swoją wielkość", Biały Kruk)

W tych rozważaniach nie można pominąć głównego przedstawiciela ruchu narodowego na przełomie XIX i XX w., Romana Dmowskiego (1864–1939). Postać to wybitna, często demonizowana przez przeciwników ideowych, a w gruncie rzeczy słabo znana. Twórcy Ligi Narodowej, powstałej z przekształcenia Ligi Polskiej, przyprawiano „gębę" już za życia. Działo się to po części wskutek potrzeb doraźnych sporów partyjnych, lecz także z racji tego, że obóz zwany wszechpolskim (a częściej endeckim, tj. narodowo-demokratycznym), choć miał największe wpływy na polskiej scenie politycznej, to jednak nie był w stanie przejąć w odrodzonym państwie władzy na dłużej. Stało się tak dlatego, że Piłsudski i jego współpracownicy nie należeli – mówiąc oględnie – do entuzjastów idei narodowo-demokratycznych. Konflikt bywał zawieszany, jak stało się to w pierwszych kwartałach po listopadzie 1918 r., ale istniał i czasem ujawniał się w postaci kryzysów, czego przykład stanowił choćby przewrót majowy.

Pisząc o kwestii narodowej, Dmowski powoływał się na to, że w krajach takich jak Francja i Włochy istnieje rozwinięty ruch nacjonalistyczny, w czym widział konieczność dziejową, a także odpowiedź narodów katolickich na nacjonalizm imperialny narodów protestanckich: Anglii czy zjednoczonych Niemiec. Zauważał, że te kraje kierują się tzw. egoizmem narodowym – zasadą stawiania na pierwszym miejscu walki o byt i potęgi interesów własnej nacji, wykorzystując w tym celu jej najżywotniejsze siły. Nie lubił przy tym nazwy „nacjonalizm". W rozprawie *Kościół, Naród, Państwo* (1927, a więc powstałej w wieku dojrzałym) Roman Dmowski pisał np.: „Byłem zawsze zdania, że to termin nieszczęśliwy, osłabiający wartość ruchu i myśli, którą ten ruch wyrażał. Wszelki 'izm' mieści w sobie pojęcie doktryny, kierunku myśli, obok którego jest miejsce na inne, różnorzędne z nim kierunki. Naród jest jedyną w świecie naszej cywilizacji postacią bytu społecznego, obowiązki względem narodu są obowiązkami, z których nikomu z jego członków nie wolno się wyłamywać: wszyscy synowie winni dla niego pracować i o jego byt walczyć, czynić wysiłki, ażeby podnieść jego wartość jak najwyżej, wydobyć z niego jak największą energię w pracy twórczej […]". Poglądy te były bliskie francuskim i włoskim działaczom narodowym, którzy głosili te doktryny nieco na wyrost, walcząc o wyborców w zlaicyzowanej III Republice i w rozdzieranej konsumienia między wiernością katolicyzmowi a wiernością państwu świeckiemu zjednoczonej Italii. Był więc nacjonalizm polski, jakim go widział Dmowski, produktem myślowym zapożyczonym z Europy Zachodniej. Endecja, wykorzystując instrumentalnie w walce o wpływy uproszczenia myślowe i często tanią propagandę, siłą rzeczy antagonizowała swych zwolenników z innymi narodowościami, mając wszakże na celu wartość uznaną przez siebie za nadrzędną.

U progu niepodległości prawnik, publicysta i organizator kultury polskiej w Wilnie, Tadeusz Wróblewski (1858–1925) pisał o zmienności narodu, niebędącego zjawiskiem przyrodzonym, a więc inaczej niż Limanowski. Wróblewski widział naród jako zrzeszenie historyczno-społeczne, w którym żaden czynnik – język, kultura czy etniczny skład plemienny – nie wystarcza do powstania narodów. W swej publicystyce podkreślał, że najistotniejsze znaczenie ma świadomość narodowa i tak naprawdę jest to jedyny i dostateczny wyznacznik przynależności. Ta „otwarta" definicja pojęcia, bliższa czasom dzisiejszym, w których bez problemu włączają się w narodową wspólnotę osoby z dalekich stron, wmieszkane, zakorzenione w życiu społecznym i kulturalnym czy dzieci z rodzin mieszanych narodowościowo, których przodkowie pochodzą z innych kontynentów, a które mogą mieć podwójną świadomość przynależności do różnych kultur i wykazywać uczucia patriotyczne w stosunku do dwóch ojczyzn. Dziś nieco zapomniany, Wróblewski pisał w 1918 r.: „Naród to nie rasa etnologiczna i nie zrzeszenie umowne (*societas*), ale jednota duchowa (*communio*), na którą się złożyły uczucia, myśli i przejawy". Wymienione cechy ukazują świadomość narodową, na której rozwój w XIX w., zdaniem autora, wpłynął rozwój kapitalizmu, szukającego rynków zbytu przez tzw. narody władne, czyli posiadające państwa. Ta refleksja przywiodła Wróblewskiego do wniosku, że tylko w państwie jako części organizacji narodowej kultura narodowa jest najpełniej chroniona. Brał też autor pod uwagę ochronę praw mniejszości, które własnego państwa na danym obszarze utworzyć nie mogą lub są zbyt małe, by móc o taką niepodległość wnosić. Przestrzegał więc przed arbitralnym określeniem narodowości mieszkańców przez państwo na podstawie zasiedziałości lub brzmienia nazwisk czy wyznania: „Jedyne przeto sprawiedliwe określenie przynależności narodowej powinno polegać na wyrażeniu wolnej i świadomej woli dorosłego człowieka za siebie i ojca lub opiekuna za nieletnich".

Na temat narodowości współczesnej wypowiedział się profesor Uniwersytetu Warszawskiego, historyk Marceli Handelsman (1882–1945); zmarł w obozie koncentracyjnym Dora-Nordhausen.

eprasa.pl a4a4bdc682

REKLAMA

DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY NIOSĄ POMOC

2 MAJA – DZIEŃ FLAGI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

WYWIEŚMY FLAGĘ. POKAŻMY, ŻE JESTEŚMY RAZEM NIEZALEŻNIE OD SYTUACJI.

niepodległa

ORLEN

eprasa.pl a4a4bdc682

Związkowcy ze Stoczni Gdańskiej idą w marszu pamięci w pierwszą rocznicę katastrofy smoleńskiej. 10 kwietnia 2011 r. Fot. Adam Bujak („Hołd Katyński 2", Biały Kruk)

Widział on w narodowości „świadomość zbiorową łączności, tkwiącą głęboko wewnętrznie, będącą świadomością godności wspólnej". Tak jak i Wróblewski, Handelsman nie uważał terytorium czy pochodzenia etnicznego za pierwiastki konieczne dla narodowości, a raczej za ramy zewnętrzne, na których ona się nadbudowuje. Jego zdaniem „Narodowość, to zjawisko tkwiące w dziedzinie psychiki zbiorowej" – jak pisał w dziele i dziś chętnie czytanym pt. *Rozwój narodowości nowoczesnej* (1924).

Krytyczny wobec Piłsudskiego profesor krakowskiej Akademii Umiejętności, wybitny historyk Feliks Koneczny (1862–1949) formułował swe główne myśli na temat narodu w pracy *O wielości cywilizacji* (1935), jednym z nielicznych dzieł polskich przełożonych na język angielski. Widział on w państwie nadbudowę prawną społeczeństwa, naród zaś uważał za jego nadbudowę etyczną. Etyka jest więc podstawą więzi narodowej: „im bardziej ktoś boi się etyki w życiu publicznym, tem niżej ceni idee narodowe". Poczucie narodowe dla Konecznego było dobrowolne i abstrakcyjne, a obowiązki przyjęte z tytułu przynależności narodowej uznawał za dużo cięższe niż obowiązki wobec państwa. Koncepcja Konecznego włączała kultury narodowe w obręb szerszych całości. Cywilizacja, będąca raczej wynikiem podobieństw ustroju życia zbiorowego, jak np. łacińska, składała się z kultur rodzimych: francuskiej, włoskiej, polskiej itp. Koneczny uważał więc, że „Narodowość nie jest siłą daną z góry, przyrodniczą czy antropologiczną, wrodzoną pewnemu żywiołowi etnograficznemu, lecz jest siłą (…) nabytą, wytworzoną przez człowieka, a wytwarzaną dopiero na pewnym stopniu kultury". Ów autor, postrzegający historię jako ścieranie się cywilizacji, jest dziś chętnie przywoływany przez myślicieli zarówno globalizmu, jak i alterglobalizmu.

Podsumowując ten bardzo skrótowy przegląd rozważań polskich myślicieli, uczonych i polityków z okresu XIX i pierwszej połowy XX w. (pominęłam tu bardzo wielu, których głos był także istotny, jak np. pozytywistę Aleksandra Świętochowskiego, Bolesława Prusa, Jana Popławskiego i Zygmunta Balickiego, twórców Ligi Polskiej, socjalistę Leona Wasilewskiego; zapewne można im poświęcić odrębnie uwagę), należy podkreślić zróżnicowanie i głębię, a także silne podstawy intelektualne ówczesnych rozważań nt. narodu, jego roli czy stosunku do państwa. Tworzą one wspólne dziedzictwo intelektualne bez względu na dzielące poszczególnych autorów różnice polityczne czy ideologiczne, odrębność doświadczenia pokoleniowego. Wspólne prawie wszystkim przytaczanym autorom akcenty, pojawiające się w pojmowaniu narodowości, polegają na obecności pierwiastka etycznego jako ważnego czynnika zaistnienia i istnienia narodu. Nie więc tępy i plemienny behawioryzm, darwinizm społeczny czy chęć panowania nad innymi, nie tylko obręb terytorialny (ten wszakże przesuwano nam kilka razy w ciągu dziejów), nie tylko język czy interes ekonomiczny lub militarny (jak ów egoizm narodowy), ale pierwiastek duchowy, aspekt moralny wydawał się większości przywoływanych postaci nieodzownym dla uświadomienia sobie przez wspólnotę charakteru łączącej ją więzi. Silnie podkreślano kwestię tożsamości, rozumianej jako dobrowolna deklaracja jednostki, potwierdzająca przynależność do narodu, a zatem także współtworzenie jego dziejów, przyjmowanie zobowiązań i ponoszenie trudu i odpowiedzialności za jego losy, także losy państwa tworzonego przez naród. U wszystkich prawie przywoływanych autorów – od początku XIX w. – na uwagę zasługuje obok pierwiastka etycznego, duchowego (czasem religijnego), równie silny pierwiastek uczuciowy, psychiczny i emocjonalny, objawiający się w tych chwilach, kiedy konieczność dziejowa wymaga okazania solidarności z rodakami.

eprasa.pl a4a4bdc682

Hasło do walki rzucone w Krakowie szybko rozeszło się po całym kraju

Dla obrony Ojczyzny, z poczucia szacunku dla niej i własnych osiągnięć

Prof. Piotr Biliński

Tadeusz Kościuszko przybył do Krakowa w towarzystwie Łukasza Biegańskiego 23 marca 1794 r., tuż po opuszczeniu miasta przez wojska rosyjskie, dowodzone przez ppłk. Łykoszyna. Fakt jego obecności był na razie znany tylko nielicznemu gronu najbardziej zaufanych spiskowców. W owym ściśle poufnym gronie w pałacyku Wodzickich, w którym zatrzymał się Kościuszko, toczyły się ostateczne narady „nad dawno przygotowanymi rzeczami".

Wczesnym rankiem w poniedziałek 24 marca zamknięto bramy miasta, obsadzając je wartami z regimentu gen. Mikołaja Czapskiego pod bezpośrednią komendą ppłk. Adama Kczewskiego. Poza mury nie wypuszczano nikogo bez zezwolenia gen. Józefa Wodzickiego. Do pałacyku polecono zwołać wyższych oficerów garnizonu krakowskiego i oddziały stojące w pobliżu miasta. Przed godziną szóstą rano Kościuszko i Wodzicki z kilkoma oficerami udali się do kościoła ojców Kapucynów, gdzie ojciec Tadeusz (Stanisław Krawczyński) – jak podaje kronika zakonu – „zawiadomiony wcześnie z rana, otworzyć kazał drzwi kościoła i czekał u furty ogrodowej Wodzickich przybycia WPana Kościuszki. Za przybyciem wprowadził tak tegoż WPana Kościuszkę jak i WPana gen. Wodzickiego z innymi towarzyszącymi im oficerami i cywilami do kaplicy loretańskiej. Następnie odprawiwszy Mszę świętą ojciec gwardian, pobłogosławił złożone na stopniach ołtarza szable, które obecni do rąk wziąwszy i w górę wzniósłszy, naprzód Wny Imci Pan Kościuszko, a z nim wszyscy obecni towarzysze wojskowi, uroczyście i z wzniosłym serc uczuciem wyrzekli przysięgę poświęcenia życia za wiarę i ojczyznę. Wielebny ojciec gwardian, wzruszony do głębi duszy, w niewielu słowach ujął swą krótką mowę: 'Jak niegdyś jeden z kapucynów, wielebny ojciec Marek d'Aviano, błogosławił Przesławnemu Królowi Polskiemu Sobieskiemu, tak ja wam błogosławię'. Po czym podał im Krzyż święty do pocałowania i wodą święconą ich pokropił. A brat Antoni odprowadził ich do furty ogrodowej".

Tadeusz Kościuszko w mundurze generała-lejtnanta Wojska Polskiego, portret pędzla Karla Gottlieba Schweikarta. Fot. Wikimedia

Około godziny ósmej rano Łukasz Biegański, adiutant Kościuszki, oznajmił prezydentowi Krakowa Filipowi Lichockiemu, aby zwołał urzędników miejskich i zgromadził lud przed ratuszem. Rada miejska szybko zebrała się na posiedzenie, postanawiając „przywitać Kościuszkę jako gościa, oraz polecić jego protekcji miasto i sprawy miejskie". W trakcie obrad przybył na ratusz Antoni Święcicki z polecenia gen. Wodzickiego i oznajmił radzie, że o godzinie dziewiątej będzie ogłoszony akt powstania.

Dzwon na ratuszu zwołał ludność, a na rynku ustawił się batalion regimentu trzeciego szefostwa Czapskiego. Według Wojciecha Mączyńskiego koło godziny dziesiątej ukazał się na ul. św. Anny Kościuszko, zmierzający ku ratuszowi w orszaku, w którym obok gen. Wodzickiego i oficerów szli kasztelan czchowski Stefan Dembowski, ks. Franciszek Dmochowski i Aleksander Linowski. Przed wyciągniętym w dwa szeregi, między ulicami św. Anny i Szewską, frontem batalionu stanął Kościuszko. Uderzono w bębny, nastała cisza, Naczelnik przemówił do wojska, zachęcając je do obrony ojczyzny. Aleksander Linowski odczytał akt powstania, po czym złożono przysięgę. Pierwszy uczynił to Kościuszko, który powtarzał za posłem Linowskim słowa roty: „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej sobie władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie dla obrony całości granic i samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego".

Następnie przysięgał gen. Wodzicki i wojsko, zaręczając wierność narodowi i posłuszeństwo Naczelnikowi, wezwanemu dla ocalenia swobód i niepodległości Ojczyzny. Podczas odczytywania aktu powstania padły z tłumu głosy domagające się gilotyny dla zdrajców. Kościuszko i Wodzicki przemawiali do ludu; ten ostatni tłumaczył,

eprasa.pl a4a4bdc682

że zbędne są gilotyny: „zbudujemy szubienice – mówił – aby zdrajców wywieszać”.

Z rynku Tadeusz Kościuszko w otoczeniu wyższych wojskowych, szlachty i zebranego tłumu udał się na ratusz. W sali posiedzeń rady miejskiej zwrócił się do zebranych, wyjaśniając, że przybył bronić Ojczyzny na wezwanie licznych obywateli, że dobra wola zadecydowała o udziale mieszkańców w podjętej walce, która też na wszystkich kładzie poważne obowiązki bez względu na przynależność klasową. Po raz drugi odczytał Linowski akt powstania przyjęty radosnymi okrzykami zgromadzonych. Obywatele miejscy „do przysięgi pociągani nie byli, lecz na honor tylko i poczciwość w księgę do tego przygotowaną imiona swoje zapisywali”. Wszyscy obecni składali swe podpisy na znak zgody i solidarności z insurekcją. Akt powstania oblatowano w księgach grodzkich, a przetłumaczony na języki obce został przesłany rządom Szwecji, Danii, Turcji, Francji i Stanom Zjednoczonym Ameryki.

W ten sposób insurekcja, proklamowana na rynku krakowskim, na zgromadzeniu mieszkańców i obywateli województwa krakowskiego, uzyskała urzędową sankcję, a stała się obowiązującą w myśl dawnych przepisów przez oblatowanie aktu powstania w krakowskich księgach grodzkich. Na rynku wojsko złożyło dowód lojalności względem narodu przez zaprzysiężenie mu wierności i wzięło na swoje barki całą niemal odpowiedzialność za wynik mającego stoczyć się boju. Hasło tutaj rzucone szybko rozeszło się po całym kraju.

W godzinach popołudniowych Kościuszko był na posiedzeniu kapituły katedralnej i odebrał od niej, w charakterze subsydium na insurekcję, 20 tys. zł. Kancelarię Naczelnika umieszczono w Szarej Kamienicy na rynku, będącej własnością kasztelana bieckiego Franciszka Żeleńskiego, członka komisji porządkowej krakowskiej. Tu w kilku pokojach pracowała kancelaria wojskowa pod kierunkiem Aleksandra Linowskiego, który stał się ministrem sekretarzem w nowym rządzie. Utrzymał się na tym eksponowanym stanowisku do 16 czerwca, kiedy funkcję tę przejął Julian Ursyn Niemcewicz.

Przez całe popołudnie, 24 marca, Kościuszko rozsyłał w różnych interesach tak wiele osób, że powołany do wydawania paszportów prezydent Lichocki nie mógł spokojnie „połknąć kawałka chleba”.

Dawał się odczuć brak odpowiedniej ilości broni, amunicji, prowiantu i zorganizowanej służby lekarskiej. Arsenały krakowskie, królewski i miejski, były puste; na razie liczyć można było tylko na zapasy spiskowców i transporty z Galicji. 26 marca w całym mieście rozpoczęto zbieranie wszelkiej broni, amunicji, saletry, siarki, żelaza i ołowiu. W objętych przez rząd insurekcyjny w sekwestr kuźnicach biskupstwa krakowskiego odlewano kule i kuto kosy. Rusznikarze dzień i noc pracowali bezinteresownie nad wygotowaniem i wypreparowaniem broni ręcznej i armat, stolarze nad obsadzeniem kos i pik. W klasztorach na przemian robiono ładunki. Z ofiar mieszkańców Krakowa zgromadzono broni palnej: 13 karabinów, 5 i 26 par pistoletów; białej: 244 sztuk pałaszy i 6000 kos; amunicji: 6 baryłek i 3 kamienie prochu, ołowiu zaś 2 kamienie. Norbertanki ofiarowały 2 armaty, 2 moździerze i 7 śmigownic. Z Wawelu zabrano 10 dział spiżowych, 4 granatniki i 12 starych jednofuntowych armatek. Wreszcie przyprowadzone przez brygadiera Antoniego Madalińskiego oddziały przywiozły 8 dział różnego kalibru. Po wyreperowaniu niektórych i odrzuceniu niezdatnych do użycia pozostało 21 sztuk; 12 z nich wziął ze sobą Kościuszko pod Racławice, a reszta została na zamku krakowskim, gdzie znajdował się skarb insurekcyjny oraz skład amunicji i prowiantu.

Służbę lekarską i lazaretową rozpoczęto kompletować 28 marca; starsi cechu cyrulików byli zobowiązani do podania odpowiednich kandydatów do obsługi lazaretowej, a aptekarze oddawali bezpłatnie lekarstwa. Następnego dnia wydał Naczelnik odezwę, w której zachęcał obywateli, aby, „podając ratunek cierpiącej ludności, składali za rewersami wszelkie efekta lekarskie tudzież naczynia do aptek potrzebne wyznaczonemu do tego doktorowi medycyny, Antoniemu Szasterowi”.

Równolegle z akcją organizacyjną w Krakowie rozchodziły się rozporządzenia Kościuszki po całym województwie. Poszło wezwanie do duchowieństwa, aby ogłaszało z ambon akt powstania i zachęcało lud do czynnego udziału w walce. Wysłannicy insurekcji rozchodzili się po województwie, aby przeprowadzić wszędzie formalne przystąpienie do insurekcji. Do Krakowa napływała ze wszystkich stron młodzież i szlachta, wstępując masowo do wojska. Miasto gromadziło przybyszów z różnych okolic. Na liście zwerbowanych do 1 kwietnia spotykamy ludzi z Poznania, Kalisza i Lublina, z Wieliczki, Jasła, Krosna, Gorlic, Żywca, a nawet z Węgier.

Tak więc Kraków stał się głównym ogniskiem powstania. Na tle rozwijającej się akcji organizacyjnej zapanował w nim rygor wojenny. Tymczasem szybko zbliżała się chwila, w której miała stoczyć się decydująca walka z Rosjanami. W mieście rósł niepokój, który potęgowały jeszcze wieści rozsiewane przez trwożliwych przybyszów. W ostatnich dniach marca wyruszył z Krakowa batalion Czapskiego, a za nim wkrótce batalion Wodzickiego, oddział kawalerii oraz pikinierów i kosynierów z wozami i armatami, za którymi niebawem podążył Kościuszko. 1 kwietnia wszystko w mieście ucichło. Komendę nad milicją miejską i nielicznym garnizonem regularnym objął gen. Wodzicki, zastępowany w czynnościach z powodu podagry przez Jana Gabriela Taszyckiego.

Nadzieje na masowe przyłączenie się chłopów do powstania okazały się mira

Przysięga Kościuszki na rynku krakowskim 24 marca 1794 r. w artystycznej wizji krakowskiego malarza Michała Stachowicza. Fot. MNK

eprasa.pl a4a4bdc682

Kosynierzy modlą się przed spodziewanym starciem zbrojnym z oddziałami pułkownika Aleksandra Tormasowa pod Racławicami. Atak uzbrojonej w kosy chłopskiej piechoty na rosyjską artylerię przeszedł do legendy Insurekcji Kościuszkowskiej. Obraz Józefa Chełmońskiego „Modlitwa przed bitwą". Fot. Wikimedia

żem, choć pod Racławicami, 4 kwietnia, odznaczył się oddział kosynierów, rozbijając doszczętnie rosyjski korpus gen. Aleksandra Tormasowa. Mimo rozgłoszenia tego zwycięstwa dalsze niepowodzenia sprawiły, że los insurekcji wisiał na włosku. Uratował ją wybuch powstania w Warszawie (17 i 18 kwietnia). Wskutek panicznej ucieczki rosyjskiego dowódcy, gen. Osipa Igelströma, w ręce powstańców wpadło archiwum ambasady rosyjskiej z listami agentów. Insurekcja wybuchła także w Wilnie, gdzie powieszono hetmana Szymona Kossakowskiego, na Żmudzi, w Grodzieńszczyźnie, w Lubelskiem i Ziemi Chełmskiej.

Ogłoszony przez Kościuszkę 7 maja w Połańcu manifest nadawał chłopom wolność osobistą i zmniejszał wymiar pańszczyzny, ale włościan do insurekcji nie przyciągnął. Sytuację powstania pogorszyło włączenie się Prus do walk przeciw Polsce. Dwukrotnie (9 maja i 28 czerwca) w radykalizującej się, „jakobińskiej" Warszawie, przeżywającej trudności aprowizacyjne, doszło do samosądów; na szubienicy zawisł m.in. bp Józef Kossakowski. Ostro potępił ów terror Kościuszko i władze insurekcji. Wybuch powstania w Wielkopolsce w sierpniu sprawił, że wojsko pruskie, przygotowujące się do szturmu na Warszawę, wycofało się na początku września. Do Polski wkroczyły jednak kolejne tysiące Rosjan i dysproporcja sił była ogromna. O klęsce powstania przesądziła bitwa pod Maciejowicami (10 października), dokąd z Warszawy skierował się Kościuszko, aby zastąpić drogę silnemu korpusowi gen. Iwana Fersena podążającemu z Lubelszczyzny ku stolicy. Naczelnik nie zdołał zapobiec wzmocnieniu Fersena przez drugi rosyjski korpus (gen. Fiodora Derfeldena) i poniósł druzgocącą klęskę, dostając się do niewoli. Niebawem feldmarszałek Aleksandr Suworow znalazł się z korpusem wojsk pod Pragą; po jej zdobyciu dokonał rzezi ludności cywilnej (4 listopada). To okrucieństwo miało skłonić Warszawę do szybkiej kapitulacji; stolica poddała się 7 listopada.

Jeszcze w czasie bojów z powstaniem Katarzyna II rozpoczęła z Austrią i Prusami negocjacje rozbiorowe. Wiedeń szybko zgodził się na zakreślone przez Petersburg granice zdobyczy. Ociągały się Prusy, żądając więcej. 3 stycznia 1795 r. Austria i Rosja podpisały traktat podziałowy. Prusy skapitulowały i dokonały tego 24 października 1795 r. Austria wzięła w trzecim podziale terytorium po Pilicę i Wisłę na zachodzie, Bug na północy i wschodzie (47 tys. km² i 1,5 mln ludności), Prusy Warszawę, pas od Pragi do ujścia Bugu i Narwi po Niemen na wschodzie oraz resztę Wielkopolski (48 tys. km² i 1 mln ludzi), Rosja pozostałą część państwa (120 tys. km² i 1 mln mieszkańców). W trzech rozbiorach Rosja zagarnęła 62 proc. terytorium i 45 proc. ludności dawnej Rzeczypospolitej (odpowiednio 463 tys. km² i 5,5 mln), Prusy 20 proc. terytorium i 23 proc. mieszkańców (141 tys. km² i 2,6 mln ludzi), Austria 18 proc. ziem i 32 proc. mieszkańców (129 tys. km² i 4 mln ludzi). W konwencji podpisanej 26 stycznia 1797 r. rozbiorcy przyrzekli sobie, że odtąd nie będą używali nazwy nieistniejącego już Królestwa Polskiego.

Natychmiast po unicestwieniu Rzeczypospolitej imperatorowa zażądała od Stanisława Augusta abdykacji. Po krótkim oporze król uległ 25 listopada 1795 r., szantażowany niespłaceniem w wypadku odmowy jego 40-milionowych długów. Wprawdzie ich źródłem było finansowanie przez monarchę potrzeb państwa, którego skarb (zwłaszcza po rozbiorze) wciąż nie wystarczał na pokrycie podstawowych potrzeb, wprawdzie niespłacenie długów oznaczałoby ruinę wielu posesorów starostw, na których długi były zabezpieczone, jednak abdykację trzeba uznać za poważny błąd Stanisława Augusta. Godząc się na pozbawienie korony, ostatniego atrybutu państwowości, po raz pierwszy w życiu rezygnował on z wartości politycznej na rzecz poniekąd prywatnej. Obok akcesu do targowicy i traktatu *O ustanowieniu i upadku konstytucji* miało to decydujący wpływ na czarną legendę ostatniego króla.

Naród, który stracił państwo, był już jednak zupełnie inną społecznością niż u progu epoki stanisławowskiej. Wchłonąwszy w zreformowanych szkołach zdobycze Oświecenia i pozbywszy się sarmackich przesądów, Polacy ulegli bezprawiu, za którym stała naga siła. Wiedzieli, że choć późno, dokonali wiele dla obrony swej Ojczyzny, mieli poczucie szacunku dla niej i dla własnych osiągnięć. Epoka stanisławowska nie uchroniła państwa przed rozszarpaniem, ale odrodziła społeczeństwo; powstał nowoczesny naród, ożywiony wolą walki o odzyskanie Ojczyzny.

eprasa.pl a4a4bdc682

4 mln 329 tys.
odsłon
w marcu 2020 r.

1 mln 750 tys.
użytkowników

To wzrost **o 400 proc.** w skali roku

To wzrost **o 467 proc.** w skali roku

W tych trudnych czasach

dziękujemy za zaufanie

tysol.pl

najdynamiczniej
rozwijający się portal prawicy

eprasa.pl a4a4bdc682

Korespondenci wojenni wojny polsko-bolszewickiej 1920

Polskie asy literackie w służbie frontowej

Dr Monika Makowska

2 lipca 1920 r. dowódca sowieckiego Frontu Zachodniego Michaił Tuchaczewski, autor planu wielkiej ofensywy na Polskę, wydał słynny rozkaz nr 1423, wzywający Armię Czerwoną do bezwzględnej walki z wojskami „gnijącego białego orła". „Przez trupa białej Polski prowadzi droga do światowego pożaru. Na bagnetach zaniesiemy szczęście i pokój pracującej ludzkości. Na zachód ku decydującym bitwom, ku głośnym zwycięstwom. Formujcie bojowe szeregi, wybiła ofensywa na Wilno, Mińsk, Warszawę. Marsz!". Dwa dni później wielkie masy czerwonych oddziałów pod jego dowództwem, wspierane przez działającą na sowieckim froncie południowo-zachodnim armię Aleksandra Jegorowa i konnicę Siemiona Budionnego ruszyły na Polskę. Uderzenie nastąpiło na całej linii obu frontów od granicy z Łotwą po Polesie; na południowym wschodzie ziem polskich główna sowiecka siła uderzeniowa skierowała się na Lwów. Sytuacja Polski stawała się coraz bardziej dramatyczna. Bestialstwo sowieckich sołdatów wobec polskich żołnierzy i bezbronnej ludności cywilnej przekraczało wszelką miarę wyobraźni cywilizowanego świata, nie mówiąc już o barbarzyńskim dziele niszczenia wszystkiego, co polskie i „pańskie". Niepodległa, ale wyczerpana ponad stuletnią niewolą i krwawymi zmaganiami Wielkiej Wojny Rzeczpospolita miała stanąć przed jednym z najpoważniejszych wyzwań w swojej historii…

7 lipca powołano Armię Ochotniczą, określając zasady werbunku do szeregów. Utworzono także Generalny Inspektorat powstających oddziałów, na których czele stanął, zgodnie z wytycznymi Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, generał broni Józef Haller. Do zadań działającego w strukturach Generalnego Inspektoratu II Sztabu należały m.in. organizacja propagandy zaciągu do armii, wydawanie prasy publicystycznej oraz podawanie do wiadomości publicznej reportaży z frontu. Do tej służby zgłosili się najwybitniejsi polscy pisarze. Każdy z nich mógł się poszczycić bogatym dorobkiem literackim lub publicystycznym (często jednym i drugim), wielu cieszyło się zasłużoną sławą. Młodsi ich koledzy po piórze poszli walczyć o Polskę z bronią w ręku; oni zaś, z racji wieku i stanu zdrowia niezdolni do służby liniowej, podjęli nie mniej niebezpieczne obowiązki korespondentów wojennych. Mieli różne doświadczenia, zainteresowania, a nierzadko i poglądy, jednak udało im się stworzyć zwarty oddział, który oddał młodej ochotniczej armii polskiej wielkie usługi.

Stefan Żeromski, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich. Fotografia portretowa z ok. 1915 r. Źródło: Polona

Działali tam, „gdzie w chwili zamachu na byt Polski trzeba było spotęgować ducha narodu, uświadomić ogółowi grożące niebezpieczeństwo, przeprowadzić kampanię na rzecz wstępowania do Armii Ochotniczej", jak głosiło sprawozdanie z działalności II Sztabu. W podobny ton uderzała wcześniejsza odezwa mobilizacyjna związków artystycznych i literackich z 15 lipca: „Jest chwila, w której się ściany domu naszego zachwiały. Żołnierzom naszym, którzy dotąd podtrzymują ociekającymi krwią barami zagrożone zręby, musimy dodać ducha. (…) Na front!".

Szefem referatu prasy Generalnego Inspektoratu mianowano Stefana Żeromskiego, uznawanego wówczas (i nie tylko wówczas) za jednego z najwybitniejszych prozaików polskich. Jak wiadomo, w jego dorobku literackim nie brakowało poczytnych nowel, opowiadań i powieści, w których pisarz dawał wyraz silnym emocjom patriotycznym i niesłychanej wrażliwości na cierpienie. Ale też nie szczędził Polakom gorzkich słów krytyki. Autor „Syzyfowych prac", „Ludzi bezdomnych" i „Popiołów" opisywał swoje wrażenia z frontu w interesującym reportażu „Na probostwie w Wyszkowie". Tam właśnie mieściła się kwatera trzech komisarzy bolszewickich: Feliksa Dzierżyńskiego, nazywanego „czerwonym katem", Juliana Marchlewskiego oraz Feliksa Kona. Mieli oni po za-

eprasa.pl a4a4bdc682

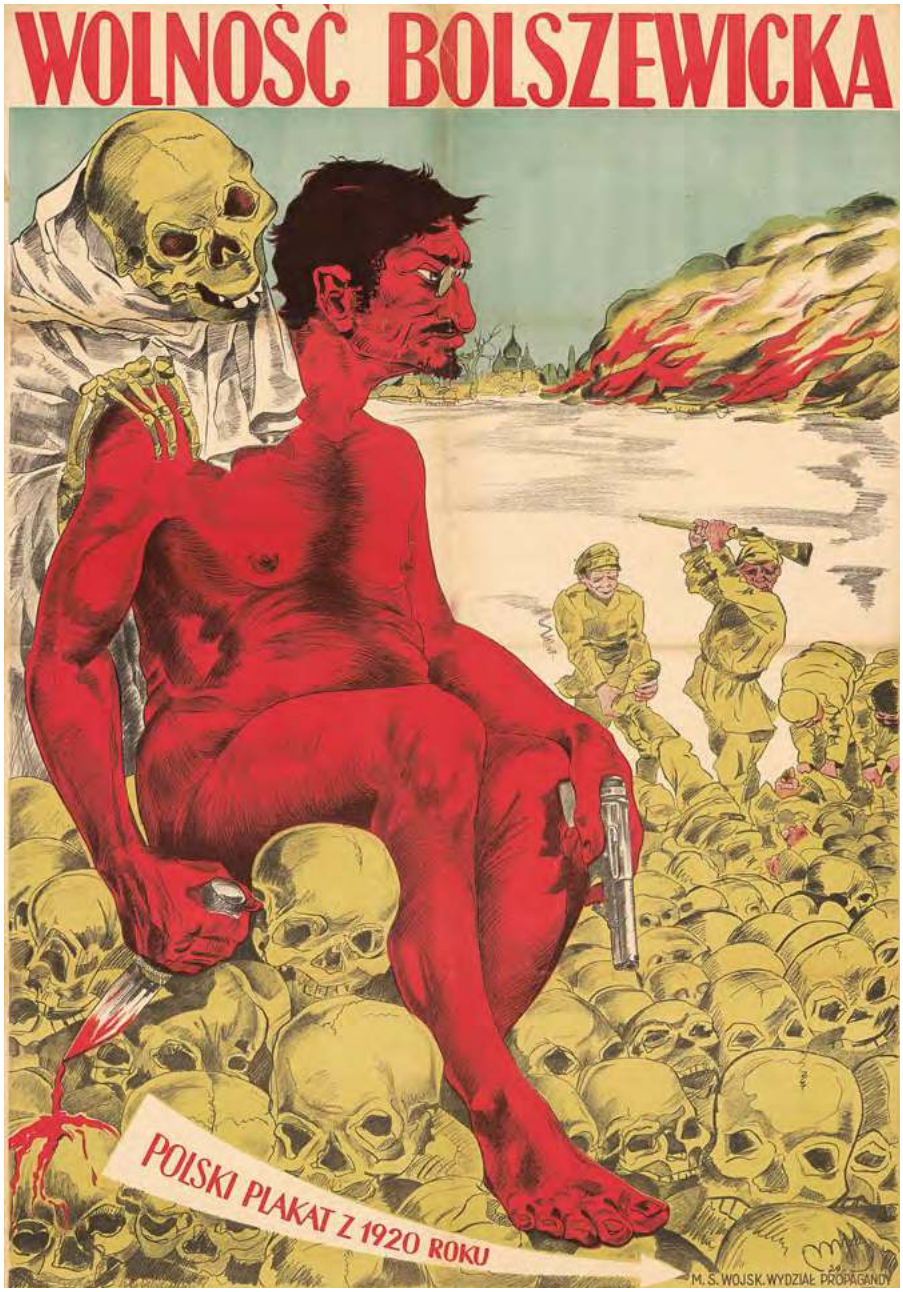

Lew Trocki przedstawiony jako bolszewicki diabeł siedzący na stosie czaszek pomordowanych ofiar. Widoczna za krwawym oprawcą śmierć-kostucha, której on służy, dominuje również i nad nim. Nagość czerwonego potwora symbolizuje przyzwolenie na uleganie najniższym instynktom. Fot. Polona

jęciu Rzeczypospolitej tworzyć bolszewicki rząd w Warszawie.

Żeromski wraz z grupą korespondentów wojennych przybył do Wyszkowa już po bitwie warszawskiej. Jak wiadomo, polskie zwycięstwo spowodowało paniczną ucieczkę przedstawicieli „rządu" z sowieckiego nadania, którzy, według relacji wyszkowskiego proboszcza, księdza Mieczkowskiego, odkryli przed nim cały wielki plan podbicia nie tylko Polski i Warszawy, ale i Europy, a w dalszej kolejności – Stanów Zjednoczonych. „Dla poparcia swojej władzy przyprowadzili na nasze pola (…) na miasta (…) zdruzgotane tyloletnią wojną, obcą armię, masę złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i sołdackiej rozpusty" – pisał Żeromski, ostro piętnując komisarzy za bestialskie poczynania bolszewickiej tłuszczy. Autor uważał jednak, iż militarne zwycięstwo nad Armią Czerwoną nie oznacza zakończenia wojny, bowiem bolszewizm należy pokonać „w samym sednie jego idei". To ostatnie przesłanie znakomitego pisarza nic nie straciło na aktualności…

W dziale publicystyki na stanowisko głównego redaktora został powołany Adam Grzymała-Siedlecki, jeden z najwybitniejszych autorytetów w dziedzinie teatru i dramatu, ceniony krytyk literacki, autor świetnej rozprawy o twórczości Stanisława Wyspiańskiego. „Syn powstańca z roku 1863, wnuk żołnierza z roku 1831, prawnuk skatowanego po Racławicach w roku 1794 przez jegrów Polaka za to, że dał u siebie gościnę Kościuszce – nie mogłem, oczywiście, nie marzyć od dziecka, by choć raz uczuć na sobie mundur ojczystej armii" – wspominał Siedlecki, rozpoczynając z rozkazu majora Ligockiego (także parającego się piórem) służbę korespondenta wojennego. Wędrówkę po frontach rozpoczął w połowie lipca w jednym z najbardziej dramatycznych momentów wojny, kiedy armia polska cofała się na całej linii przed napierającą bolszewicką nawałą.

Towarzyszył podpułkownikowi Zörnerowi i jego żołnierzom z 53. Pułku Piechoty broniącym linii Zbrucza przed wielokrotnie przewyższającymi liczebnie polskie siły oddziałami bolszewickimi. Był świadkiem żelaznej wytrzymałości polskich żołnierzy, którzy odpierając ataki Sowietów, często w bezpośredniej walce na bagnety nie mogli liczyć na wsparcie oddziałów rezerwowych… Pięknie pisał o niespotykanej odwadze młodziutkich ochotników walczących na ulicach Radzymina z czerwonymi sołdatami. Piórem Grzymały-Siedleckiego został także nakreślony prawdziwie natchniony opis bohaterskiej akcji porucznika Stefana Pogonowskiego i jego żołnierzy, wstrzymujących przez kilka godzin sowiecką ofensywę na stolicę. Poległ mężny dowódca, padli w boju prawie wszyscy jego podkomendni, ale dzięki ich poświęceniu generał Żeligowski zdążył dotrzeć pod Ossów ze swoją 10. Dywizją i uderzyć na potęgę bolszewicką pędzącą ku Warszawie.

W pamiętne dni sierpniowe 1920 r. Grzymała-Siedlecki, jak sam wspominał, przebywał niemal na linii ognia. Bohaterską śmierć księdza Ignacego Skorupki, który zginął właśnie podczas tego ataku, opisał w następujący sposób: „krzyżem tylko uzbrojony wkroczył [kapłan] pomiędzy czołgające się po polu tyraliery. Szedł wyniosły, z krucyfiksem wzniesionym ponad głową, by zewsząd jak najdalej widziano że Chrystus, umęczony, maszeruje jak prosty żołnierz z polskimi rycerzami. Przed nim grad kul karabinowych, ulewa kulomiotów, raz po raz wali przed nim i obok niego szrapnel bolszewicki (…), a on – modlitwą i wiarą już uniesiony tam, w górę do Stwórcy – a tu jedno już tylko imię, imię Polski mający w pamięci kroczy, ucieleśniony pomnik heroicznego obowiązku. (…) Tym, co padają, krzyż ów pokazuje drogę do nieba: tam się za chwilę znajdziecie. Tym, co jeszcze żyją, krzyż księdza Skorupki przypomina, za co walczą. Więc wzrasta nieugiętość obrońców. Za Boga i za Ojczyznę! Podwajają się siły, utysiąckrotnia się

eprasa.pl a4a4bdc682

ich wola zwyciężenia". Kiedy zaś bolszewicka kula dosięgła świętego kapłana, wzmógł się jeszcze zapał żołnierzy, których wiódł do walki. Zwyciężyli. Warszawa ocalała. Polska ocalała. Europa ocalała.

Równie poruszające opisy pióra Grzymały-Siedleckiego pojawiły się w reportażach o obronie Płocka, podczas której przeciwko dwóm dywizjom bolszewickiej piechoty i korpusowi kozaków walczyło do czasu nadejścia odsieczy strzelców podhalańskich zaledwie 80 polskich żołnierzy przy wsparciu cywilów. Broniły swojego miasta z bronią w ręku płockie kobiety i dziewczęta, na pierwszej linii walczyli kilkunastoletni harcerze… Ocalał stary gród mazowiecki wraz z bezcennymi piastowskimi pamiątkami przeszłości. „Z otchłani klęski wydobyliśmy się na wierzch aż ku szczytom triumfu. Sprawiły ten cud: armia, rząd i naród" podsumowuje autor cykl reportaży z frontu. Reportaży publikowanych na bieżąco w prasie, a po zakończeniu zmagań polsko-bolszewickich wydanych wspólnie pod wiele mówiącym tytułem „Cud Wisły". Za ofiarną służbę korespondenta wojennego Grzymała-Siedlecki został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Nie mniej emocjonalnie zaangażowane sprawozdania z frontu pisał kolega Grzymały-Siedleckiego po piórze, Stanisław Miłaszewski, który relację o heroicznej akcji porucznika Pogonowskiego usłyszał z opowiadania samego generała Żeligowskiego. „Poległ w tej walce śmiercią bohaterską, Warszawa winna mu wznieść pomnik za niepożytą zasługę!" – powiedział dowódca o swoim podwładnym w rozmowie z korespondentem.

W II Sztabie Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej służył także w sekcji literatury Kornel Makuszyński. Był on już wówczas znany zarówno z talentów stylizatorskich, jak i z niesamowitego poczucia humoru, chociaż najsłynniejsze jego utwory, w tym powieści i komiksy dla dzieci i młodzieży, miały powstać dopiero w latach 1930. W czasie swojej służby w wydziale propagandy Makuszyński zyskał popularność głównie jako autor drobnych utworów poetyckich i żołnierskich piosenek, wśród których „Maki" („Ej, dziewczyno, ej, niebogo") zrobiły prawdziwą furorę. Pełnił też funkcję korespondenta wojennego. Jak zauważył współczesny literaturoznawca Maciej Urbanowski, pisarz w swoich sprawozdaniach z frontu podkreślał antybolszewicką postawę szeregowych żołnierzy polskich: „czuje się, że prosta, uczciwa dusza robotnika wzdryga się na widok ohydy, plugastwa i cynizmu, na widok kłamstwa, które woła o sobie, że niesie w prawej ręce 'wolność', a lewą zabija" – pisał Makuszyński w jednym z reportaży pod znaczącym tytułem „Szlakiem zwycięstwa".

Podobny ton uderzał Karol Irzykowski, zaznaczając, iż dla prostego polskiego żołnierza bolszewik to „gorszy gatunek człowieka, coś zbliżonego do małpy" (nie ubliżając małpom – przyp. MM), a „niejeden pies pułkowy nazywa się Trocki".

Najmłodszym korespondentem wojennym w Generalnym Inspektoracie Armii Ochotniczej był porucznik Eugeniusz Korwin-Małaczewski, nazywany „benjaminkiem literatury polskiej". Miał zaledwie 24 lata, jednak nie był już zdolny do noszenia broni, bowiem ekstremalne przeżycia Wielkiej Wojny, na którą poszedł w mundurze rosyjskim, zatrucie gazami bojowymi, brutalne pobicie podczas rewolucji w Moskwie, tułaczka przez bolszewickie piekło na Murmań, aż w końcu ciężkie walki z czerwonymi oddziałami za kołem podbiegunowym poważnie podkopały jego zdrowie. Gwałtownie postępująca gruźlica nie dawała mu szans na znoszenie trudów frontowych zmagań z bolszewikami, postanowił zatem służyć ojczyźnie swoim talentem literackim, chociaż pełnił też przez pewien czas obowiązki adiutanta generała Hallera.

Grupa polskich literatów – korespondentów wojennych w II Sztabie Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej. Pierwszy z lewej siedzi porucznik Eugeniusz Małaczewski. Za nim widoczny pułkownik Marian Dienstl-Dąbrowa, obok niego stoi Emil Zegadłowicz. Fot. NAC

eprasa.pl a4a4bdc682

Zaprzyjaźniony z Małaczewskim Makuszyński nie ukrywał, iż zarówno niepospolity talent pisarski młodziutkiego porucznika, jak i jego ujmujący sposób bycia robiły wielkie wrażenie nawet na doświadczonych „asach" polskiej literatury: „Przez niedługi czas był naszym 'dowódcą' – wspominał Makuszyński – literaturę odkomenderowano wówczas do propagandowej roboty przy sztabie. Perzyński i ja byliśmy we władzy Małaczewskiego. 'Trzej muszkieterowie' – licząc w tym i naszego dowódcę – tym się odznaczali w całej armii, że byli wszyscy łysi jak kolano. (…) Zaliczani byliśmy do piechoty, nasz hetman jednak musiał mieć wrażenie że dowodzi konnicą, mając pod rozkazami dwa stare, łyse konie" – podsumowywał nie bez humoru sytuację Makuszyński. Dodawał także, iż nawet ponury zazwyczaj Żeromski, największy z tytanów polskiej literatury, dla Małaczewskiego „w uśmiech zdobił swoje chmurne spojrzenie".

Doświadczenia wojny z pozycji korespondenta Małaczewski opisał w reportażu „Z wycieczki na front", w którym nie brakuje umotywowanych sytuacją akcentów dość makabrycznego poczucia humoru: „w rowie przydrożnym leży koń, zdechły koń… a może nawet zabity koń, kto wie? W każdym razie koń bohaterski, nie żadna nijaka szkapa, bo poległ na wojnie. 'Niech żyje zdechły koń!'– woła prasowe bractwo, salutując po wojskowemu. Dziennikarz na froncie to największy wojskowy z całej armii".

W niewiele późniejszym opowiadaniu Małaczewskiego, uznanym za *opus magnum* jego twórczości, bestialsko okaleczony przez czerwonych sołdatów koń stanie się swoistym symbolem bolszewickiego *infernum* („Koń na wzgórzu"). Jeszcze bardziej poruszające wrażenie robi reportaż porucznika z odwiedzin u rannych kolegów w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus. Wśród ludzi „straszliwie pokaleczonych przez wojnę" nie brakuje szesnastoletniego Stasia, który uciekł z domu, aby bronić Warszawy przed najeźdźcą. Pocisk bolszewicki strzaskał mu podbródek i wybił kilka zębów, a młody ochotnik, „wojak pełną gębą", leżący ranny w wojskowym szpitalu, martwi się jedynie tym, że owej kuli nie odnalazł, bo teraz nikt mu nie uwierzy, że naprawdę walczył na froncie. Niewiele starszego od niego warszawskiego andrusa, terminatora szewskiego z 205. pułku im. *nomen omen*) Kilińskiego, porwała natomiast szewska pasja na „bolszewickie świnie", poszedł zatem za wojskiem…

Zadziwiająco aktualnie brzmią słowa Małaczewskiego o pełnej poświęcenia posłudze sióstr miłosierdzia dla rannych i o komunistycznej walce z religią katolicką w imię… postępu: „przed paru miesiącami znalazła się w Polsce kobieta-lekarz o polskim nazwisku, która z bezczelnością niewiasty na gwałt postępowej wywlekła na forum publiczne sprawę usunięcia

Ferdynand Ossendowski, znakomity pisarz, podróżnik, dziennikarz, autor słynnej biografii Lenina, w której ujawnił sprawę sfinansowania rewolucji bolszewickiej 1917 r. przez Niemcy. Fot. Wikimedia

ze szpitali sióstr szarytek i to podczas strajku służby szpitalnej. Jako motyw wysunęła to, że siostry-zakonnice, namawiając chorych do praktyk religijnych gwałcą wolność sumienia, więc słusznym jest, by w imię zasad tejże wolnomyślności zniewolić ludzi wierzących w Boga i w Chrystusa do bezwzględnej wiary w karmę, metempsychozę, wirujące stoliki i stołowe nogi, w nic wreszcie co kto woli. (…) Gdy ludzie wolnomyślni, a raczej wolnomyślący debatowali z pianą na ustach o tej sprawie niefortunnej, szarytki pełniły spokojnie swój wielki obowiązek. (…) Nie krzątają się koło wiela, nie mają fałszywej ambicji zbawienia świata poprzez hasła pseudopostępowe. Obrały sobie najskromniejszą, najlepszą cząstkę, która odjętą im nie będzie".

Na osobną uwagę zasługuje „Najwyższy lot" – cykl opowiadań Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego poświęcony pamięci najmłodszych żołnierzy broniących Polski przed bolszewicką nawałą. Pisarz nie był bezpośrednim świadkiem rozgrywających się na przedpolach stolicy dramatycznych wydarzeń, przebywał bowiem wówczas w Stanach Zjednoczonych, jednak zdążył poznać bolszewików jak mało kto. Więziony jeszcze za czasów carskiej Rosji za udział w protestach podczas wojny rosyjsko-japońskiej, wyszedł z celi w 1905 r. podczas pierwszej fali rewolucyjnej. W 1917 r. obserwował w Petersburgu narodziny bolszewizmu i związane z nieludzkim systemem masowe represje; już wówczas stał się zdecydowanym przeciwnikiem powstającego apokaliptycznego czerwonego potwora. W 1918 r. uciekł z Petersburga, przedzierając się… na Syberię do białej armii generała Kołczaka, co oznaczało pewną śmierć w razie dostania się w ręce Sowietów. Po klęsce „białych Rosjan" przedostał się do Mongolii; był wówczas w posiadaniu dokumentów poświadczających przekazanie Leninowi przez Niemcy ogromnych sum pieniędzy na przeprowadzenie rewolucji. W 1920 r. Ossendowski przedostał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie ujawnił te dokumenty, ściągając na siebie niebezpieczeństwo krwawej sowieckiej zemsty; 10 lat później miał opisać sprawę niemieckiego wsparcia dla rewolucji w słynnej beletryzowanej biografii Lenina.

„Najwyższy lot", napisany przez popularnego i uznanego już wówczas pisarza, powstał już po powrocie z USA do Warszawy w 1928 r. Ossendowski pragnął wówczas, jak sam pisał, „wznieść pomnik młodzieży polskiej, poległej w obronie Warszawy podczas wojny z nawałnicą dziczy sowieckiej". W cyklu opowiadań przeważają poruszające literackie portrety młodziutkich chłopców, którzy prosto ze szkolnej ławki wstąpili w ochotnicze szeregi polskiej armii… Oto Janek, uczeń pruskiej szkoły, wdający się dotąd w bójki z niemieckim kolegą wychowanym w pogardzie dla Polaków, w 1918 r. weźmie udział w rozbrajaniu Niemców w Warszawie. Dwa lata później pod Żukowem już jako młody kapral poprowadzi swoich chłopców na konnicę Budionnego. Padnie od bolszewickiej kuli. Więcej szczęścia będzie miał jego rówieśnik Henryk, uczeń paryskiej szkoły, który w 1920 r. wyruszy do Polski, aby wziąć udział w obronie linii Zbrucza. Powróci do szkoły udekorowany krzyżem Virtuti Militari i francuskim medalem walecznych. Ossendowski z talentem i literacką swadą prowadzi czytelników poprzez historie bohaterskich młodocianych obrońców, tworząc poruszającą panoramę polskich losów pamiętnego roku 1920.

Zapomniana nieco karta życiorysów wielu polskich literatów, którzy podczas wojny polsko-bolszewickiej służyli ojczyźnie zarówno szablą, jak i piórem, z pewnością zasługuje na szerszą popularyzację.

eprasa.pl a4a4bdc682

Spłonęła za wiarę i patriotyzm w wyniku podłego procesu politycznego

Joanna d'Arc – prosta dziewczyna ratująca Królestwo Francji

Prof. Krzysztof Ożóg

Królestwo Francji przeżywało w XII i XIII w. okres wielkiego rozwoju cywilizacyjnego na każdym nieomal polu. Rozwój był przeniknięty duchem chrześcijaństwa. Za panowania króla Ludwika IX Świętego (1226–1270) francuska monarchia stała się najpotężniejszym i najbogatszym państwem w chrześcijańskiej Europie. W swych rządach król ten kierował się wobec poddanych prawem Bożym oraz zasadami ewangelicznymi, był głęboko wierzącym, pobożnym władcą. Troszczył się o Kościół, szanował duchownych i okazywał należną cześć papieżowi oraz Stolicy Apostolskiej. Przewodził dwóm wyprawom krzyżowym dla odzyskania utraconych ziem Królestwa Jerozolimskiego.

Portret św. Ludwika IX, króla Francji, pędzla El Greco. Fot. Wikimedia

Po kilkunastoletnim panowaniu Ludwikowego syna, Filipa III Śmiałego (1270–1285), kontynuatora polityki ojca, nastały rządy Filipa IV Pięknego (1285–1314), który kierował się głównie własnym interesem, dopuszczając się czynów niegodnych chrześcijańskiego monarchy. W konflikcie ze Stolicą Apostolską posunął się nawet do porwania papieża Bonifacego VIII. Doprowadził do spektakularnej klęski Francji w wojnie z miastami flamandzkimi oraz do zadłużenia państwa, a następnie do pogromów ludności żydowskiej, uwięzienia i torturowania templariuszy oraz haniebnych fałszywych oskarżeń pod ich adresem; celem była kasata zakonu i przejęcie jego majątku. Ta niegodziwa polityka zepchnęła Królestwo Francji ku poważnemu kryzysowi moralnemu. Królewski dwór, zamiast świecić przykładem życia chrześcijańskiego dla całego społeczeństwa, stał się przyczyną zgorszenia, które rozlewając się, zatruwało naród francuski.

W XIV w. dzieje Francji zostały naznaczone długotrwałą wojną z Anglią, która rozpoczęła się w 1337 r. i z przerwami ciągnęła się do połowy następnego stulecia, oraz w 1348 r. wielką epidemią dżumy, zwanej czarną śmiercią, uderzającą dwoma falami jeszcze w drugiej połowie tego stu

lecia. Skutki tej epidemii były zatrważające, bowiem licząca blisko 19 milionów ludność Francji zmniejszyła się po czarnej śmierci o jedną trzecią! W wojnie z Anglikami sławne rycerstwo francuskie ponosiło straszliwe klęski w kolejnych bitwach pod Crécy (1346) i Poitiers (1356). Panowanie Karola V Mądrego (1360–1380) na krótko odwróciło losy wojny na korzyść Francji. Kolejna odsłona dramatu związana była z chorobą psychiczną jego następcy, Karola VI Szalonego (1380–1422). Król cierpiał prawdopodobnie na schizofrenię, która po raz pierwszy ujawniła się w 1392 r., kiedy to 5 lipca w lesie koło Le Mans w czasie wyprawy wojennej przeciw Janowi IV, księciu bretońskiemu, Karol VI zabił mieczem czterech ludzi ze swego otoczenia. Wydawało mu się, że walczy z wrogami. Konieczna była zatem regencja nad chorym monarchą, który w okresach remisji próbował wrócić do realnego sprawowania rządów.

Na dworze wśród książąt krwi, najbliższych krewnych Karola VI, rozpoczęła się rywalizacja o władzę w państwie, szczególnie między bratem króla Ludwikiem, księciem orleańskim, a Filipem Śmiałym, księciem burgundzkim, i jego synem Janem bez Trwogi. Jej finałem było zamordowanie w Paryżu 23 listopada 1407 r. Ludwika Orleańskiego przez zbirów nasłanych przez Jana bez Trwogi. Nadto wynajęty przez księcia burgundzkiego franciszkański teolog z Uniwersytetu Paryskiego w czterogodzinnej mowie przed całym dworem i Karolem VI usprawiedliwiał ten brutalny mord polityczny.

Stronnicy zamordowanego księcia pod wodzą rodu Armaniaków podjęli walkę ze stronnictwem burgundzkim i Francja pogrążyła się w wojnie domowej. Do tego doszły jeszcze roszczenia króla angielskiego Henryka IV Lancastera do tronu francuskiego, które przejął jego syn Henryk V i wznowił wojnę z Francuzami w 1415 r. W bitwie pod Azincourt (25 października tego roku) angielska armia zmasakrowała francuskie rycerstwo i wspierana przez Burgundczyków zdobywała kolejne terytoria północnej Francji. Najmłodszy syn chorego króla, Karol VII, próbował ratować francuską monarchię i przeniósł się do Bourges ze swoimi stronnikami. Jego sytuacja stawała się coraz trudniejsza, bowiem w 1420 r. został wydziedziczony, a Henryk V zawarł układ z chorym Karolem VI, na mocy którego stał się regentem Królestwa Francji i sukcesorem tronu. Anglia i Francja miały być złączone unią pod władzą króla angielskiego. Francja znalazła się w rękach Anglików i Burgundczyków.

Śmierć obu podpisujących układ monarchów w 1422 r. nie zmieniła sytuacji, bowiem władcą Anglii i Francji został małoletni Henryk VI, zaś Karol VII ogłosił się królem francuskim. Ten ostatni nie miał jednak wystarczających sił, aby podjąć skuteczną walkę o tron. Oddziały angielskie stacjonujące na ziemiach francuskich dawały się ludności coraz bardziej we

Góra: Bitwa pod Crécy (1346 r.). Miniatura z „Chronique de France" Jeana Froissarta.
Dół: Obraz epidemii dżumy we Florencji (1348 r.). Akwaforta Luigiego Sabatellego.
Źródło: Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

znaki. Pokonanie słabego władcy francuskiego Karola VII wydawało się tylko kwestią czasu. W 1429 r. Anglicy oblegli Orlean nad Loarą, broniony resztkami sił przez stronników Karola VII. Po zdobyciu tej kluczowej twierdzy angielska armia miałaby otwartą drogę do tych ziem, które uznawały jeszcze Walezjusza. W tym jakże dramatycznym dla Francji momencie dziejowym pojawia się właśnie Joanna d'Arc, prosta dziewczyna pochodząca ze wsi Domrémy na pograniczu francusko-lotaryńskim. Miała odmienić losy wojny i zmienić bieg historii narodu francuskiego.

Dzieje życia Joanny od samego dzieciństwa można poznać poprzez bogatą dokumentację dwóch procesów – skazującego (1431) i rehabilitującego (1456). Akta pierwszego z nich zawierają protokoły z długich przesłuchań Joanny przez biskupa Piotra Cauchon i inkwizytora Jana Le Maistre, zaś akta drugiego – zeznania 115 naocznych świadków jej życia. Wynika z nich, że Joanna urodziła się w 1412 r. w rodzinie wieśniaczej i że była córką Izabeli i Jakuba Tarc, zamożnego chłopa. Rodzice wychowali ją w wierze katolickiej z wyraźnym rysem nabożeństwa do Imienia Jezus i Matki Bożej.

Dziewczyna poznała twarde warunki życia na wsi. Dochodziły też do niej wieści o toczącej się wojnie i jej dramatycznych skutkach dla Ojczyzny. W wieku 13 lat doświadczyła pierwszych mistycznych znaków. Za pośrednictwem św. Michała Archanioła oraz świętych męczennic Katarzyny i Małgorzaty, według jej własnych zeznań, usłyszała Boże wezwanie do bardziej gorliwego życia chrześcijańskiego i podjęcia walki o uwolnienie Francji z rąk Anglików oraz doprowadzenia na tron prawowitego następcy, Karola. W odpowiedzi na to Joanna złożyła ślub dziewictwa, z większą niż dotąd pobożnością uczestniczyła codziennie we Mszy św. oraz częściej korzystała z sakramentów spowiedzi i Komunii św. Systematycznie modliła się przed wizerunkiem Ukrzyżowanego Pana. Ponadto coraz bardziej dostrzegała spowodowaną wojną niedolę ludu. W rodzinnej miejscowości Joanna dojrzewała wewnętrznie do publicznego wystąpienia, do którego skłaniały ją mistyczne przeżycia.

W krytycznym momencie, gdy ważyły się losy Francji i Karola VII, siedemnastoletnia Joanna, idąc za głosami wymienionych świętych, udała się w maju 1428 r. do pobliskiego zamku Vaucouleurs i jego dowódcy Roberta Boudricourt. Oznajmiła mu, że otrzymała od Boga misję wypędzenia Anglików z Francji i doprowadzenia do koronacji delfina – prawowitego następcy tronu, Karola VII. Poprosiła o zbrojny oddział, aby poprzez niespokojne terytoria mogła dotrzeć do Chinon – siedziby Karola VII. Dowódca zamku nie uwierzył jednak Joannie i zawrócił ją do rodzinnej wioski Domrémy. Po kilku miesiącach, 12 lutego 1429 r., dziewczyna znów przybyła do Boudricourta, domagając się, aby odesłał ją do następcy tronu. Powiedziała przy tym, że Karol poniósł tego dnia klęskę w walce z Anglikami koło Orleanu, o czym dowódca zamku jeszcze nie wiedział. Gdy wieść o tej klęsce delfina doszła do Vaucouleurs, Boudricourt zmienił nastawienie wobec Joanny i czym prędzej skierował ją do Chinon.

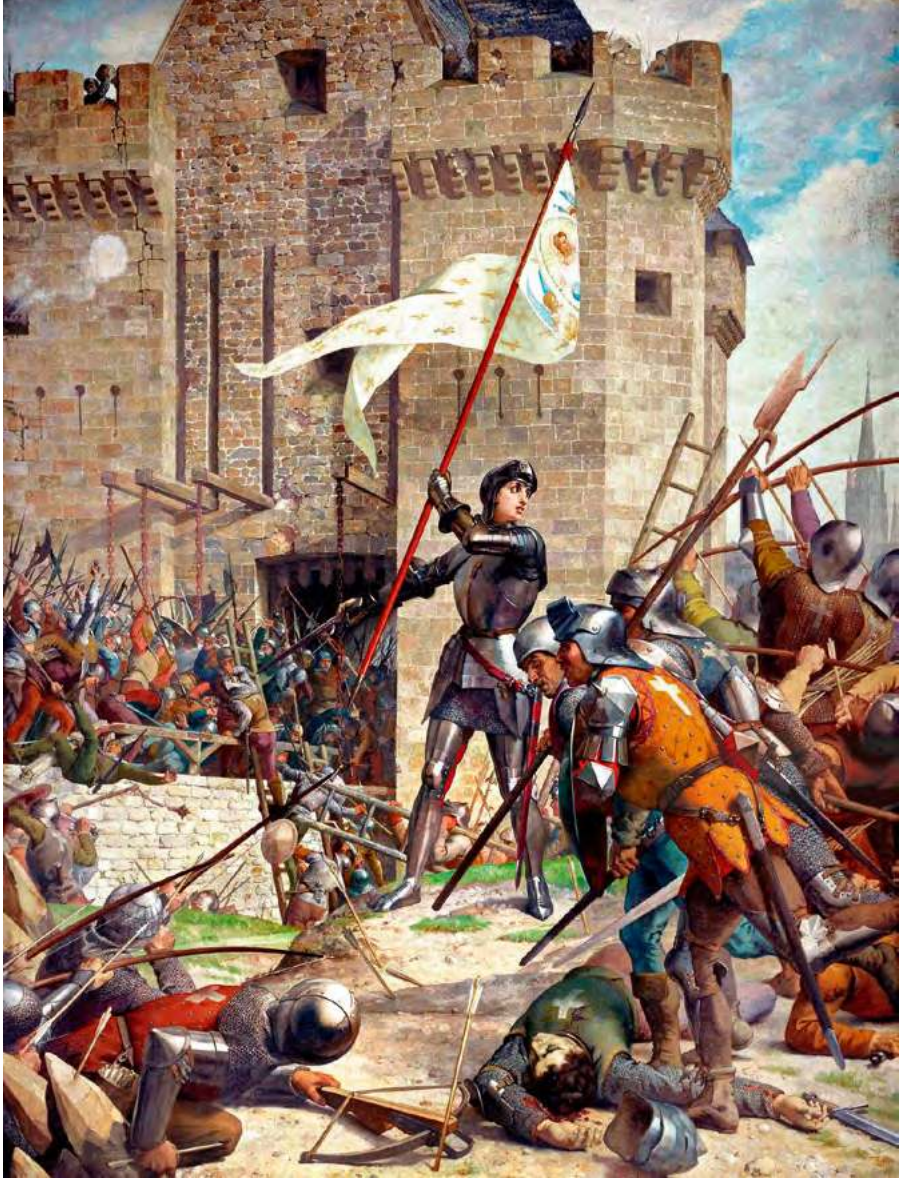

Joanna d'Arc prowadzi francuskie rycerstwo na zajęty przez Anglików ufortyfikowany klasztor Les Tourelles, pierwsza faza bitwy o Orlean. Obraz Jules'a Eugène'a Lenepveu. Fot. Wikimedia

Po pokonaniu ponad 400 km Joanna dotarła w męskim ubraniu do siedziby Karola; ten dla wypróbowania dziewczyny ukrył się w przebraniu wśród dworzan. Joanna jednak bez najmniejszego wahania trafiła do niego i oddała mu pokłon. W rozmowie powiedziała delfinowi, że Bóg powierzył jej misję wypędzenia Anglików z kraju. Przekonywała też Karola, iż w Bożych oczach jest on prawowitym dziedzicem tronu francuskiego, ona zaś ma za zadanie doprowadzić go do Reims, aby został tam ukoronowany na króla Francji. Delfin, który z pewnym dystansem odniósł się do Joanny, odesłał ją do Poitiers dla zbadania jej przez komisję uczonych teologów pod przewodnictwem kanclerza i arcybiskupa Reims Regnaulta z Chartres. Po kilku tygodniach orzekli oni, że Joanna jest godną zaufania pobożną dziewicą, doświadczającą mistycznych wizji i cudownych znaków. W Wielkim Tygodniu, 22 marca 1429 r., wysłała ona list do króla angielskiego Henryka VI i regenta Królestwa Francji Jana księcia Bedforda, domagając się wycofania się Anglików z Francji i zawarcia pokoju. Powołała się przy tym na swoją misję otrzymaną od Boga. List ten opatrzyła własnoręcznym podpisem – „Jehanne".

Opinia uczonych skłoniła Karola do wysłania Joanny na czele oddziałów (liczących 3–4 tysiące zbrojnych) z Blois pod Orlean, aby przyjść z pomocą oblężonym i zmusić Anglików do wycofania się spod tego miasta. Ubrana w zbroję, ze sztandarem, na którym

eprasa.pl a4a4bdc682

widniał wyhaftowany przez nią obraz Boga błogosławiącego białe lilie z napisem Jezus-Maryja, Joanna prowadziła tę wyprawę, znosząc dzielnie wszelkie trudy. Siłą swojej wiary przełamywała opory ze strony francuskich dowódców przed decydującymi atakami na pozycje angielskie pod Orleanem. Swą obecnością wzbudzała ogromną determinację i męstwo wśród walczących, powiewając przy nich sztandarem (sama nie walczyła). Zmagania, które inspirowała, zakończyły się sromotną klęską Anglików 8 maja 1429 r. i uwolnieniem miasta od oblężenia.

Od tego zwycięstwa Joanna była nazywana Dziewicą Orleańską (*La Pucelle d'Orléans*). Z jej inicjatywy francuskie oddziały zdobyły kolejne przeprawy i mosty przez Loarę. Francuzi odnieśli kolejne zwycięstwa pod Jargeau (12 czerwca) i Patay (18 czerwca), które umocniły ich moralnie. Umożliwiły też otwarcie drogi do Reims, położonego głęboko na terytorium kontrolowanym przez Anglików, którzy bardziej spodziewali się ataku na Paryż i Normandię. Pod Patay do niewoli dostał się jeden z ważniejszych wodzów angielskich, Jan Talbot.

Mimo ogromnego ryzyka Karol VII uwierzył Joannie, że wyprawa do Reims po koronę zakończy się powodzeniem i wyruszył wraz z nią na czele swych sił z zamku Gien nad Loarą. Wojskom delfina poddały się kolejno bez walki miasta Auxerre, Troyes oraz Reims, do którego Karol VII wkroczył 16 lipca. Nazajutrz koronacji Karola na króla Francji dokonał, zgodnie z tradycją, arcybiskup Reims Regnault z Chartres. Tego dnia Joanna skierowała list do księcia burgundzkiego Filipa III Dobrego, aby zawarł pokój z ukoronowanym Karolem i zwrócił mu okupowane terytoria.

Wraz z księciem Janem II d'Alençon nakłaniała usilnie władcę do szybkiego marszu na Paryż. Karol jednak zwlekał, prowadząc pertraktacje z księciem burgundzkim, który nie przejął się listem Joanny i tylko pozorował rozmowy, aby zyskać na czasie i wzmocnić obronę Paryża. W końcu Walezjusz skierował armię na stolicę i przejął po drodze szereg miast. W bitwie pod Paryżem 15 sierpnia nie udało mu się jednak rozgromić oddziałów angielskich. Atak na stolicę wojska francuskie przypuściły 8 września. W tym starciu Joanna wykazała się niezwykłym hartem ducha, bowiem mimo rany odniesionej w nogę nadal przewodziła w walce. Następnego dnia Karol VII zdecydował się wycofać spod Paryża. Szansa szybkiego odzyskania stolicy została zaprzepaszczona.

Joanna została nobilitowana i nie opuściła królewskich wojsk, ale nadal uczestniczyła w walkach z Anglikami i Burgundczykami jesienią i zimą z 1429 na 1430 r. Doradcy królewscy starali się coraz bardziej ograniczać jej wpływ na wojsko i podejmowane przez Karola VII decyzje. W kwietniu 1430 r. udała się z oddziałem zaciężnych na odsiecz miastu Compiègne, zagrożonemu przez siły księcia burgundzkiego. W wyniku starcia 3 maja Burgundczycy zdobyli Compiègne, a Joanna dostała się do ich niewoli. Król nie podjął starań, aby ją wykupić, choć wówczas powszechnie to praktykowano.

Trudno wytłumaczyć bierność Karola w sprawie uwięzionej Dziewicy Orleańskiej, której tyle zawdzięczał. Joanna pozostawiona sama sobie bezskutecznie próbowała kilka razy uciec z więzienia. Burgundczycy sprzedali ją Anglikom 21 listopada 1430 r. za sumę 10 tys. złotych franków. Ci zaś oddali Joannę w ręce swego stronnika Piotra Cauchon, biskupa Beauvais, aby osądził ją jako heretyczkę i skazał.

Wydana Anglikom Joanna, fałszywie oskarżona o herezję i czary, wykazała się niezwykłym hartem ducha podczas procesu. Spłonęła na stosie 30 maja 1431 r. Fot. Wikimedia

Inkwizycyjny proces Joanny toczył się w Rouen, głównej siedzibie wspomnianego biskupa. Procesem sterował Cauchon wraz z inkwizytorem Janem Le Maistre i grupą teologów paryskich, angielskich stronników. Proces trwał od 21 lutego do 30 maja 1431 r. i miał wyraźnie polityczny charakter. Całe postępowanie było podporządkowane z góry założonej tezie, że Joanna jest heretyczką, a jej misja i objawienia pochodzą nie od Boga, ale od diabła.

Dziewica Orleańska broniła się sama, bowiem nie mogła skorzystać z pomocy uczonego prawnika. Z ufnością zanosiła modlitwę, prosząc o światło w procesie: „Najsłodszy Boże, przez wzgląd na Twoją świętą mękę proszę Cię, jeśli mnie kochasz, objaw mi, jak mam odpowiedzieć tym ludziom Kościoła". Całkowicie w tej sytuacji zaufała Bogu, podkreślając wobec sędziów: „Zawierzam się Bogu, mojemu Stwórcy, kocham Go całym moim sercem".

eprasa.pl a4a4bdc682

W obliczu wrogiego trybunału domagała się, aby dopuszczono do złożenia świadectw francuskich duchownych, którzy uznawali prawdziwość jej misji zleconej przez Boga. Z niezwykłą mądrością i roztropnością odpowiadała sędziom na podchwytliwe pytania i tak: „Zapytana, czy sądzi, że jest w stanie łaski Bożej, odpowiada: 'Jeśli nie jestem, oby Bóg zechciał mnie do niego wprowadzić; jeśli jestem, oby Bóg zechciał mnie w nim zachować'". Ta odpowiedź została włączona do obecnego Katechizmu Kościoła Katolickiego (nr 2005). Nawet odwołanie się Joanny 24 maja 1431 r. do papieża zostało przez sędziów odrzucone. Jako heretyczka, apostatka i bałwochwalczyni została skazana na śmierć przez spalenie na stosie. Wykonanie wyroku nastąpiło 30 maja.

Przed egzekucją pozwolono Joannie na spowiedź i przyjęcie Najświętszego Sakramentu, co w istocie zaprzeczało sentencji wyroku, że jest heretyczką. Ubrana w tunikę, ok. godz. 9 została wyprowadzona z więzienia przez angielskich żołnierzy i zaprowadzona na Stary Rynek w Rouen, gdzie przygotowano stos. Tam w obecności duchownych i świeckich dostojników angielskich (m.in. kardynała Henryka Beaufort, biskupa Winchesteru) i ich francuskich popleczników odczytany został wyrok. Joannę następnie przywiązano do słupa i podpalono stos. Umierała mając zaledwie 19 lat, przebaczywszy swoim nieprzyjaciołom i patrząc na Ukrzyżowanego Chrystusa, gdyż przed egzekucją poprosiła jednego z duchownych, aby trzymał krzyż procesyjny przed stosem. Płonąc wypowiadała głośno imię Jezus.

Wśród Francuzów popierających króla Karola uchodziła za męczennicę i bohaterkę narodową; uratowała Ojczyznę w krytycznym momencie i przyczyniła się w decydujący sposób do pokonania Anglików i ich wypędzenia z ziem francuskich. Karol VII po odzyskaniu Rouen w 1449 r. w jednym z ordonansów, wydanych w następnym roku, stwierdził, że wrogowie doprowadzili do okrutnej śmierci Joanny i że należy poznać całą prawdę o tej sprawie. W dwa lata później skierował sprawę rewizji wyroku do Rzymu.

Proces rehabilitacyjny rozpoczął się w 1455 r., gdy papież Kalikst III na prośbę matki Joanny polecił biskupowi Lisieux Tomaszowi Basin zbadanie akt procesu z 1431 r. Wielką rolę w rehabilitacji Joanny odegrał dominikanin paryski Jan Bréhal, inkwizytor Francji, który pieczołowicie zebrał zeznania 115 świadków życia i śmierci Joanny, w tym również niektórych uczestników pierwszego procesu. Zgromadzony materiał jednoznacznie świadczył, że została niewinnie skazana w Rouen i wykazywał, że zawsze była wierna Kościołowi i jego nauce oraz odznaczała się głęboką wiarą i pobożnością oraz intensywną osobistą relacją z Bogiem, a składając ślub dziewictwa poświęciła całą siebie na wyłączną miłość Chrystusa. W aktach tego postępowania wielu świadków podkreślało świętość życia Joanny i jej umiłowanie Ojczyzny. Uroczystym orzeczeniem z 7 lipca 1456 r. uznano skazujący wyrok z 1431 r. za nieważny – spalono go publicznie – ogłaszając Joannę całkowicie niewinną.

Kult Dziewicy Orleańskiej trwał w Kościele francuskim do czasów Oświecenia. Przygasł w XVIII w., ale z nową siłą został przywrócony w XIX w. Joanna d'Arc stała się symbolem porywającym serca Francuzów poświęceniem dla Boga i Ojczyzny. Św. Teresa z Lisieux (1873–1897), doktor Kościoła, fascynowała się jej postacią i chciała umrzeć jak ona – wypowiadając imię Jezus. Proces informacyjny Joanny w diecezji orleańskiej, staraniem wybitnego biskupa Feliksa Dupanloup, rozpoczął się w 1874 r. Przygotowanie stosownej dokumentacji na potrzeby procesu beatyfikacyjnego trwało kilkanaście lat, a następnie w 1888 r. skierowano ją do Stolicy Apostolskiej. Beatyfikacji Joanny d'Arc dokonał w Bazylice św. Piotra 18 kwietnia 1909 r. papież Pius X, zaś akt kanonizacji wypowiedział 16 maja 1920 r. Benedykt XV.

Św. Joanna została też ogłoszona patronką Francji, a jej liturgiczne wspomnienie przypada 30 maja. Ku uczczeniu Dziewicy Orleańskiej władze francuskie dekretem z 20 lipca 1920 r. ustanowiły święto narodowe Joanny d'Arc i patriotyzmu (*La Fête nationale de Jeanne d'Arc et du patriotisme*) na pamiątkę oswobodzenia Orleanu, które obchodzone jest publicznie co roku w drugą niedzielę maja.

Postać św. Joanny d'Arc ukazuje, jak Pan Bóg poprzez pokorną i posłuszną Jego woli prostą dziewczynę wpływał na wielką politykę i ratował w dramatycznej sytuacji Królestwo Francji od upadku. Benedykt XVI podkreślił uniwersalny wymiar jej świętości, stwierdzając, że „świetliste świadectwo św. Joanny d'Arc zachęca nas, byśmy dążyli do wysokiej miary chrześcijaństwa: przewodnim motywem naszych dni powinna być modlitwa; musimy z całkowitą ufnością wypełniać wolę Bożą, jakakolwiek ona jest, żyć miłością, nikogo nie wyróżniając, bez ograniczeń, i tak jak ona czerpiąc z miłości Jezusa głęboką miłość do Kościoła".

Św. Joanna pozostaje dla nas w XXI w. wzorem patriotycznego zaangażowania w sprawy ziemskiej Ojczyzny wynikającego z chrześcijańskiego ducha i na co dzień przeżywanej oraz praktykowanej wiary katolickiej. Warto o tym pamiętać 30 maja, gdy czcimy św. Joannę d'Arc.

Defilada z okazji święta Joanny d'Arc w Tuluzie, 13 maja 1962 r. W tle widoczny pomnik Dziewicy Orleańskiej. Fot. Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

Książki przed beatyfikacją Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego

416 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy, twarda oprawa
Cena detal. **79** zł

+

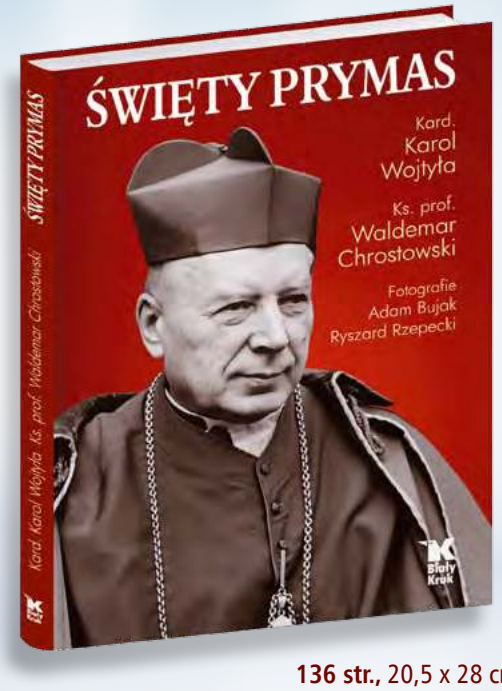

136 str., 20,5 x 28 cm,
papier kredowy 115 g, twarda oprawa
Cena detal. **69** zł

W tej bardzo bogatej biografii znakomity pisarz (autor przeszło 80 książek!) Czesław Ryszka ukazuje nam fascynującą postać Sternika Kościoła w przeróżnych aspektach, od nauczyciela po męża stanu. Od narodzin do dnia śmierci, ale i po niej, bo opisuje przejawy kultu, który doprowadził tego wielkiego pasterza i Polaka ku chwale ołtarzy. W tle opowieści mamy cały czas współczesną historię i wielkie jej postaci ze św. Janem Pawłem II na czele. Nie brak opisów wydarzeń mało znanych a dramatycznych. Książka „Prymas Wyszyński. Ojciec Ojczyzny" to kompendium wiedzy tak o bohaterze książki, jak i jego epoce, wzbogacone 189 dokumentalnymi zdjęciami; prawdziwy niezbędnik w obliczu beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia.

Książka ta opisuje młodość, kapłaństwo, męczeństwo i wieloletnie przywództwo kard. Stefana Wyszyńskiego. Ukazuje nie tylko jego życie, ale również myśli, poprzez staranny dobór cytatów dokonany przez wybitnego teologa i pisarza ks. prof. Waldemara Chrostowskiego. Jak wiadomo, Prymasa Tysiąclecia łączyła głęboka przyjaźń z kard. Karolem Wojtyłą. Wbrew nadziejom i prowokacjom komunistycznej władzy współpraca obu tych wybitnych hierarchów i Polaków nigdy nie uległa zachwianiu, czego najlepszym dowodem jest zamieszczony w książce obszerny artykuł krakowskiego metropolity o wielkim znaczeniu Prymasa dla naszego kraju oraz Kościoła w Polsce. Publikacja wzbogacona jest historycznymi fotografiami o niezwykłej wadze, tak dokumentacyjnej, jak i artystycznej; niektóre z nich publikowane po raz pierwszy.

W PAKIECIE TANIEJ!

99 ZŁ ZAMIAST 148 ZŁ

✆ Zamów telefonicznie lub e-mailem! Pomóż przetrwać!

ZAMÓWIENIA: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a4a4bdc682

Karty z dziejów Kościoła (1)

Hagiograf w dobie Oświecenia

Prof. Wojciech Roszkowski

Oświeceniowy racjonalizm angielski kojarzy się z takimi nazwiskami jak John Locke czy David Hume oraz całkowitą dominacją anglikanizmu w Wielkiej Brytanii. Co prawda, w połowie XVIII wieku zaprzestano już w Anglii krwawych prześladowań katolików, takich jak za panowania Elżbiety I czy podczas rewolucji angielskiej, ale nadal byli oni tam obywatelami drugiej kategorii, nie mogąc liczyć na kariery publiczne. Tymczasem jest rzeczą mało znaną, że jednym z najwybitniejszych autorów „żywotów świętych" był Anglik, i to działający w okresie Oświecenia. Mowa o księdzu Albanie Butlerze (1710–1773).

Pochodził on ze szlacheckiej rodziny katolickiej z hrabstwa Northampton. Ponieważ wcześnie stracił rodziców, uczył się w internacie. Pamięć o pobożnych rodzicach była jednym z głównych czynników kształtujących młodego człowieka. Zachował się list, jaki jego matka, Ann Butler, pozostawiła synom przed śmiercią:

„Moje drogie dzieci, ponieważ było wolą Boga Wszechmogącego zabrać mnie z tego świata, bez wątpienia mądrze przewidującego, że nie będę już pożytecznym rodzicem dla was (gdyż nikt nie może być uznany za koniecznego w tym świecie, skoro Bóg uznaje za stosowne go odwołać), więc mam nadzieję, że przyjmiecie stratę mojej osoby z rezygnacją właściwą dla waszej religii. Ten, który uczynił was sierotami w tak młodym wieku, otoczy was swą opieką i ojcowską troską, jeśli będziecie kochać Tego, który jest sprawcą wszelkiego dobra (…) Błagam was najusilniej, byście słuchali Jego wskazań co do drogi życiowej, jaką wybierzecie, czy to duchownej, czy świeckiej. Bez wątpienia możecie dojść do zbawienia obydwiema, jeśli tylko będziecie spełniać obowiązki wobec Boga, bliźnich i siebie samych (…) Jestem już tak słaba, że więcej nie mogę powiedzieć, ale modlę się, by Pan Bóg was błogosławił i wami kierował (…) Na koniec proszę was, byście nigdy nie przestawali się modlić za waszego ojca i matkę, którzy już nie będą mogli zadbać o siebie: tak więc odchodzę od was, mając nadzieję na spotkanie w niebie, w szczęściu wiecznym, Wasza kochająca matka, Ann Butler"[1].

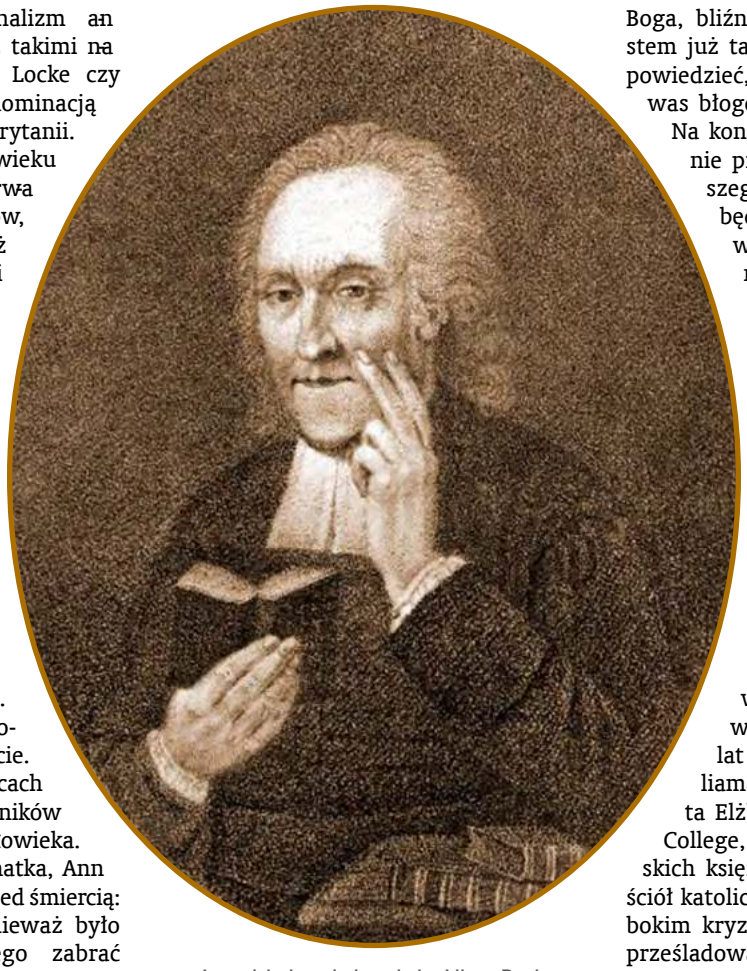

Angielski ksiądz katolicki Alban Butler, wybitny teolog i hagiograf, działający w XVIII w. Fot. Wikimedia

Po skończeniu szkoły średniej młody Butler wyjechał na studia do Douai we Francji. Miejsce to odegrało ogromną rolę w historii katolicyzmu angielskiego. Uniwersytet w Douai we francuskiej części Flandrii został założony w 1561 roku przez króla hiszpańskiego Filipa II w celu umocnienia katolickich wpływów w tym kraju. Osiem lat później, za sprawą kard. Williama Allena, czołowego oponenta Elżbiety I, powstał tam English College, w którym kształcono angielskich księży katolickich, ponieważ Kościół katolicki w Anglii znalazł się w głębokim kryzysie ze względu na okrutne prześladowania Elżbiety. Absolwenci English College byli wyświęcani na księży, a udając się do Anglii ryzykowali życie w imię służby wspólnotom katolickim wśród poddanych Elżbiety. Około 160 spośród tych absolwentów poniosło potem śmierć męczeńską w Anglii.

Gdy do Douai przybył młody Butler, sytuacja nie była już jednak tak groźna dla katolików angielskich. W 1735 roku przyjął on święcenia kapłańskie, po czym objął stanowisko

eprasa.pl a4a4bdc682

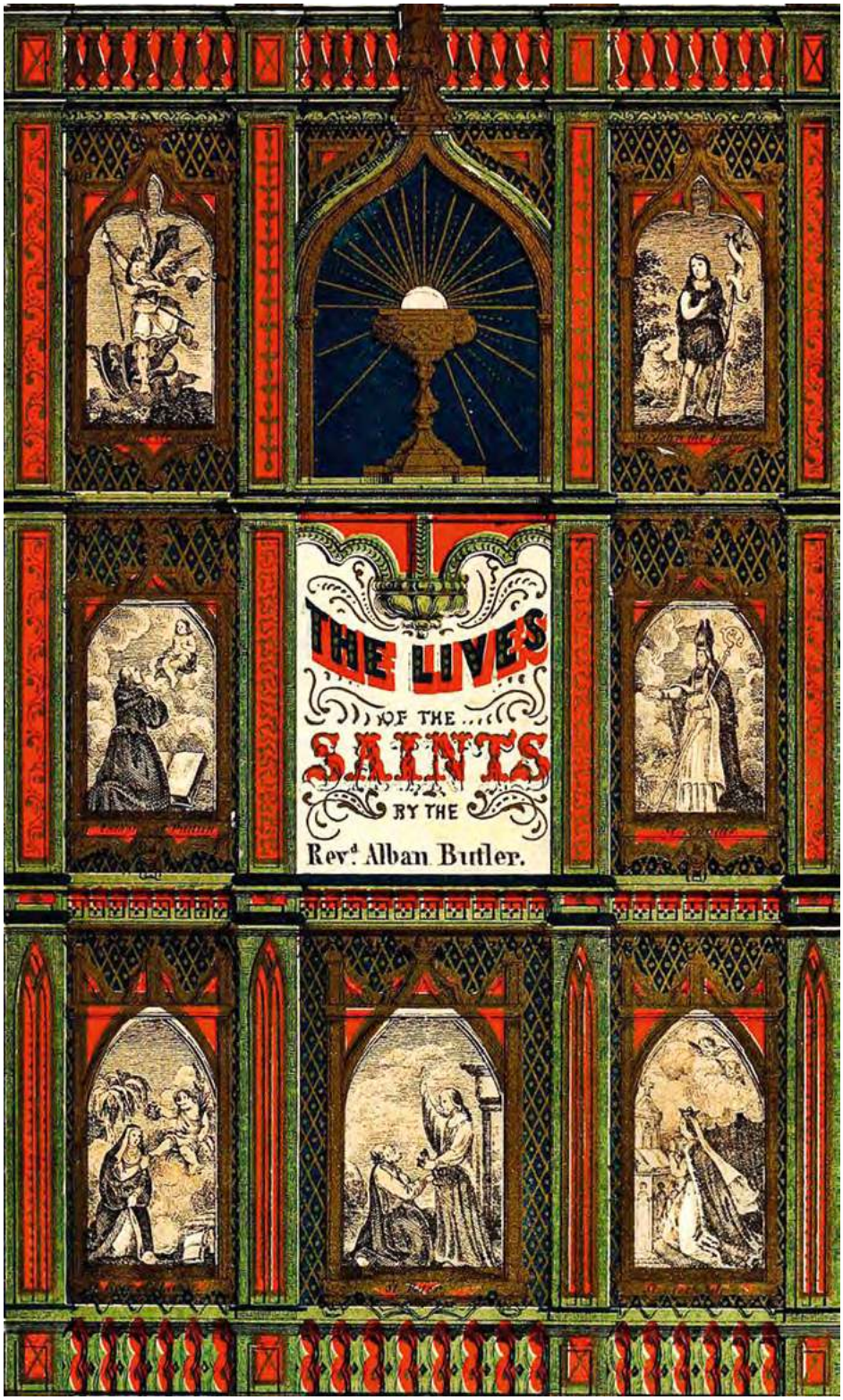

Okładka „Żywotów Świętych" („The Lives of the Saints"). Było to prawdziwe *opus magnum* księdza Albana Butlera, stanowiące do tej pory cenne źródło informacji o świętych Kościoła powszechnego. Fot. Wikimedia

profesora filozofii, a następnie także teologii. Już w Douai ksiądz Butler rozpoczął pracę nad dziełem swojego życia, zatytułowanym „Żywoty ojców, męczenników i innych najważniejszych świętych" („The Lives of the Fathers, Martyrs and Other Principal Saints"). Współpracował także z biskupem Richardem Challonerem nad jego „Pamiątką księży misjonarzy" („Memoirs of Missionary Priests"), w którym zgromadzono wspomnienia o księżach umęczonych w Anglii za panowania Elżbiety I. Pasja badawcza Butlera wynikała początkowo z pragnienia upamiętnienia męczeństwa księży angielskich, ale stopniowo ogarniał on coraz szerszy zakres chronologiczny dziejów Kościoła, sięgając aż do jego początków.

Dorobek księdza Butlera jest imponujący, niezależnie od „Żywotów świętych". Był on także autorem kilku innych obszernych prac z historii Kościoła, a także niezliczonej liczby listów, będących ważnym świadectwem epoki, w której żył. Poza pracą badawczą Butler był niezwykle aktywny jako duszpasterz i organizator życia religijnego. W 1746 roku był tutorem „wielkiej podróży" bratanków Gilberta Talbota, trzynastego hrabiego Shrewsbury, Jamesa i Thomasa Talbotów. Podróże takie, głównie po Europie i Bliskim Wschodzie, podejmowali potomkowie wielkich rodów angielskich, przygotowując się do służby publicznej. Talbotowie byli katolikami, a obydwaj bracia zostali później biskupami. Butler był także tutorem Edwarda Howarda, dziewiątego księcia Norfolk, także katolika, podczas jego podróży do Paryża. Tam właśnie Butler ukończył główną część swoich „Żywotów świętych". Po powrocie do Douai pełnił funkcję prezydenta English College i pełnił posługę duszpasterską przy biskupach Arras, Saint-Omer, Ypres i Boulogne-sur-Mer jako ich wikariusz generalny.

W 1749 roku ksiądz Butler wrócił do Anglii i został kapelanem księcia Norfolk. Później pracował także jako misjonarz w Staffordshire. Mianowany prezydentem angielskiego seminarium w Saint-Omer, powrócił do Francji i tam spędził ostatnie dwadzieścia lat życia. Pochowano go w tamtejszym kościele parafialnym Saint-Denis. Życie i dzieło Butlera opisał po jego śmierci jego bratanek, Charles Butler[2].

Niezwykłe dzieło życia księdza Butlera, jego „Żywoty świętych", ma swoją własną i to długą historię. Pierwsze jego wydanie londyńskie z lat 1756–1759 podzielone było na cztery tomy. Nie zawierało ono ani nazwiska autora, ani nazwy wydawcy. Każdy z tomów obejmował jeden kwartał kalendarza liturgicznego i odnosił żywoty poszczególnych świętych do dat ich wspomnień w Kościele. O wielkości, poziomie naukowym i edytorskim tego dzieła można się przekonać dzięki internetowi[3]. Ponieważ owe tomy były ogromnych rozmiarów, w następnych wydaniach tomy trzeci i czwarty podzielono na dwie części, przez co praca obejmowała sześć tomów. Późniejsi wydawcy dokonali dalszych poprawek w tekście i ostatecznie podzielili

eprasa.pl a4a4bdc682

całość na dwanaście tomów, obejmujących dwanaście miesięcy. Taki kształt uzyskało dzieło księdza Butlera w wydaniu z 1847 roku. Hasła zamieszczone są tu pod datami wspomnień o świętych, przez co czasem trochę trudno odnaleźć niektórych bohaterów. Dla przykładu pod datą 1 lutego można znaleźć bardzo obszerny biogram świętego Ignacego oraz nieco krótsze życiorysy świętych Pioniusza ze Smyrny, patronki Irlandii Bridgit, Kinni i Siegeberta, a pod datą 1 lipca mamy ogromny tekst o świętym Justynie i mniejsze biogramy świętych Pamfilosa, Caprais, Piotra z Pizy i Wistana z Mercji. W sumie w „Żywotach" znaleźć można informacje o około półtora tysiącu osób. Każde hasło opatrzone jest licznymi odniesieniami do źródeł i komentarzami autora do tych źródeł. Ksiądz Butler obficie korzystał przy tym z istniejących wcześniej zbiorów żywotów świętych, ale każdy z zawartych tam tekstów analizował z właściwą sobie drobiazgowością.

Warsztat badawczy księdza Butlera budzi podziw do dziś. Jego przykładem niech będzie hasło dotyczące mało znanej historii męczeństwa mnichów z góry Synaj w III wieku, zamieszczone pod datą 14 stycznia:

„Święci Izajasz, Sabbas i trzydziestu ośmiu innych świętych pustelników z góry Synaj, zamęczonych przez oddział Arabów w roku 273; podobnie jak Paweł, opat, Mojżesz, który swym nauczaniem i cudami nawrócił Izmaelitów z Pharan; Psaes, cud wstrzemięźliwości i inni mnisi z pustyni Raithe, dwa dni drogi od Synaju, nad Morzem Czerwonym, zamordowani tego samego roku przez Blemian, pogańskich dzikusów z Etiopii. Wszyscy ci anachoreci żywili się daktylami i innymi owocami, nigdy nie próbując nawet chleba, pracowali przy wyrobie koszy w oddzielonych od siebie celach, a spotykali się w soboty wieczorem w jedynym wspólnym kościele, gdzie sprawowali nocną ofiarę i w niedziele, gdy przyjmowali razem Eucharystię. Wyróżniali się wytrwałością w modlitwie i postach. Zob. ich dokumenty u Ammoniusa, naocznego świadka, opublikowane przez F. Combefis; także Bulteau, Hist. Mon. D'Orient, 1, 2, c. 1, s. 209.

Również wielu innych anachoretów z góry Synaj, których życie było wierną kopią chrześcijańskiej doskonałości, a którzy spotykali się w niedziele, by przyjmować świętą Eucharystię, zostało zamęczonych przez bandę Saracenów w piątym wieku. Był tam pewien chłopiec w wieku czternastu lat, który wiódł między nimi żywot pełen doskonałości. Saraceni zagrozili mu śmiercią, jeśli nie wyjawi gdzie ukryli się mnisi. Odparł im, że śmierci się nie boi oraz że raczej boi się grzechu zdradzenia swoich duchowych ojców. Kazali mu się rozebrać. 'Jak mnie zabijecie – powiedział chłopiec – weźcie sobie moje ubranie, ale ponieważ nigdy nie oglądałem się nago, miejcie tyle zrozumienia dla mojej wstydliwości, żebym mógł umrzeć w ubraniu'. Barbarzyńcy tak się rozwścieczyli, że rzucili się na niego z użyciem wszelkiej broni, jaką posiadali, a pobożny chłopiec zginął, cierpiąc tyle mąk, ilu było katów. Święty Nil, który był uprzednio gubernatorem Konstantynopola, pozostawił nam relację tej masakry w siedmiu formach; w tym czasie bowiem wiódł życie pustelnika na tej pustyni i umieścił też swojego syna Teodula w tym świętym towarzystwie. Uprowadzono go jako jeńca, ale wykupiono go po wielu trwogach. Zob. S. Nili, Septem Narrationes; także Bulteau, Hist. Mon. D'Orient, 1, 2, c. 2, s. 220"[4].

„Żywoty" księdza Butlera to do dziś podstawowe źródło informacji o świętych Kościoła powszechnego, bez którego trudno się obejść komukolwiek, kto pisze historię chrześcijaństwa. Ostatnie, pełne wydanie tego dzieła jest owocem pracy o. Herberta Thurstona, jezuity, który dokonał nowej jego redakcji i wydał je w dwunastu tomach w latach 1926–1938.

1 http://www.gutenberg.org/cache/epub/20450/pg20450-images.html (24 III 2020).

2 "Alban Butler", http://www.newadvent.org/cathen/03090a.htm (25 III 2020); Charles Butler, *An Account of the Life of A.B. by C.B.* (London, 1799).

3 http://www.gutenberg.org/cache/epub/20450/pg20450-images.html (24 III 2020).

4 Tamże.

Pogrążony w modlitwie przed krucyfiksem święty Franciszek w pełnej ekspresji wizji artystycznej działającego w Hiszpanii barokowego malarza Domenikosa Theotokopulosa znanego jako El Greco.

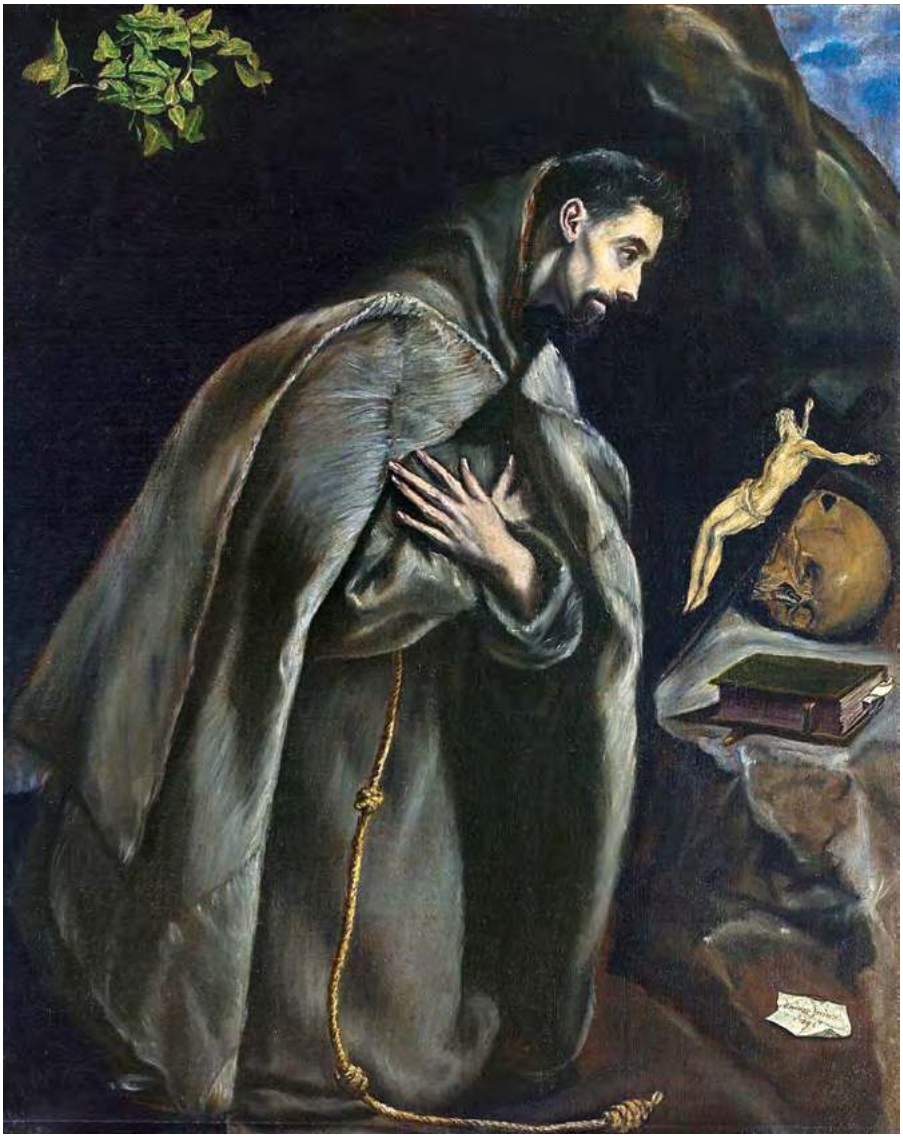

eprasa.pl a4a4bdc682

Nieodłączny element towarzyskiego i rodzinnego życia

Biesiada, czyli wesołe spotkanie przy suto zastawionym stole

Prof. Ryszard Kantor

Fakt, iż w czasach epidemii koronawirusa zakazane jest biesiadowanie w dużym gronie ze względów sanitarnych, nie oznacza, że mamy zapominać o naszej wielowiekowej tradycji. Wręcz przeciwnie, wielu z nas, zmuszonych do zachowania towarzyskiego dystansu, być może dopiero teraz doceni kultywowany w wielu rodzinach, a często przez młode pokolenia niedoceniany, a nawet wręcz lekceważony, chwalebny zwyczaj wspólnego rodzinnego świętowania w gronie kilku pokoleń – od pradziadków do prawnuków. Z nadzieją na taki rozwój zdarzeń zapraszamy do lektury poniższego artykułu, którego autorem jest wybitny polski etnolog i antropolog kultury.

Najprostsze, ale i najdobitniejsze określenie biesiady, z jakim się spotkałem, brzmi: „wesołe spotkanie towarzyskie przy zastawionym stole". Nęcąca prostota tej definicji ukrywa jednak uniwersalizm pewnego typu zachowań ludzkich. Odwołanie do społeczeństw prymitywnych, pierwotnych czy – co brzmi bardziej poprawnie politycznie – znajdujących się na niższym stopniu rozwoju społeczno-kulturowego potwierdza szeroki zasięg i odwieczność zjawiska biesiadowania. Klasyk antropologii społecznej Raymond Firth napisał w trzecim rozdziale, noszącym tytuł „Praca i bogactwo w społeczeństwach prymitywnych", swojej głośnej pracy „Wstęp do antropologii społecznej" następujące słowa: „Świąteczna biesiada może być zapłatą za pracę innych, uświetnieniem jakiegoś ważnego wydarzenia, jak na przykład zakończenia obrzędu inicjacji lub małżeństwa, lub umocnieniem przyjaźni między różnymi grupami. Wydający ucztę zyskuje zwykle na szacunku tam, gdzie uznanie osobiste i sława wiąże się ściśle z wysokością ponoszonych wydatków; wydanie uczty stanowi krok wyżej na drabinie społecznej".

Znajdując ogromną ilość informacji dotyczących występowania i znaczenia biesiad w rozmaitych kulturach, łatwo przyjąć tezę o uniwersalnym występowaniu tego zjawiska. Ranga jego z pewnością wykracza poza owo „wesołe spotkanie towarzyskie przy zastawionym stole", choć oczywiście podkreślenie ludyczności biesiady i zwrócenie uwagi na zastawiony stół jako m.in. metaforę biesiadnego kręgu przy ognisku ma sens.

Biesiada we wszystkich znanych nam kulturach, we wszystkich czasach, była i jest istotnym zjawiskiem społecznym, integralnie związanym z takimi sferami życia zbiorowego jak struktura społeczna, gospodarka, prestiż, obyczaj itd. Szczególnie to ostatnie pojęcie będzie nam bardzo przydatne w dalszych rozważaniach. Posłużę się tu nieco przekornie nie definicją etnologiczną, a literacką frazą autorstwa Marii Dąbrowskiej: „Obyczaj jest piątym symbolem świata. Reguluje życie ludzkie tak, jak zmiany pór roku życie rolnika, ale jest czymś najzupełniej różnym od zjawisk przyrody – jest oswajaniem świata, układaniem go w zrozumiały, nie grożący niespodziankami rytm. Rządzi powszednim i świątecznym dniem, otacza człowieka kokonem utkanym z nici wysnutych z wielu szpul: z wymogów klimatu, ze stosunków społecznych, z nakazów religii, z rodzajów pracy".

Obyczaj – odzwierciedlający system wartości jakiejś grupy społecznej – objawia się poprzez wzory kulturowe. Jan Szczepański zauważył, że określa on „sposób zachowania uznawany za 'normalny' w danej grupie" lub lepiej: „wzór określa zakres zachowań dopuszczalnych i skutecznych w jakiejś sytuacji. Wzory są więc czynnikiem ujednolicającym postępowanie ludzi, ułatwiającym porozumienie i zrozumienie cudzych zachowań oraz skuteczność wzajemnych oddziaływań. (…) Ustalone wzory kulturowe stanowią o regularności życia społecznego i jego 'porządku', umożliwiają i ułatwiają wzajemne przystosowanie".

Przenieśmy się na płaszczyznę konkretnej, polskiej kultury. Czym jest/była, jaką funkcję pełniła/pełni w niej biesiada? Oddajmy najpierw głos jej historykom, Zygmuntowi Glogerowi i Aleksandrowi Brücknerowi. W wydanej przez Glogera na początku wieku XX (1900–1903) „Encyklopedii Staropolskiej Ilustrowanej" znajdujemy całkiem bogate hasło „biesiada", które tu we fragmentach przytoczę. „Biesiada – pisze ten wybitny znawca polskiej kultury – posiedzenie wesołe przy napitku i potrawach, uczta, cześć, bankiet, lusztyk, gody, godowanie, ucztowanie i zabawa. Lud wiejski nazywa biesiadą każdą uroczystość rodzinną, a mianowicie wesele i chrzciny, w których starym zwyczajem cała wieś bierze udział, tak jak dawniej po domach szlacheckich całe sąsiedztwo; stary bowiem obyczaj był wspólny całemu narodowi".

Przyjmijmy tę bardzo szeroką wykładnię pojęcia „biesiada", które ma tu/może mieć związek z „godami", świętami okresu Bożego Narodzenia, szerzej – z każdym świętem liturgicznym, z każdą uroczystością rodzinną (także z nie wspomnianą przez Glogera stypą!) oraz łączy wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego, jest dla nich „wspólnym obyczajem narodowym". Gloger podkreśla pacyfikującą funkcję biesiady. Nie przez przypadek powiadano: „Kiedy siądziesz przy biesiadzie, nie myśl o żadnej zwadzie". Przytacza też inne powiedzenie: „Siedem biesiada – dziewięć zwada", które ma oznaczać, że lepiej jest mieć mniej gości, a dobranych, niż liczną hałastrę.

O wiele bardziej lakonicznie pisze o biesiadzie Brückner: „Biesiada, rozmowa towarzyska, żartobliwa, żart, rozrywka (…). Ale rychło kpiono z suchej biesiady, tj. bez napitków i biesiada przechodziła w ucztę, bankiet, a im liczniejsza, tym skorsza do zwady, więc wywodzono powszechnie jej nazwę, że biesiada niej siada".

eprasa.pl a4a4bdc682

Już współcześnie Krzysztof Koehler pisał: „Miała biesiada swój porządek, hierarchię w zajmowaniu miejsc przy stole, etykietę zachowania się, wreszcie też bardzo istotny aspekt toastów i łączących się z nimi przemówień. Biesiady urządzano z różnych powodów, zwykle związane były z uroczystościami domowymi, kościelnymi, bądź państwowymi, politycznymi. Tak jak dzisiaj, częstowano się hojnie z racji świąt, wesel, imienin i przy każdej innej nadarzającej się okazji, a niekiedy i bez wielkiej okazji, wystarczyło spotkanie sąsiedzkie albo wizyta w domu gościa, którego należało podjąć zgodnie z etykietą. Ważną zasada poczęstunku była wystawność".

Zofia Szromba-Rysowa przez lata zajmowała się badaniami zwyczaju biesiadowania na Podkarpaciu. Ustaliła, iż biesiadowanie spełnia wiele istotnych dla społeczności funkcji, z których warto wymienić funkcję integracyjną, towarzysko-rekreacyjną, wychowawczą, reprezentacyjno-prestiżową, ludyczną, alimentacyjną, ekonomiczną i znakową. Zgodzić się należy, że podstawową funkcją wszelkich biesiad w każdej kulturze, w przeszłości i obecnie, było i jest nawiązywanie i podtrzymywanie więzi społecznych, tworzenie wspólnotowości na gruncie rodziny, grupy rówieśniczej, sąsiedzkiej, lokalnej czy zawodowej.

Choć biesiada powinna ludzi łączyć, i tak się na ogół dzieje, to przecież niekiedy bywa przeciwnie, dochodzi podczas niej i w związku z nią do antagonizmów, kłótni, nawet bójek, co miewa daleko idące konsekwencje. A zatem, czego z pewnością nie powinno się lekceważyć, dążenia integracyjne, z gruntu pacyfistyczne, intencjonalnie wpisane w czas biesiady, mogą nie zostać zrealizowane. Zamiast integracji mamy dezintegrację, zamiast pacyfikacji konich utrzymywanie się, a nawet pogłębianie.

Funkcja towarzysko-rekreacyjna biesiad zaspokaja potrzebę kontaktu towarzyskiego, czasem otwiera przed biesiadnikami rozleglejsze horyzonty poznawcze ze względu na poznawanie przy okazji biesiad nowych ludzi i nowych problemów. Funkcja ta nie da się sprowadzić do funkcji integracyjnej, gdyż, co prawda, utwierdza ona istniejącą więź społeczną, ale przede wszystkim służy do jej nawiązywania. Funkcja wychowawcza biesiad polega na tym, że stanowią one konkretną, wyrazistą realizację wzoru kulturowego, realny znak systemu wartości obowiązującego w danej grupie. Funkcja reprezentacyjno-prestiżowa w naoczny sposób wyraża role i miejsce uczestników biesiady, zwłaszcza jej organizatorów i fundatorów, w strukturze społeczno-ekonomicznej grupy. Biesiada potwierdza prestiż jednostki czy rodziny, ale też może być środkiem do jego uzyskania. Biesiada ukazuje zależności między uczestnikami, potwierdza je i tym samym utrwala porządek społeczny, bądź, co rzadsze, działa na rzecz jego zmiany, postuluje nowe społeczne układy i relacje. W polskiej kulturze w okresie schyłku I Rzeczypospolitej wielka rola biesiad urządzanych przez magnatów dla „szlacheckiej braci" polegała na potwierdzaniu układu klienckiego, politycznej roli magnaterii i jej do-

Życie towarzyskie XIX-wiecznej arystokracji polskiej koncentrowało się w eleganckich salonach. Polacy należeli wówczas do najbardziej muzykalnych narodów; w każdym dworku i pałacu znajdował się fortepian, skrzypce lub gitara, a umiejętność gry na instrumencie była wysoko ceniona. „Biesiada" Jana Czesława Moniuszki, syna Stanisława.

eprasa.pl a4a4bdc682

minacji nad resztą szlacheckiego stanu. Było to konieczne, gdyż dominacja ta coraz częściej była kwestionowana.

Zbyt mało uwagi zwraca się na ludyczną funkcję biesiad, a przecież stanowią one okazje do ujawniania się jednego z najważniejszych rodzajów aktywności ludzkiej, aktywności ludycznej. Potrzeba zabawy zaspokajana w trakcie biesiad z pewnością stanowi znaczące wytłumaczenie tak powszechnie występującego zwyczaju biesiadowania, a zwłaszcza jego „oprawy artystycznej", bo przecież biesiadowanie nie ogranicza się zazwyczaj do spożywania jadła i picia trunków. Towarzyszy mu wiele zachowań jednoznacznie ludycznych: śpiewy, tańce, opowiadanie dowcipów.

Alimentacyjna funkcja biesiad miała szczególne znaczenie w społeczeństwach niedostatku. Biesiady były w nich rzadką okazją do nieograniczonej konsumpcji, nawet do nadużywania jedzenia i picia. Dotyczy to głównie zbiorowości zbieracko-łowieckich i pasterskich, ale również tradycyjnych zbiorowości wiejskich, także i w Polsce, żyjących na co dzień bardzo skromnie, niegdyś nawet na granicy potrzeb biologicznych. Ciekawy obraz pod tym względem przedstawiało społeczeństwo PRL-u, w większości cierpiące na permanentny niedostatek dóbr konsumpcyjnych. Biesiady w warunkach stałych trudności ze zdobywaniem artykułów żywnościowych, zwłaszcza wyższej jakości, stawały się rzadkimi okazjami do spożywania dużych ilości luksusowego pożywienia i były oceniane przede wszystkim z perspektywy konsumpcyjno-hedonistycznej. Dzisiejsza dostępność środków żywnościowych oraz wpływ mody dietetycznej wpłynęły na wyraźne zmniejszenie znaczenia obfitego stołu w polskiej kulturze. Przestał on być podstawą budowania prestiżu jednostki lub rodziny.

Z powyższą funkcją wiąże się ekonomiczna funkcja biesiady, którą Zofia Szromba-Rysowa uznaje za implikującą funkcję uznaniową, mającą, według niej, polegać na „uszanowaniu gościa z powodu poniesionych przez niego kosztów". Idzie tu o tego rodzaju biesiady, na które zaproszeni goście przynoszą prezenty (imieniny, urodziny, przyjęcia weselne itp.). Pomijając inne ich funkcje, mogą okazać się one dla organizatorów sukcesem ekonomicznym, gdy wartość przyniesionych prezentów (darów) przekracza koszty biesiady.

Wielkie znaczenie ma znakowa – komunikacyjna – funkcja biesiad.

Spotkania w Białym Kruku, podczas których gromadzi się elita intelektualna Polski, przypominają atmosferą wytworne salony literackie XIX w. Zdjęcie górne: Śpiewający kolędy chór profesorów w składzie: Krzysztof Ożóg, Andrzej Nowak, Bogusław Dopart, Andrzej Szczerski i Krzysztof Szczerski – podczas Wigilii autorów. Wśród gości poseł Janusz Szewczak, konsul generalna Węgier Adrienne Körmendy, prof. Bronisław Nowak, dr Ewa Marcinkiewicz, Jolanta Ożóg i dr Justyna Chłap-Nowakowa. Fot. Leszek Sosnowski. Zdjęcie dolne: Spotkanie opłatkowe z udziałem krakowskiego metropolity abp. Marka Jędraszewskiego; od lewej Attila Jamrozik, prof. Andrzej Nowak i dr Justyna Chłap-Nowakowa. Fot. Adam Bujak

eprasa.pl a4a4bdc682

Pełna wigoru scena huculskiej zabawy namalowana przez Teodora Axentowicza. Artysta znakomicie oddał dynamikę ludowej kołomyjki – tańca, którego charakterystyczną cechą jest coraz szybszy ruch wirowy, co widać w pląsach chłopaka i dziewczyny z pierwszego planu. Fot. Wikimedia

Są one bowiem znakiem czegoś; forma zapraszania gości, ich miejsce przy stole, kolejność i rodzaj podawanych potraw itd. ujawniają w wyniku analizy semiotycznej, przynajmniej zdaniem semiotyków kultury i strukturalistów, ukryte treści i struktury konkretnych kultur.

Biesiadowanie nie jest dziś przedmiotem szczegółowych, autonomicznych analiz, ujmowane jest w kontekście ogólnych przemian obyczajowości polskiej. Zwraca się na przykład uwagę na fakt, że dziś biesiaduje się skromniej niż do niedawna, że zmienia się biesiadne trunki z mocniejszych (wódka, samogon) na słabsze (piwo), lub bardziej eleganckie (wino). Nie uchodzi uwadze obserwatorów fakt, iż w okresie wiosenno-letnim nową i coraz bardziej popularną formą biesiady stają się spotkania na świeżym powietrzu przy grillu, co jest – jak twierdzą publicyści – formą „nie wymagającą szczególnej znajomości dobrych manier".

Poniżej pozwolę sobie na przedstawienie moich własnych refleksji wynikających z obserwacji uczestniczących, co znaczy, że sam nie stroniłem od uczestnictwa w biesiadach, oraz opartych na materiałach badawczych zgromadzonych przeze mnie podczas badań nad przemianami obyczajów w Polsce, przeprowadzanych w środowisku studenckim.

Z moich obserwacji wynika, że integracyjna funkcja biesiad nic nie straciła w Polsce na znaczeniu. Została ona w ostatnich czasach doceniona przez firmy prywatne. Upowszechniły się najrozmaitsze formy integrowania pracowników tych firm, a do najbardziej efektownych, a może i efektywnych, należą biesiady często łączone z dłuższymi wyjazdami, co najmniej weekendowymi, zwanymi po prostu wyjazdami integracyjnymi. Być może, przynajmniej w niektórych przypadkach, przypominają one dawniejsze, organizowane przez państwowe zakłady pracy wyjazdy na grzybobrania czy zwiedzanie zabytków, o których żartowano, iż kończą się na odszpuntowaniu beczki piwa i seksualnych ekscesach.

Oczywiście, współczesne wyjazdy integracyjne powiązane z biesiadami urządzane są wedle reguł socjotechnicznych. Mają na celu integrowanie pracowników, budowanie więzi między nimi a pracodawcami i personelem kierowniczym, mają skłaniać do bardziej wydajnej pracy, do lojalności wobec firmy itd. Warto przyjrzeć się tego rodzaju imprezom, ich recepcji i faktycznemu znaczeniu, choćby ze względu na częstość ich występowania. Powstają również nowe okazje do biesiadowania; często mają one ścisły związek z komercją. Przykładem mogą tu być tzw. poczęstunki przy okazji promocji rozmaitych towarów, połączone z ich sprzedażą lub promocją, zwłaszcza adresowane do konkretnych grup zawodowych. Można tu wymienić organizowane przez firmy farmaceutyczne łączenie wykładów dla lekarzy z promocją lekarstw, wystawną biesiadą i występami artystycznymi.

Biesiady rodzinne związane ze świętami i obrzędowością rodzinną odgrywają w dalszym ciągu w naszej kulturze wielką rolę, choć na przykład wiele dawniej znacząca ich funkcja alimentacyjna znacznie dziś osłabła. Wesela, chrzciny, przyjęcia komunijne gromadzą więcej uczestników niż dawniej, rośnie ilość i wartość prezentów, na nic zdają się próby poskramiania przez kler biesiadnych skłonności Polaków, choć – jak się zdaje – przynajmniej na przyjęciach komunijnych rzadziej pojawia się alkohol. Także biesiady imieninowe i urodzinowe oraz związane z rokiem obrzędowym mają miejsce jak dawniej, choć – zdaniem części obserwatorów – w niektórych regionach Polski bywają dziś skromniejsze, czego moje obserwacje nie potwierdzają. Dotyczy to zarówno Wigilii, jak i śniadań wielkanocnych gromadzących rodziny przy wspólnym stole.

eprasa.pl a4a4bdc682

REKLAMA

Wzór kulturowy nakazujący: zastaw się, a postaw się wcale nie słabnie.

Moi studenci, adepci socjologii, relacjonując swoje doświadczenia i obserwacje związane głównie z biesiadowaniem rodzinnym, wykazywali wielkie zrozumienie jego sensu. „Spotkania rodzinne przy biesiadnym stole – pisał student A.M. – to okazja do prawdziwej rozmowy. Rozmowy nieograniczającej się do wymiany informacji czy analizy faktów, ale dotyczącej uczuć, emocji, przeżyć każdego członka rodziny, dającej odczuć rodzinie uczucia, jakimi się ją darzy, zaufanie, które się ma do wszystkich domowników i wielką życzliwość. Najwygodniejszym więc sposobem rozmawiania jest siedzenie wokół stołu, przy którym spożywa się także posiłek. Wspólny posiłek jest najbardziej naturalnym i najlepszym czasem".

Biesiady rodzinne, opisywane przez badanych studentów, odbywają się z wielu okazji, przede wszystkim z okazji świąt religijnych. Oczywiście dominuje Wigilia Bożego Narodzenia i Wielkanoc (śniadanie wielkanocne), ale także inne święta: Trzech Króli i Boże Ciało. Nagminną okazją do biesiadowania są imieniny i urodziny, chrzty, wesela, stypy, dziś również Dzień Babci i Dziadka oraz Dzień Dziecka. Dominują biesiady niedzielne. „W domu od małego słyszałam – pisze studentka A.G. – że niedzielny obiad powoduje zespolenie członków rodziny i po latach muszę przyznać, że to szczera prawda. Wszyscy członkowie rodziny w mniejszym bądź też większym stopniu już od rana są zaangażowani w przygotowaniach do biesiady. Obiad niedzielny w zimie spożywamy w jadalni przy dwunastoosobowym stole (…) gdy przychodzi wiosna (…) obiad jadamy na tarasie pod gołym niebem".

Z biesiadą rodzinną studenci wiążą przede wszystkim rozmowę i stół (najczęściej obficie zaopatrzony), miejsce, przy którym gromadzi się rodzina. Rozmowa i wspólny posiłek, to „bycie razem". „Spośród licznych czynników wpływających na tworzenie i umacnianie więzi między członkami rodziny – pisze studentka A.J. – na pierwsze miejsce wysuwa się bycie razem. To właśnie fakt przebywania ze sobą może i powinien być tym, co łączy członków rodziny. (…) Dla wszystkich członków mojej rodziny istotna jest rozmowa (…). Ponieważ znajdujemy czas na częstą rozmowę, na lepsze poznanie się, tworzymy bardzo silną i trwałą rodzinę".

Szczególną rolę stołu, traktowanego dosłownie, ale i metaforycznie, podkreśla np. studentka B.F.: „dla każdego znajdzie się krzesło i kawałek miejsca przy stole. Stół u nas odgrywa znaczącą rolę, bo jak wiadomo wszyscy gromadzą się wokół niego. Jeśli chodzi o miejsce do siedzenia, to mój tato zawsze siada na fotelu pod oknem, a moja mama także na fotelu, ale po przeciwnej stronie. Te miejsca są tak jakby 'od zawsze' ich i nawet nikt nie próbuje ich zająć, bo i tak wie, że długo na nich nie posiedzi. Tak samo jest, jeżeli znajdziemy się u mojej cioci, ona i wujek zawsze siedzą po przeciwległych sobie stronach".

Stół, rozmowa, „bycie razem", posiłek, często obfity, to główne cechy biesiadowania rodzinnego. A gdzie jest miejsce na zabawę? Jest, oczywiście. „Przebieg imienin (rodziców informatorki A.G. – R.K.) zależy zwykle od sił współbiesiadników. Nieodzownym elementem na imprezach tego typu jest oczywiście gitara (…) po kilku kieliszkach nawet najcichszy biesiadnik nie odmówi sobie okazji do zaśpiewania przebojów z lat 70. czy 80. – tych tak uwielbianych w naszej rodzinie. No i oczywiście obtańczenia solenizanta bądź solenizantki".

Studentka A.P. pisze z kolei: „Ostatnio do jakże bogatego kalendarza wspólnych spotkań doszło jeszcze jedno – wspólna, rodzinna impreza sylwestrowa. Posiadamy małą powstałą na potrzeby rodziny orkiestrę. Wujkowie zebrali się i z okazji imienin, urodzin, chrzcin, sylwestra grają. Jeden na saksofonie, drugi na syntezatorze i akordeonie, a trzeci śpiewa. Dzięki nim każde, nawet malutkie, nieoficjalne spotkanie rodzinne przeradza się w wielką imprezę".

Dobrym podsumowaniem powyższej wyrywkowej prezentacji wypowiedzi na temat biesiadowania może być wypowiedz informatorki K.S.: „Biesiadowanie jest i zawsze będzie nieodłącznym elementem naszego życia i myślę, że to się nie zmieni, bo nic tak nie integruje ludzi jak tego typu spotkania. Jestem też pewna, że gdy kiedyś założę swoją rodzinę, będę starała się jak najbardziej pielęgnować tradycję oraz będę starała się jak najsilniej utrzymać rodzinne więzi".

eprasa.pl a4a4bdc682

Emanuel Moszyński (1843–1863), dwudziestoletni bohater powstania styczniowego

Potęga honoru

Prof. Piotr Biliński

Młode pokolenie Moszyńskich wychowywało się pod okiem ojca, który musiał zastępować dzieciom chorą matkę. Piotr zaszczepił w dzieciach ducha patriotycznego, co zaowocowało bezkompromisową postawą synów już w bardzo młodym wieku w powstaniu styczniowym. Szczególną rolę w tym tragicznym zrywie odegrał starszy syn Piotra, Emanuel.

Nasz bohater przyszedł na świat 25 grudnia 1843 roku w Krakowie. Chrztu świętego, który odbył się w kościele Mariackim, udzielił mu rektor pijarów ks. Adam Jakubowski i ks. Andrzej Karczyński. Rodzicami chrzestnymi byli generałowie Franciszek Paszkowski i Ignacy Prądzyński, Józef, Józefa i Katarzyna Szembekowie oraz Klotylda Malinowska. W latach dziecinnych Emanuel często spotykał w domu rodzinnym gen. Prądzyńskiego, który był dzierżawcą w dobrach Moszyńskich. Przed śmiercią przekazał swoje pamiętniki i korespondencję swojemu chlebodawcy. Warto przypomnieć, że przechowywane przez Moszyńskich pamiętniki gen. Prądzyńskiego zostały w 1909 roku wydane przez Jerzego Moszyńskiego. Obecnie rękopisy znajdują się w bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Emanuel początkowe nauki odebrał w domu, po czym w 1855 roku został zapisany do gimnazjum św. Anny w Krakowie. Uczęszczał również na lekcje szermierki i gimnastyki do zakładu Michała Starzewskiego. Jego prywatnym korepetytorem był Antoni Kamiński, który sporządzał dla Piotra Moszyńskiego obszerne sprawozdania z postępów w nauce syna. Tuż przed maturą „pan Piotr miał nieprzyjemności z powodu syna, którego nie policja, ale sąd szkolny z czterema innymi uczniami wydalił za to, że suwali w ławkach nogami". Wpływ na wydalenie Emanuela ze szkoły mogły mieć też jego słabe noty na cenzurkach rocznych. Nie udało się ustalić, gdzie i kiedy młody Moszyński zdał maturę, jedno jest tylko pewne, że musiało się to stać przed październikiem 1862 roku, kiedy to był już studentem pierwszego roku prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wakacje 1862 roku Emanuel spędził wraz z bratem Jerzym u Szembeków w Ujściu na Podolu. Z pobytu wyniósł fałszywe pojęcie o Ukrainie i sprawie chłopskiej, gdyż w liście do ojca pisał: „Wrażenie, jakie na mnie Ukraina zrobiła, nie jest zbyt wielkie. Jest to kraj, który

Artur Grottger, „Przysięga" z cyklu „Lithuania". Uroczyste zaprzysiężenia powstańczych oddziałów najczęściej odbywały się nocą. Fot. Polona

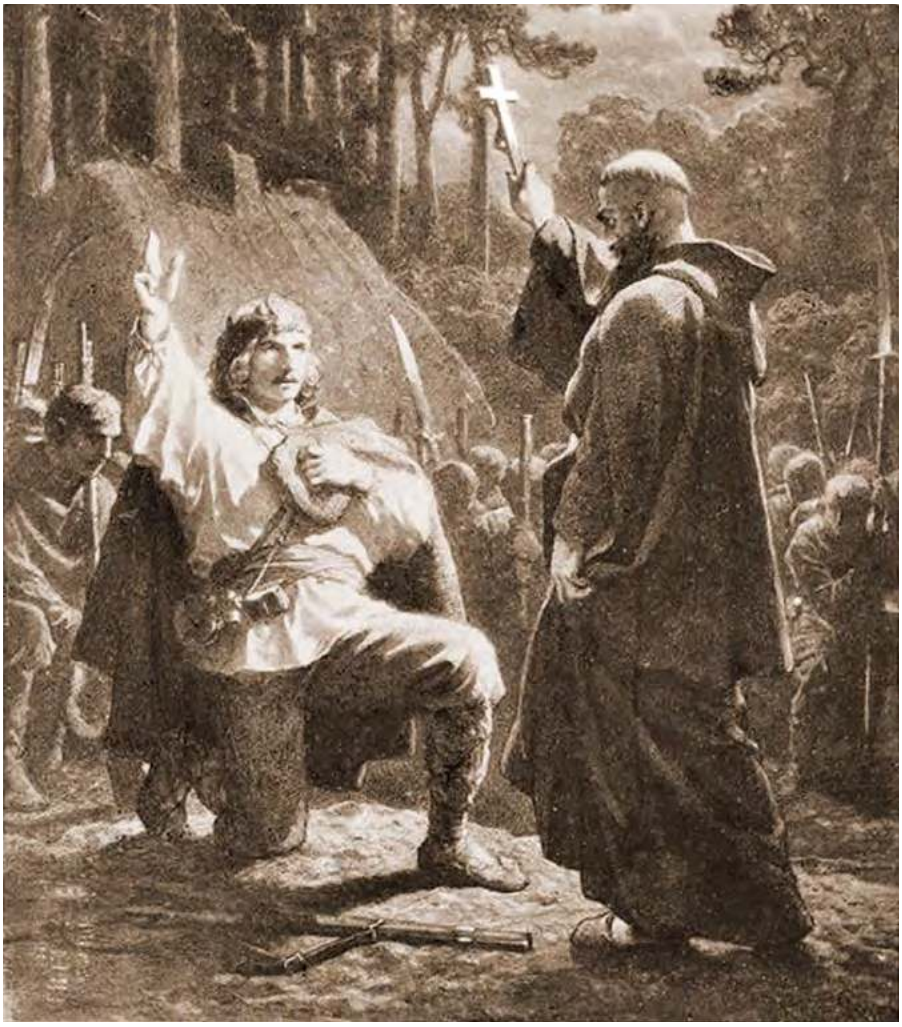

eprasa.pl a4a4bdc682

przez swoje zbyt poetyczne opisanie stał się bardzo prozaicznym. Nie widziałem owych stepów, po których by na szybkich koniach pędzili kozacy, chociaż widziałem obdartych chłopów na szkapach pełniących te funkcje. Nie ma owych oczeretów, po których wilk przemyka; są one wprawdzie nad stawem zapełnione rakami i żabami. I przyznam się papie, że Zalewski musi być człowiek o bardzo skromnej wyobraźni, skoro niebo przedstawił w kształcie np. łanu pszenicy lub miasteczka jak Berszada…". Bardziej niż krajobraz zdegustowały Emanuela stosunki społeczne: „Ludu nie znam, bo go poznać nie mogę nie znając języka. Obywateli nie znam, bo niewielu mogłem widzieć, wyjąwszy na imieninach pana Lipkowskiego, ale nigdy nie miałem do nich sympatii i mieć jej nie będę. Znajduję, że przez zbytnie staranie o własną kieszeń zapomnieli, że oni są jedynymi reprezentantami Polski w tym kraju, że każdy z nich powinien był być emisariuszem w swoim majątku, szerzącym zbratanie i oświatę ludu, popierającym sprawę Polski, a oni byli tyranami i katami ludu, a sługami wrogów. Patriotyzm pełnili, o ile nie dotykał ich finansów, a miłość ludu szerzyli o tyle, o ile ta miłość nie stała na przeszkodzie pańszczyźnie i całej ich tyranii. Powstają teraz na tą młodzież, która przedsięwzięła, może za późno, szerzyć oświatę i pouczać lud o prawach człowieka. Zwą ich chłopomanami, zarzucając im najczarniejsze zbrodnie; jedni zawstydzeni, że zostali wyprzedzeni w patriotyzmie przez niższych od siebie, inni przelęknieni, czy za tyle zbrodni i pastwienia się nad ludem nie przyjdzie kiedyś kara z wielu miar słuszna. Opowiadania przeszłorocznych męczeństw, jakie ponieśli ci włościanie za samą myśl dopominania się praw człowieka, a którymi męczeństwami godni są stanąć obok tych mężów, co za wolność poświęcili życie i wszystko, rozdrażniły i oburzyły mnie bardzo. Stosując się do odezwy, wydanej przez warszawian do wszystkich Polaków, a która teraz powinna być prawem naszym, uważam tych wszystkich, co doprowadzili wojsko na lud sprowadzić, na równi ze zdrajcami, bo przez to może do reszty wygasili sympatię u tych włościan do sprawy naszej".

Zaniepokojony treścią listu Piotr Moszyński przybył do Ujścia i przestrzegał syna przed angażowaniem się w radykalne ruchy społeczne. Niemniej Emanuel, który „zaczytywał się Lelewelem i przejął się – naturalnie, że tylko w teorii – rewolucyjną frazeologią tego czciciela wielkiej rewolucji francuskiej" – przekomarzał się z ojcem na tematy polityczne i przywdział chłopską sukmanę. Jesienią 1862 roku, gdy ojciec pozostał na Podolu, chłopcy wrócili do Krakowa: „Emanuel na pierwszy rok prawa, a Jerzy do szóstej klasy gimnazjum". Pod koniec października Emanuel zwierzył się młodszemu bratu, że „właśnie dziś złożył przysięgę do formującego się wojska polskiego. Zaręczył mi słowem honoru" – pisze Jerzy – „że gdy powstanie wybuchnie, to da mi o tym znać i nie będzie się sprzeciwiał memu przyłączeniu się do niego, ale żąda ode mnie, żebym ja zobowiązał się pod słowem honoru, że przedtem nie dam się zwerbować do żadnego spisku i żadnej nie złożę przysięgi". Emanuel dotrzymał słowa. Z końcem stycznia 1863 roku cały rozpromieniony powiedział bratu: „Wiesz przyszedł rozkaz! Za trzy dni wychodzimy do Ojcowa. Wiadomość ta napełniła nas radością nie do opisania" – wspominał Jerzy. „Pobiegliśmy na górę do sióstr naszych, oznajmić im tę wesołą nowinę i wyciągnąć od nich co się dało

Walczący w Powstaniu Styczniowym polscy żołnierze nie mieli jednolitego umundurowania. Fot. Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

pieniędzy na drogę i ekwipunek Emanuela. Miał on być w piechocie w żuawach śmierci Rochebruna. Za te składkowe pieniądze kupił więc jakąś pojedynczynę od rusznikarza, do której kazał sobie dorobić bagnet. Ja miałem wstąpić do powstania jako kawalerzysta. Miałem doskonałego konia, którego mi podczas wakacji podarował mój wuj Stanisław Malinowski, pałasz kawaleryjski angielski znalazłem w zbrojowni mojego ojca. Siostry znalazły u siebie kawał czarnego adamaszku, na którym wyszyły biały krzyż jedwabny jako sztandar żuawów śmierci i ubrały go szerokimi wstęgami, amarantową i białą".

Tymczasem Piotr, złożony chorobą, po powrocie z Podola wyjechał na leczenie do Berlina. Przed wyjazdem kategorycznie zakazał synom samowolnie zaciągać się do wojska „ale żadnemu z nas nawet na myśl nie przyszło" – pisze Jerzy – „by synowie Piotra Moszyńskiego mieli siedzieć za piecem, gdy cała młodzież polska zdążała na pole walki za ojczyznę, lub żeby ojciec nasz wyczekujący całe swe życie na zmartwychwstanie nieszczęśliwej naszej ojczyzny mógł mieć cokolwiek bądź przeciwko naszemu postanowieniu". Na młodych Moszyńskich niewątpliwie wpłynął także fakt, że ich przyjaciele: Jan Tomkowicz, Kazimierz Straszewski, Paweł Borejsza zgłosili akces do powstania. Krakowska młodzież akademicka i szkolna zasiliła czerwoną organizację Alfreda Szczepańskiego. Zaproponował on Emanuelowi stanowisko setnika w kadrowej organizacji powstańczej, jednak Moszyński ze względu na brak przygotowania wojskowego zmuszony był odmówić i został zwykłym szeregowcem. Wymarsz do Ojcowa został jednak wstrzymany o dwa tygodnie i Emanuel trapiony wyrzutami sumienia, postanowił wyznać ojcu prawdę o swoim udziale w powstaniu. Udał się do Berlina, po czym ojciec z synem natychmiast wrócili do Krakowa. Piotr nie żałował synom wyrzutów: „żądałem od was, byście bez mojej wiedzy nie brali na siebie żadnych spiskowych zobowiązań. Myślałem, że zaufacie memu patriotyzmowi, którego dowodem całe moje życie. Zawiedliście moje zaufanie. Emanio złożył już przysięgę, nie mogę go więc już powstrzymać od dotrzymania jej, bo to rzecz honoru, ale mu nie błogosławię na tę ekspedycję. Tobie zaś zakazuję pod błogosławieństwem łączenia się z powstaniem, a daję ci słowo, że gdybym spostrzegł jedną szansę na sto możliwości wywalczenia orężem niepodległości Polski, to sam cię do powstania wyprawię".

Dnia 6 lutego 1863 roku Emanuel otrzymał rozkaz wymarszu do Ojcowa, gdzie stacjonowały oddziały powstańcze płk. Apolinarego Kurowskiego. W tym samym dniu napisał list pożegnalny do najmłodszej siostry Heleny, przebywającej w Zakładzie Wychowawczym Panien Serca Jezusowego w Poznaniu: „Droga Helciu! Dzisiejszej nocy jadę do Ojcowa do obozu powstańców, honor i uczucie Polaka nakazuje mi połączyć się z braćmi, co z bronią w ręku chcą oswobodzić ojczyznę od jarzma nieprzyjaciół. W tym tygodniu już może zobaczę ogień, jadę za pozwoleniem Papy, mogę Cię zapewnić, iż nazwisko, jakie nosimy, nie będzie spodlone przeze mnie. Krótko do ciebie piszę, bo idę zaraz do spowiedzi, bądź zdrowa, módl się za mnie i za Polskę, aby Bóg nam pobłogosławił, a może zobaczymy się w Poznaniu. Wstępuję jako oficer do pułku żuawów, myślę, że albo zobaczysz mnie zwycięzcą, lub zobaczymy się gdzie indziej". Jest jeszcze jeden zagadkowy list napisany przez Emanuela tym razem do ojca: „wybacz, że teraz, gdy cała młodzież polska idzie bronić swojej niepodległości, i ja nie mogę zostać ostatnim. Zataiłem to przed Tobą, bom nie chciał Ci przyczynić zgryzot pożegnania. Przebacz mi i bądź pewnym, że honor Polaka i Twego syna będę umiał zachować".

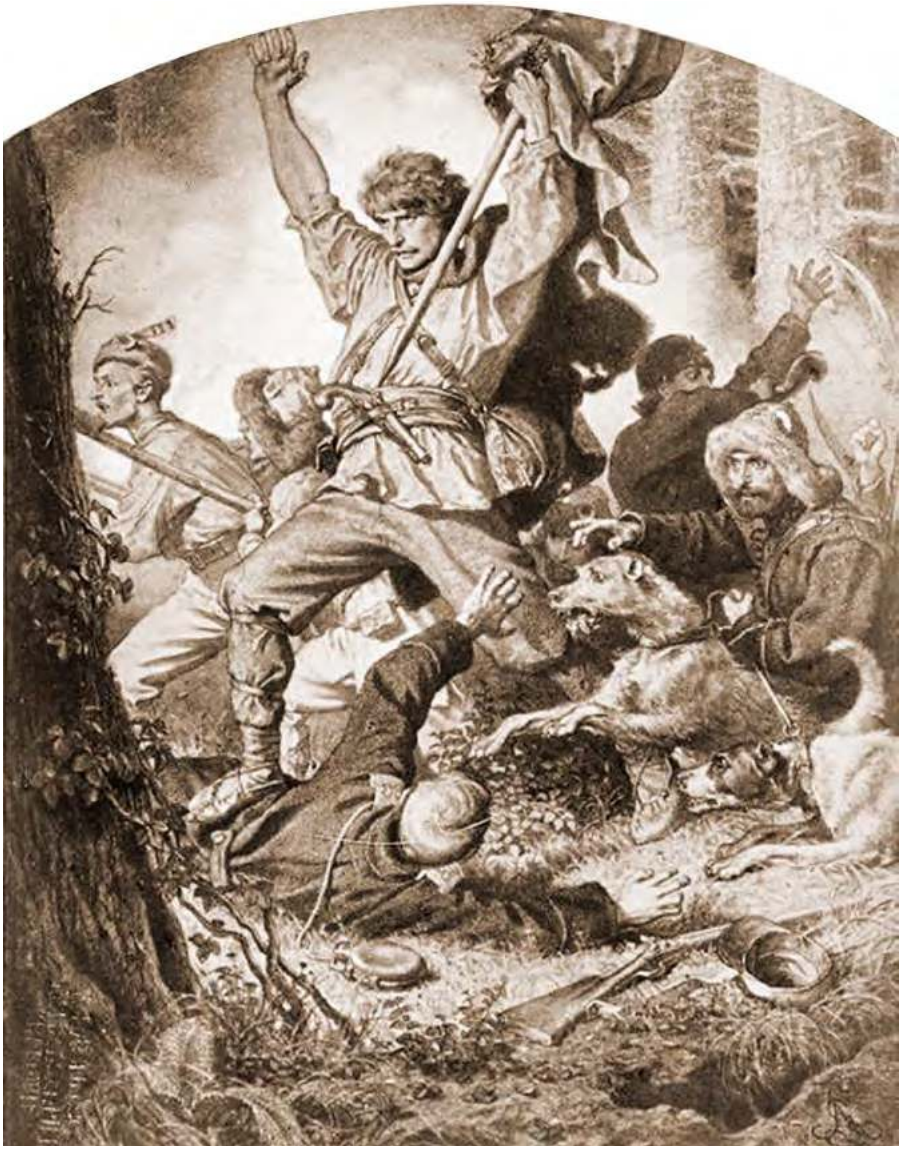

Potyczka powstańczego oddziału z wojskiem rosyjskim, tym razem zakończona zwycięstwem Polaków. Artur Grottger, „Bój" z cyklu „Lithuania". Fot. Polona

Zadziwiająco sprzeczne ze sobą dwie relacje. Obydwie wydawałoby się wiarygodne, bo pisane ręką Emanuela, a jednak tylko jedna z nich jest prawdziwa. Stanisław Tarnowski w nekrologu Piotra Moszyńskiego, dając sprostowanie różnym nieścisłym przypuszczeniom, kategorycznie dowodzi, że: „Podanie, że syna wychodzącego na miechowską wyprawę z daleka tylko listownie pożegnał i pobłogosławił, jest także mylne. Prawda, że przeciwny był tej wyprawie, ale syn z domu rodzicielskiego i w obecności ojca wyjeżdżał". Próbując rozszyfrować tę zagadkę, historyk Ema

eprasa.pl a4a4bdc682

Maksymilian Gierymski, „Patrol powstańczy". Uzbrojeni powstańcy próbują zasięgnąć informacji u wędrownego dziada (odwrócony tyłem). Obraz został skadrowany tak, że widz koncentruje się nie na postaciach insurgentów, lecz na linii horyzontu, skąd może pojawić się niebezpieczeństwo (rosyjscy żołnierze). Fot. Wikimedia

nuel Rostworowski podaje dwie hipotetyczne wersje zdarzeń. Po pierwsze, Emanuel mógł napisać ten list w czasie pierwszego pogotowia do wymarszu, zanim stało się jasne, że ten się opóźni i syn będzie mógł osobiście poinformować ojca o swoich planach, i ten zdezaktualizowany list pozostał w papierach. Druga natomiast możliwość jest taka, że zachowany list był swego rodzaju „alibi" Piotra wobec władz austriackich i rosyjskich, za czym przemawiać mogą późniejsze stosunki Piotra z oddziałem żuawów i jego darowizny finansowe na rzecz Rządu Narodowego po śmierci Emanuela. Ze wspomnień Ludwika Dębickiego wynika, że gdy koledzy chcieli Emanuela wstrzymać powagą ojca, on odpowiedział „z promienistym wejrzeniem: mój ojciec uraduje się, gdy pierwszy wejdę do Warszawy".

Wieczorem 6 lutego 1863 roku wszyscy członkowie rodziny i najbliżsi przyjaciele zebrali się w domu Moszyńskich, aby pożegnać Emanuela, Jana Tomkowicza, Pawła Borejszę, Michała Dobrzańskiego i Franciszka Rochebrune'a. Na odchodnym Dobrzański zaproponował, żeby „dali sobie słowo, że żaden nie da się wziąć żywcem Moskalom". Wszyscy dotrzymali słowa. Pod koniec pożegnań Tomkowicz zapytał Jerzego Moszyńskiego: „Jak to nie idziesz, ty, coś się tak wybierał?". Słowa te były „dopełnieniem kielicha goryczy". Żal i wstyd ogarnął Jerzego, który jako niepełnoletni nie mógł wziąć udziału w wyprawie z uwagi na brak zgody ze strony ojca. Szok związany z tym wydarzeniem pozostawił trwałe ślady w jego psychice na resztę życia. Na odchodnym Maria Moszyńska wręczyła im wyhaftowaną własnoręcznie czarną chorągiew z wizerunkiem Matki Boskiej i wierszem Wincentego Pola, która stała się sztandarem oddziału.

Moszyński wraz z kompanią dotarł do obozu płk. Kurowskiego już 7 lutego. Według historyka Wacława Tokarza Kurowski miał pod swoimi rozkazami około 2000 ludzi, w tym 1500 nadających się do walki. Już 9 lutego Emanuel został mianowany przez Rochebrune'a podporucznikiem sztabu i adiutantem. Nominację tę zatwierdził w imieniu Rządu Narodowego płk Kurowski. Rochebrune w asyście Emanuela obchodził oddziały powstańcze i wybierał odpowiednich ludzi do pułku żuawów śmierci. Formacja ta osiągnęła liczebność kompanii 122 ludzi. Mimo to uzbrojenie jednostki pozostawiało wiele do życzenia. W liście do matki Tomkowicz wspominał, że „pracujemy tu jak woły, cały dzień musztra, cała noc nauka teorii, patrole i roty, tak, że nie ma chwili wolnej. Ciasno tutaj, jak śledzie w beczkach mieszkamy. Ludzi pełno, ochoty nie brak, broni nie dość mamy. Zresztą pełno krzyku i hałasu, jak między nami zawsze".

W kilka dni później Emanuel wraz z Rochebrune'em wyjechał do Krakowa, „dla zakupu butów i chleba dla swego oddziału". Gdy zobaczył ich Piotr Moszyński, „zagniewał się bardzo i zrobił im ostre wymówki za taką lekkomyślność, mogącą ich łatwo narazić na aresztowanie". Zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, ojciec zamknął ich w pokoju na klucz, a potem „sam zaś biegał po szewcach i piekarzach dla zrobienia potrzebnych zakupów". Jerzy Moszyński tak wspomina ostatnie spotkanie z bratem: „smutny przybity, odarty już, ze wszystkich iluzji, wiedzący jedno tylko, że idzie na niechybną, bezużyteczną śmierć, i na nią zdecydowany. Gdym próbował jeszcze prosić go, żeby wpłynął na zmianę decyzji mojego ojca, odpowiedział mi: 'Nie robię tego; cóż ty myślisz, że my idziemy na zwycięstwo? My idziemy na niechybną śmierć, nie zrobimy nic, ale krwią naszą utorujemy interwencję

eprasa.pl a4a4bdc682

mocarstw. Austria się wda i Polskę odbu duje'". Natomiast zawadiaka Rochebrune nie tracił dobrego nastroju. W liście z 14 lutego do Piotra Moszyńskiego pisał: „Panie hrabio! Wróciliśmy bez przeszkody do obozu. W dzień mojego przyjazdu 500 ludzi piechoty i 250 jazdy utworzyło kolumnę operacyjną, która została pod moim dowództwem na Skałę wysłaną. Wczoraj 13-go Moskale zbliżyli się do nas o małe bardzo oddalenie. Przy ich zbliżeniu natychmiast wysłałem jazdę naprzód, by zakryć odwrót komenderującego naszą gwardią; za tą jazdą puściłem w tyralierkę moich żuawów z rozpuszczoną chorągwią na czele, za nimi ustawiłem strzelców i kosynierów w odwodzie, słowem wszystkie wyniosłości dominujące nad Skałą były obsadzone naszymi. Po kilku minutach okazali się kozacy na przeciwległym boku pagórka, lecz dobre ustawienie wojska naszego, świętość naszej sprawy i odwaga żołnierza zaimponowały im, bo jak tylko spostrzegli chorągiew żuawów, cofnęli się w wielkim galopie. Przez całą noc byliśmy na nogach, ale na próżno; Moskale się przelękli, a nie starczyło im odwagi, by się zmierzyć z naszymi. Dzisiaj o 12-tej opuściliśmy Skałę dążąc do Ojcowa, by dokończyć organizację i odpocząć po 3 bezsennych nocach. Na tym się kończą wojenne nasze sprawy. Panie hrabio, oczekuję zawsze posyłkę tak butów, jak i ubiorów. Polecam się patriotyzmowi krakowiaków, żądam od nich plutonu wyekwipowanego i uzbrojonego. Dam narodowi pułk niezwyciężony, bo organizowany. Syn pański dobrze się ma; będę trzymał daną Panu obietnicę. Przypomnieć mnie racz, Panie hrabio, pamięci córek; dajcie im dowód głębokiego mojego szacunku i sami, Panie hrabio, bądźcie przekonani, że moi żuawi i ja są na wasze usługi".

Tymczasem przeciwko oddziałom Kurowskiego ruszył od północy, z Częstochowy, gen. Czernicki z piechotą carską, liczącą 2500 ludzi, a od strony Miechowa – gen. Bagration z kolumną liczącą około 1600 żołnierzy. Kurowski ostatecznie zdecydował o ataku na Miechów, z którego wyszedł gen. Bagration. Powstańcy nie docenili jednak garnizonu miechowskiego – sądzili, że zastaną tam około 400 żołnierzy, a tymczasem garnizon wzmocnił się o dwie kompanie smoleńskiego pułku piechoty pod dowództwem mjr. Niepienina, więc w sumie Rosjanie dysponowali w mieście 800 bagnetami i szablami, a ponadto świetnie orientowali się w poczynaniach powstańców. W tej sytuacji o napadzie nocnym przez zaskoczenie nie mogło być mowy.

Oddział Kurowskiego wyruszył ze Skały 16 lutego po południu. Powstańcy przemykali się wiejskimi drogami, unikając głównych traktów. Po przebyciu około 20 kilometrów w złej pogodzie i ciężkim terenie w nocy dotarli do Czapel Wielkich, gdzie przenocowali. Nad ranem Kurowski ruszył na Miechów. Według relacji Marii Pusłowskiej „maszerowali… prawie bez wypoczynku i jedzenia, tylko śnieg pogryzali. Dochodząc do Miechowa Emanuel był tak wyczerpany, że chwilami zostawał w tyle i prosił kogoś z towarzyszy, żeby mu pozwolił wesprzeć się na jego ramieniu". Natomiast przybyły wtedy z obozu Kurowskiego do Krakowa Łukasz Dobrzański opowiadał, że widział maszerującego Emanuela, o którym mówił: „Nie bójcie się o niego. Nic mu nie będzie, najspokojniej zajadał kiełbasę maszerując".

Przed atakiem Kurowski podzielił swe wojska na dwie części. Pierwsza grupa, pod dowództwem Rochebrune'a, miała zaatakować od strony traktu krakowskiego. Druga część, złożona głównie z kawalerii pod komendą Ludwika Mięty Mikołajewicza i Antoniego Lipczyńskiego, miała obejść Miechów i zaatakować go od tyłu. Jerzy Moszyński przypuszczał, że plan ten był pomysłu Michała Dobrzańskiego, który widział w nim jedyną możliwość pokonania Rosjan.

O szóstej rano 17 lutego rozpoczął się szturm Miechowa. Żuawom przypadło główne uderzenie od drogi krakowskiej, nad którą górował obmurowany cmentarz i kościół św. Barbary. Padające stamtąd salwy rosyjskie zamykały wejście do miasta. Rochebrune wysłał naprzód w tyralierkę dwa plutony pod dowództwem Moszyńskiego i Tomkowicza. Według Rochebrune'a Emanuel poległ pod samym murem cmentarnym, „śmiertelnie raniony kulą w same piersi". Według innej wersji „biegnąc do ataku ranny kulą w nogę, następnie zakłuty bagnetami". Jeszcze inaczej sprawę przedstawił Jerzy Moszyński, który utrzymywał, że idąca za tyralierami zwarta kolumna żuawów zdobyła na bagnety cmentarz i kościółek, tracąc 30 ludzi. Po czym powstańcy dotarli do rynku, gdzie stały główne siły rosyjskie. Tam powitał ich krzyżowy ogień ukrytych po okolicznych domach Rosjan. Rochebrune nie zdołał opanować sytuacji. I w tym właśnie momencie „mając u swego boku mego brata Emanuela i Jana Tomkowicza, zapuścił się z żuawami w ulicę Miechowa ostrzeliwaną z dwóch stron przez zatarasowanych po domach strzelców finlandzkich. Jakim sposobem z życiem wyszedł z tej rozprawy, nie wiem, ale to pewna, że należał do tych, których kule się nie czepiały. U jego boku zginął mój brat, a prawie jednocześnie Jan Tomkowicz".

Sztab Kurowskiego, który stacjonował za miastem, nie wydał ani jednego rozkazu. Drugi oddział pod dowództwem Mięty Mikołajewicza i Lipczyńskiego nie wszedł nawet do walki, tylko przegalopował przez miasto i wy

Okradanie zwłok poległych powstańców przez rosyjskich żołnierzy, ale także i polskich chłopów (!) należało niestety do powszechnych zjawisk w czasie Powstania Styczniowego. Artur Grottger, „Ludzie czy szakale" z cyklu „Wojna". Fot. Polona

eprasa.pl a4a4bdc682

cofał się na Kraków. Niezorganizowany odwrót przerodził się w paniczną ucieczkę. Pomimo iż w bitwie pod Miechowem zginęło tylko 180 ludzi, powstańczy oddział przestał istnieć. Wielu zdemoralizowanych powstańców przybyło do Krakowa, a nieliczni przedostali się do obozu Langiewicza. Po bitwie w Miechowie nastąpiła rzeź, Moskale mścili się na cywilnej ludności, mordując mieszczan i paląc ich domy. Jeszcze tego samego dnia hiobowa wieść dotarła do Krakowa. Pomimo załamania nerwowego Piotr Moszyński postanowił szukać ciała poległego syna. Według Jerzego Moszyńskiego ojciec najpierw „udał się do komendanta krakowskiego korpusu Bamberga, który napisał dla Łukasza i Józefa Dobrzańskich list polecający do rosyjskiego generała Bagrationa. Z listem pojechali oni natychmiast do Miechowa dla otrzymania autentycznych wiadomości o losie mojego brata. W Miechowie zastali tylko zgliszcza, Moskale bowiem mszcząc się za napad powstańców, podpalili miasto. Tylko niektóre domy na rynku ocalały. Wśród tych zgliszczy obozowała pijana tłuszcza sołdactwa rosyjskiego, rozwścieczona do tego stopnia, że czterech oficerów z rewolwerami musiało konwojować Dobrzańskich, żeby ochronić ich życie przed ich krwiożerczością. Poszli na cmentarz, gdzie zastali dwa duże doły, jeszcze nie zasypane, w których złożono około 180 ciał poległych naszych braci, obdartych do naga. Z jednego dołu sterczało spośród trupów ciało Kazimierza Straszewskiego, zupełnie w pozycji stojącej. Żołnierze nie chcieli za żadne pieniądze przerzucać trupów, dla odnalezienia ciała mego brata. Łukasz Dobrzański poznał sterczącą z pomiędzy trupów rękę swego bliźniaka Michała w rękawiczce wojskowej, ale nie chciał go rozdzielać od towarzyszy bohaterskiej jego śmierci". Maria Pusłowska w swojej relacji przedstawiła sprawę odmiennie, podała, iż ojciec osobiście był w Miechowie 19 lub 20 lutego i oglądał wykopany koło cmentarza dół, w którym leżał stos nagich trupów. Z tymi staraniami Piotra Moszyńskiego wiąże się też list jaki do niego napisał po bitwie rosyjski mjr Niepienin. „Wielmożny Panie Dobrodzieju. Na list W. Pana z dnia 19 lutego mam honor donieść, że zastępując miejsce księcia Bagrationa w potrzebie wszelkie starania zwłoki syna Jego wynaleźć za pomocą nadesłanych fotografii – oraz podług rysopisu Tomkowicza i prośbie zadość uczynić, o skutku czego będę miał honor W. Pana zawiadomić". Znany pamiętnikarz galicyjski Kazimierz Girtler napisał, że „po kilku dniach Piotr Moszyński dowiedziawszy się, że tu syn jego poległ, przysłał zaufanego z urzędowymi dokumentami, celem odebrania zwłok jego. Pod strażą wojskową za dobrą zapłatą odrzucono ziemię i przerzucano ciała poległych, lecz te tak już były zmienione, częścią zepsute, zwłaszcza że dni kilka ciepłych zgniliźnie pomogły, iż posłany lubo znał dobrze Emanuela Moszyńskiego, odnaleźć i odróżnić ciała jego nie zdołał. Wtedy duszącą fetorem mogiłę przysypano wapnem i grubiej ziemią nakryto". Krótka zapiska z „Dziennika" z dnia 1 marca 1863 roku zawiera w tej sprawie następującą informację: „Przyjechał ktoś ze strony hr. Moszyńskiego w tamten dzień i za pozwoleniem księcia, zapłaciwszy dobrze ludziom, przekładano trupy, chcąc odszukać ciało młodego Moszyńskiego. Lecz ciała zafermentowały, twarze pokaleczone, członki zrąbane, czarne, czyniły niepodobieństwem, aby z fotografii, jaki miano, odszukać poległego. Próżną była praca, a szyderstwa żołnierzy ohydne". Wydaje się, że fakt ten miał miejsce już 21 lutego po powrocie Bagrationa. W liście Wojciecha Eliasza znajdujemy wzmiankę, że już na trzeci dzień po katastrofie przybył do Miechowa Dobrzański, aby odszukać tam swego poległego brata Michała oraz Moszyńskiego i Tomkowicza, ale mu się nie udało. Aleksandra Czechówna zaś w dniu 21 lutego notowała w „Dzienniku", że Moszyński po uzyskaniu zezwolenia Bagrationa przeznaczył 1000 rubli na odszukanie ciała syna, którego jednak nie odnaleziono „pomiędzy trupami leżącymi dotąd w Miechowie, gdyż te, dostawszy się na pastwę żołnierzy, zostały tak porąbanymi, że w żaden sposób rozpoznać żadnego z nich nie można było". Ze wszystkich relacji wynika, że ciała Emanuela nie odnaleziono i został on pochowany w zbiorowej mogile powstańców w Miechowie.

Jerzy Moszyński, młodszy brat poległego w Miechowie Emanuela. Wnuk Jerzego zginął w bitwie o Monte Cassino. Fot. Wikimedia

Po śmierci umiłowanego syna Piotr Moszyński w liście do Henryka Lipkowskiego 2 kwietnia 1863 roku pisał: „Kto ma wiarę i miłość w sercu, ten przyjmie cios najboleśniejszy z poddaniem się woli Boga i z tym przekonaniem i pociechą, że ta wiara najczystszego poświęcenia, tak w niebie, jak i na ziemi nie zmarnieje, tam nagrodę dla siebie znajdzie, a tu odkupienie dla drugich wyjedna; bo każda kropla krwi, w czystości ducha przelana, przeważa na szali sprawiedliwości brudy i męty tego padołu płaczu".

Również Helena Moszyńska, zalewając się łzami po śmierci umiłowanego brata, pisała do siostry Marii: „myślę, że niedługo Bóg zlituje się nad nami i przyjmie jako ofiarę tyle krwi niewinnej wylanej za Polskę, bo gdyby nie to, że Emanio zginął za naszą ojczyznę, to bym to zupełnie inaczej przyjęła". Tragiczna śmierć Emanuela położyła się smutnym cieniem na dalszych losach rodziny.

eprasa.pl a4a4bdc682

PRENUMERATA NA ROK 2020

KTO CZYTA WPIS, ROZUMIE WIĘCEJ!

Miesięcznik „Wpis" już od dziesięciu lat pozostaje wierny swym założeniom i przedstawia Czytelnikom podstawowe wartości, a więc wiarę, patriotyzm i sztukę.

Charakter czasopisma, papier i jego format pozostają takie same.
Cena detaliczna 1 egz. razem z VAT – 7,90 zł.
Jednorazowa opłata za roczną prenumeratę wynosi zaledwie 89 zł z dostawą.
Prenumeratorzy „Wpisu" mają także duże zniżki na wszystkie książki Białego Kruka, otrzymują zaproszenia na uroczyste spotkania z wybitnymi autorami oraz osobami naszego życia kulturalnego i religijnego. Objętość – średnio 100 str.

Są różne formy prenumeraty i różne jej ceny. Niezmiennie jednak
wraz ze wzrostem liczby zamówionych egzemplarzy znacznie maleje cena pojedynczego egzemplarza. Zamów również dla rodziny i znajomych.

Cena wraz z dostawą do domu

1 komplet	–	1 x 12 numerów w roku	(1 egz. 7,41)	**89 zł**
2 komplety	–	2 x 12 numerów w roku	(1 egz. 5,38)	**129 zł**
3 komplety	–	3 x 12 numerów w roku	(1 egz. 4,14)	**149 zł**
4 komplety	–	4 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,73)	**179 zł**
5 kompletów	–	5 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,73)	**224 zł**
6 kompletów	–	6 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,46)	**249 zł**
7 kompletów	–	7 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,46)	**290 zł**
8 kompletów	–	8 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,46)	**331 zł**
9 kompletów	–	9 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,42)	**369 zł**
10 kompletów	–	10 x 12 numerów w roku	(1 egz. 3,42)	**410 zł**
50 kompletów	–	50 x 12 numerów w roku	(1 egz. 2,99)	**1799 zł**

Można zamawiać inne ilości.
UWAGA: przy powyższych cenach egzemplarze są wysyłane pod jeden wskazany adres.

ZAPROPONUJ PRENUMERATĘ WPISU RODZINIE I ZNAJOMYM

PRZY ZAMÓWIENIU PRENUMERATY W MARCU DOŁĄCZAMY RÓWNIEŻ NUMERY STYCZNIOWY, LUTOWY, MARCOWY I KWIETNIOWY.

Dodatkowe informacje można uzyskać pod numerami tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19, 12/254 56 26

eprasa.pl a4a4bdc682

„Nie zrażaj się, jeśli w Biblii czegoś nie zrozumiesz”

Romana Brandstaettera wznoszenie człowieka ku Bogu

Czesław Ryszka

Kapłani zachęcają nas, aby w bolesnym czasie pandemii koronawirusa przeżyć także duchowe rekolekcje. Z pewnością jest to też okazja, aby sięgnąć do Pisma Świętego i przekonać się, co dzisiaj, w tej konkretnej sytuacji, mówi do nas Słowo Boże. Pomocą może być nam w tym twórczość Romana Brandstaettera (1906–1987), poety, powieściopisarza, dramaturga i eseisty. Trudno ogarnąć ją jednym spojrzeniem, ale istnieje jeden klucz, którym można ją otworzyć – to właśnie Biblia.

Pradziad pisarza, Abraham Dawid, pochodził z sefardów, należał do gorliwych chasydów i był zwolennikiem dynastii cadyków z Góry Kalwarii. Dziadek zaś był współpracownikiem wiedeńskiego miesięcznika literackiego „Haszachar”, autorem dwóch tomów opowiadań i nowel. Na kilka dni przed śmiercią rzekł do 22-letniego wtedy Romana, studenta polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i autora debiutanckiego tomiku poezji: „Będziesz Biblię nieustannie czytał, będziesz ją kochał więcej niż rodziców, więcej niż mnie, nigdy się z nią nie rozstaniesz. A gdy się zestarzejesz, dojdziesz do przekonania, że wszystkie książki, jakie przeczytałeś w życiu, są tylko nieudolnym komentarzem do tej jedynej Księgi”. Stało się tak, jak powiedział.

Nawrócony Żyd

Roman Brandstaetter wychował się w domu, w którym żywa była tradycja Starego Testamentu, toteż jego przygoda z Biblią zaczęła się już we wczesnym dzieciństwie. Dziadek, który uczył go kochać Biblię, wyjaśniał kwestie historyczne i odkrywał ich znaczenie w planach Bożych, a także matka, która na tekście Pisma Świętego uczyła go czytać i pisać po polsku, wpoili mu miłość i cześć dla Biblii. Dzieciństwo było zatem okresem duchowego rozwoju przyszłego pisarza. Już składając pierwsze wyrazy i stopniowo poznając świat, łączył jego piękno z aktem stworzenia opisanym w pierwszych wersetach Księgi Rodzaju.

„Biblia jest Księgą Życia” – mówił mu dziadek, zapisując imiona zmarłych członków rodziny na marginesach Księgi. Zniszczone egzemplarze Biblii Żydzi grzebali na cmentarzu z całym ceremoniałem pogrzebowym w przekonaniu, że „Co ziemskie, wróciło do ziemi, co Boskie – do Boga”.

Fascynująca jest droga Romana Brandstaettera do poznania Chrystusa. Będąc w Palestynie w 1935 r., chodził drogami Jezusa, szukając Jego śladów… Nic nie znalazł, bo ślady pozacierali ludzie, którzy wybudowali na nich wspaniałe świątynie. Ogarnęło go zniechęcenie. Przemówić musiał sam Chrystus.

Podczas II wojny światowej Roman uciekał z Tarnowa przez Kraków i Warszawę, Litwę i Moskwę do Jerozolimy, ojczyzny swych praojców. Wokoło panowała przerażająca zawierucha wojenna, Hitler mordował jego braci. W owym czasie pisarz pracował w centrali Biura Polskiego Agencji Telegraficznej. W wolnych chwilach stawał pod osłoną gwiaździstej palestyńskiej nocy i snuł rozważania o żywym słowie Ewangelii – o Jezusie. Chrystus był obecny w krajobrazie tej ziemi, albo też inaczej: ziemia ta była materialnie obecna w historii ewangelicznej. To była ziemia biblijna, która kształtowała wypowiedzi autorów Pisma Świętego, ich psychikę i charakter, wygląd i sposób bycia – od Abrahama do Jezusa. Chrystus, wędrując ongiś po galilejskich wsiach, wdychał ten sam zapach, podziwiał to samo pięknie rozgwieżdżone niebo, pływał z rybakami po jeziorze Genezaret… Doprawdy, mógłby podobnie żyć tu i dzisiaj.

Brandstaetter czuł się w owej biblijnej aurze niczym Nikodem – zaczynał wierzyć w Boskość Chrystusa. Ale jeszcze chodził w ciemności, jeszcze nie ogarnęły go słowa: „jeśli się kto nie narodzi na nowo”. Pewnej nocy wśród gazet walających się po pokoju zauważył kopię rzeźby Ukrzyżowanego. Po latach nazwie tamto wydarzenie smugą najwspanialszego światła, jakie widział w swoim życiu: „Idąc tej nocy do pracy, nie przypuszczałem, że będzie to noc jedyna w swoim rodzaju, że podczas jej krótkiego trwania nie tylko ujrzę z oślepiającą wyrazistością sens mojego życia, ale nieoczekiwanie dokonam wyboru pod auspicjami postaci, której współudziału w mojej decyzji nigdy nie przewidywałem”. Ową wspaniałą postacią, która tak oczarowała pisarza, był Jezus z Nazaretu. To oczarowanie miało głębokie rodzinne korzenie.

Emaus przeżył autor w Zebrzydowicach, wracając w 1947 r. z wojennej tułaczki. Stało się to właściwie zwyczajnie. Kiedy wysiadł z pociągu, w restauracji dworcowej wziął do ręki polski chleb. Wtedy, jak grom z jasnego nieba, uderzyły go słowa i czynności Jezusa w Emaus – przy stole Go przecież rozpoznali podczas łamania chleba. Było to dla Romana ogromne przeżycie, wielkie wzruszenie, znak z Ewangelii. Od tego czasu refleksja o Starym Testamencie związała się u niego nierozłącznie z Nowym. W *Kręgu biblijnym* pisał: „Dla mnie Bogiem obu Testamentów jest Chrystus, a całe Pismo Święte życiorysem własnym Boga, który napisał o sobie opowieść w dwóch nierozłącznych częściach. Każda próba ich rozdzielenia – ta dokonana rozmyślnie i ta wynikająca z nieuctwa – zubaża Boga o całą Jego Boskość”.

Przewodnik po Biblii

Dokumentem drogi autora do Chrystusa – ale nie tylko – jest *Krąg biblijny*, swego rodzaju przewodnik po Biblii. Książka ta uczy czytać i rozumieć wydarzenia biblijne, żyć według Pisma Świętego, zapisywać na jej marginesach własne

eprasa.pl a4a4bdc682

przeżycia i tworzyć w ten sposób swój dziennik duszy.

Jak zatem czytać? Słowa Pisma Świętego zawierają tajemnice, a do tajemnicy wiedzie wiele dróg. „Niekiedy czytaj z mędrca szkiełkiem i okiem, badaj uważnie każde słowo tekstu, innym zaś razem popuść wodze wyobraźni i rozważaj z bystrością nieco mniej badawczą i wyostrzoną, ale za to z sercem otwartym, wypadki dziejące się na kartach księgi – pisze Roman Brandstaetter. – Za każdym razem odnajdziesz w tych fragmentach inne wartości (…). Nigdy jednak nie bądź pewny, że dotarłeś do właściwego jego sensu (…). Biblia jest żywiołem bez dna i granic. Nikt z badaczy, egzegetów, teologów, uczonych i pisarzy nie dotarł do jej najgłębszych źródeł. Dlatego nie zrażaj się, jeśli w Biblii czegoś nie zrozumiesz (…). Biblia jest podobna do Boga. Nie pozwala, by ją poznawano i zgłębiano do samego dna”.

Czytanie Pisma Świętego jest również modlitwą wyobraźni. Można modlić się, ożywiając krajobrazy, wioski, pola i doliny, po których wędrowały za Jezusem tłumy ludzi. Można jakby „na żywo” słuchać przypowieści Jezusa, śledzić z zapartym tchem Jego czyny, iść tuż za Nim z torbą podróżną i laską w ręku, można stać w tłumie gapiów, gdy On przechodzi otoczony gronem Dwunastu, przejeżdża na osiołku witany przez rozentuzjazmowany tłum, gdy ciężko wlecze się z krzyżem…

Tetralogia o Jezusie

Roman Brandstaetter, autor fenomenalnej powieści o Chrystusie, został porwany do „siódmego nieba” Biblii. A takich przeżyć nie można zatrzymać już tylko dla siebie. Pisarz, pragnąc przełamać zwyczaje katolickich domów, w których na półce leży Pismo Święte, ale nikt z domowników nie sięga po nie, napisał powieść *Jezus z Nazarethu*. W 1967 r. ukazał się *Czas milczenia* – pierwszy tom tego ogromnego, czterotomowego przedsięwzięcia (tetralogii), w którym Brandstaetter zamknął wszystkie swe dotychczasowe doświadczenia literackie i religijne. Tom drugi, *Czas wody żywej* ukazał się w 1969 r., trzeci – *Czas chleba i światła* w 1971 r., a czwarty – *Pełnia czasu*, w 1973 r.

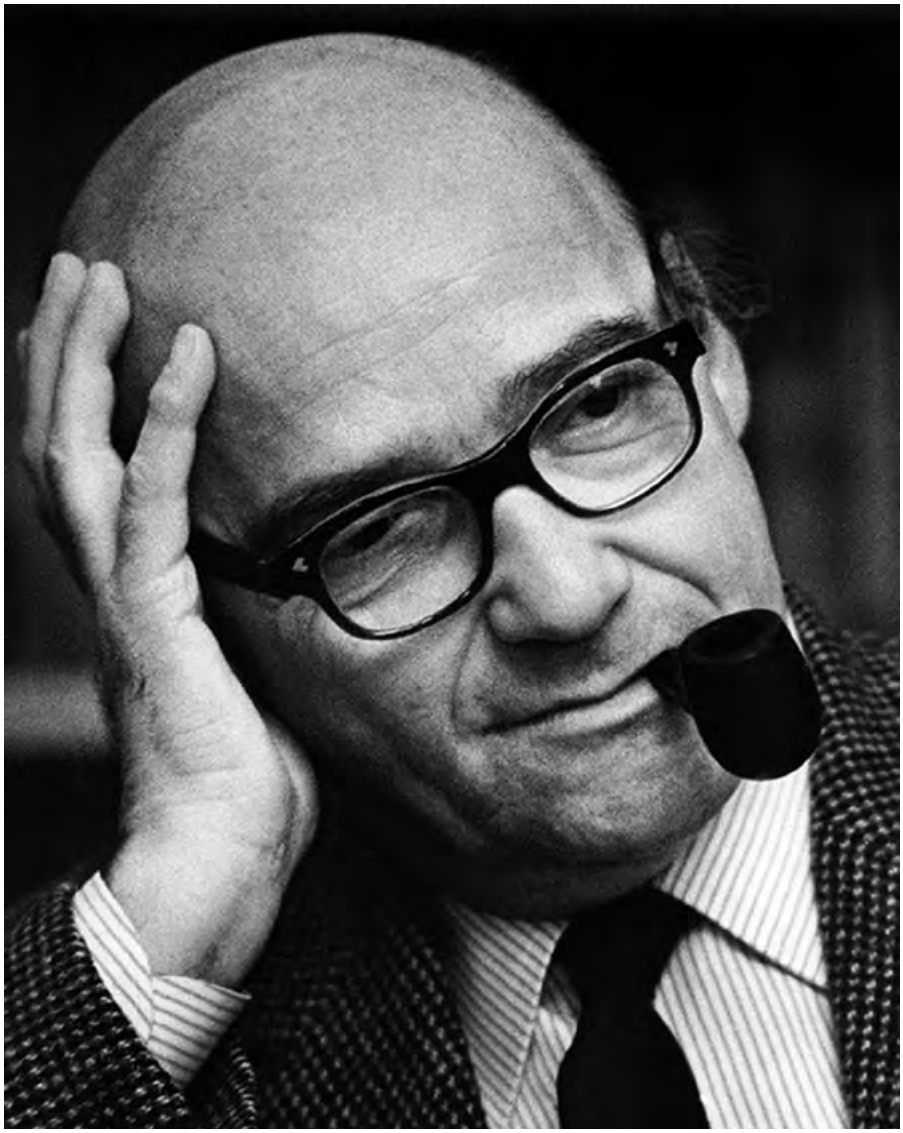

Wybitny polski poeta, dramaturg i tłumacz Roman Brandstaetter.

Pisarz mówił o dziewięciu latach nieustannego zmagania się z nieumiejętnością kształtowania wizji Chrystusa. Musiał sobie poradzić z pytaniami-problemami, jak oddać to, co niewyobrażalne i nieskończone w skończonej formie, jak ukazać paradoksalność osoby Bosko-ludzkiej oraz naturalności przechodzącej w nadnaturalność, absolutu wtopionego w znikomość, wieczności wpisanej w przemijanie, harmonii wpisanej w nieład. Trudność dwoistości natury Jezusa pokonuje autor na różne sposoby, przede wszystkim za pomocą języka, stosując antytezy, używając oksymoronów, gromadząc paradoksy. Czytamy w powieści *Czas wody żywej*, że Jezus „szedł w świadomości równoczesnoróżnej, ale współdziałającej, zależnosamodzielnej, ale jednomyślnej i wspólnoodrębnej, ale zgodnej, szedł Niewidzialny i Prawieczny, a zarazem widzialny i doczesny, Wszechmocne Bóstwo i ludzkie ubóstwo w Jedności”.

Spotkanie Jezusa ze światem, z przedmiotami, z codziennością wprowadzało do Jego świadomości jakby smutek, rozczarowanie. Musiał nieustannie pamiętać o swoim ziemskim ciele, o jego widzialności, o wzajemnym przenikaniu się obydwu swoich wymiarów. Mimo że znał ten świat od prapoczątku, musiał poznawać go od nowa. Na wszystko, co zewnętrzne, nakładały się dwa spojrzenia: ludzkie oraz współgrające ze spojrzeniem Elohim – Boskie.

To prawda, że autor starał się zachować maksymalną ostrożność w stawianiu tez i hipotez, maksymalną wierność przekazowi Ewangelii. Dbając o ścisłość historyczną, nie włożył w usta Chrystusa swoich własnych słów w żadnym z czterech tomów swej powieści. Są jednak w dziele Brandstaettera warstwy apokryficzne – jakoś należało Ewangelie dopełnić, przede wszystkim zaś opisać 30 lat życia Jezusa w ukryciu. Mamy więc w utworze sceny prawdopodobne, np. pobieranie nauki u Chazana, który odczuwał pewne onieśmielenie, gdy Jezus z nim dyskutował. To było dla nauczyciela nieprawdopodobne doświadczenie, ponieważ Jezus znał przyszłość oraz wygłaszał poglądy, które nie mieściły się w umysłach Żydów. Jego interpretacja zbawienia obejmowała zarówno Żydów, jak i pogan, czego Chazan w żaden sposób nie mógł pojąć.

Modlitwy w synagodze, stosunek Jezusa do Matki, zwyczaje religijne…

eprasa.pl a4a4bdc682

Giotto di Bondone, „Ofiarowanie płaszcza ubogiemu rycerzowi". Jeden z fresków poświęcony żywotowi Biedaczyny Bożego z bazyliki świętego Franciszka w Asyżu. Fot. Wikimedia

– o tym wszystkim Ewangelie nie mówią, natomiast w powieści Romana Brandstaettera mamy tym sprawom poświęcone długie rozdziały. Pisarz jednak nie zmyśla ani nie fantazjuje. Każdą scenę czy obraz związane z Chrystusem można zestawić z faktami historycznymi, udowodnić ich prawdziwość za pomocą argumentów psychologicznych, egzegetycznych, kulturowych. Jako „narodzony z niewiasty" Jezus dojrzewa stopniowo do swojej Boskości i do misji Mesjasza. Obserwuje życie i zbiera doświadczenia, które później zaowocują w latach Jego działalności misyjnej. Widzimy, jak Jezus pracuje w winnicy, poznaje pracę najemników, jest świadkiem równej zapłaty za nierówną pracę… W domu słyszy wieści ze świata, np. o tym, że ktoś znalazłszy w ziemi skarb sprzedał wszystko i ową ziemię nabył. Obserwuje złość ogrodnika na nierodzącą od trzech lat figę. Wieczorami Jezus opowiada swoje przygody Józefowi. Utrwalają się w Nim przeżycia i doświadczenia, które później wykorzysta w przypowieściach. Nawet przypowieść o synu marnotrawnym – według powieści Romana Brandstaettera – nie powstała tylko w umyśle Jezusa, ale wydarzyła się w winnicy, w której pracował.

Brandstaetter nie opisuje Jezusa jako tylko widzianego z zewnątrz. Nie jest jednym z tłumu, który otacza tego nadzwyczajnego Człowieka. Jezus jest bohaterem książki w pełnym tego słowa znaczeniu. Narrator interpretuje i tłumaczy Jego życie zewnętrzne i wewnętrzne, ocenia całość Jego działalności i nauczania, zna doskonale czasy, które poprzedzały przyjście Mesjasza. Jezus jest główną postacią Nowego Testamentu, ale oczekiwania i tęsknoty za Mesjaszem przepajają też karty Starego Testamentu. Pisarz wiedział o tym, stąd jego nadzwyczajna znajomość i posługiwanie się Księgą Ksiąg jako całością. Jezus wypełnia Objawienie. Stary Testament został wtopiony w Nowy.

Ewangelie nie są książką historyczną, próżno w nich szukać szczegółów z życia Jezusa, wiele podanych faktów jest bardzo niejasnych. Jak wspomina Brandstaetter, ogromną trudność sprawiło mu odtworzenie procesu Jezusa. Dlaczego tak szybko Go osądzono, skazano i wykonano wyrok? Było to niezgodne z przepisami żydowskiego prawa karnego. Po długich badaniach pisarz doszedł do wniosku, że Jezusa sądzono z zastosowaniem ustawy wyjątkowej – Horaath Szaah – dotyczącej stanu wyjątkowego zagrożenia religii. Tylko w ten sposób mógł Kajfasz umotywować przed Sanhedrynem pośpiech, nocny sąd, błyskawiczne oskarżenie i wyrok. Wydanie wyroku jednak należało do Piłata, rzymskiego prokuratora sprawującego władzę cywilną. Jezus zginął jako przestępca polityczny, a nie religijny – tak ukazał sprawę Kajfasz. Rekonstrukcja procesu Jezusa w powieści stanowi przykład ogromnej erudycji oraz intuicji pisarskiej. Podobnie Brandstaetter rozwiązuje czy dopowiada wiele scen jedynie wspomnianych w Ewangeliach, uzupełniając je wspaniałymi, psychologicznymi opisami, przydając im racji intelektualnych, religijnych. Tak ma się choćby sprawa z powołaniem Apostołów, spotkaniem Zacheusza na drzewie czy zdradą i śmiercią Judasza.

Odautorskie uzupełnienia towarzyszą w powieści także cudom. Zamiarem Brandstaettera, jak się wydaje, było między innymi ich uwiarygodnienie. Z pewnością udany jest sam zamysł: cuda dzieją się jakby w Jezusie, wewnątrz Jego Bosko-ludzkiej natury. Wyjaśnienie zjawisk nadprzyrodzonych, jakie proponuje pisarz, zdumiewa. Jest w tym bowiem i wykorzystanie praw fizykochemicznych, i miejsce dla tajemnicy – dla tej ostatecznej niewiadomej, która rozgrywa się w człowieku. Cud musi czemuś służyć, coś objawiać. I tak np. cud uciszenia burzy był dla Apostołów lekcją pokory, uświadomieniem ich niemocy, strachu, słabości w chwilach próby. Cuda Jezusa Brandstaetter próbował pogodzić z wymogami ludzkiego prawdopodobieństwa, z prawami psychologii, medycyny… Tak ma się rzecz ze wskrzeszeniem Łazarza, uzdrowieniem ślepca czy paralityka. Podobnie też scena kuszenia Jezusa na pustyni stanowi przykład pokonania trudności, zdawałoby się nie do pokonania. Pisarz wykorzystał rytuał wypędzenia na pustynię kozła ofiarnego, na którego Kajfasz usiłował przelać grzechy Izraela. Nie ma w tej scenie udziwnień. Kuszenie ma charakter monologu wewnętrznego. Spierają się w Jezusie ze sobą dwie natury – jasna i ciemna, Jezus i Jego sobowtór.

Żyć po chrześcijańsku

Warto zwrócić uwagę na epilog książki, niezwykle ważny, zmienia on bowiem panoramę patrzenia na Jezusa i Jego epokę, z książki historycznej czyni tekst współczesny. Poprzez epilog powieść Brandstaettera przełamuje czasową odległość dwóch tysięcy lat dzielących fabułę od chwili bieżącej. Czytamy w nim: „Starzec westchnął. Przystanął. Usiadł na przydrożnym głazie. Zamyślił się. A był on praojcem tego, który tę powieść o Jezusie z Nazarethu napisał, 31 grudnia 1972".

eprasa.pl a4a4bdc682

Narrator ujawniając siebie, swój rodowód, zmusza niejako czytelnika do opowiedzenia się po stronie wspólnego rodowodu. Powieść o Jezusie, epopeja o zanikającej żydowskiej kulturze religijnej, pomnik dziejów narodu wybranego, stanowi zarazem rodowód chrześcijaństwa, ponieważ – jak powiedział papież Pius XII – my wszyscy jesteśmy z ducha semitami.

Pisarstwo Brandstaettera, autora kilkunastu dramatów, wielu tomików poezji, esejów o św. Franciszku, a przede wszystkim tłumacza i popularyzatora Biblii, jest mocno osadzone w katolickiej teologii. W każdej książce pisarz kładzie nacisk na zagadnienia moralne, na moralną odbudowę i przebudowę człowieka. To, co pisze, jest może trudne, sięgające do mało znanych wątków biblijnych czy antycznych, stanowi jednak propozycję przeżyć głęboko religijnych.

Generalnie można stwierdzić, że Brandstaetter był pisarzem moralistą, próbującym przeciwdziałać degrengoladzie etycznej współczesnych czasów. Czynił to za pomocą swoistej ewangelizacji społeczeństwa, poprzez propagowanie myśli biblijnej. Zabrał się nawet do przetłumaczenia Nowego Testamentu. Co w tych tłumaczeniach jest najbardziej charakterystyczne? Świeży, współczesny język oraz konstrukcja wierszy biblijnych, układanych w tzw. słupek. To świadomy zabieg, dzięki któremu tłumacz może uwydatnić wizualnie akcenty i tempa w zdaniu, wartości intonacyjne wersetu, co wzbogaca tekst. Jak wiadomo, Pismo Święte było pierwotnie przekazywane ustnie, a przekaz ten opierał się na specjalnych akcentach i intonacji, na wrażeniach słuchowych, dlatego należy je – według pisarza – w jakiś sposób wyeksponować.

Troskę o powszechny dostęp do Biblii tłumaczył Brandstaetter swoją wiarą i przywiązaniem do chrześcijaństwa: „Jestem pisarzem usiłującym rozwiązać trudności swojej egzystencji za pomocą ewangelicznych prawd, które są źródłem mojej wiary i inspiracji twórczej, i dlatego powinny być sprawdzalne w historycznym doświadczeniu świata. Tu jednak wyłania się trudność, albowiem pragnienie moje zdeterminowane jest świadomością, że chrześcijaństwo nie weszło jeszcze w stadium realizacji, że jesteśmy dopiero – w najlepszym wypadku – na samym jego początku. Mimo upływu dwóch tysięcy lat nikt z nas nie może powiedzieć z czystym sumieniem, że jest chrześcijaninem. Żyć po chrześcijańsku, znaczy być osobowością całkowicie ukształtowaną przez Ewangelię, a któż z nas – szarych, zwyczajnych ludzi – może to o sobie powiedzieć? Chrześcijaństwo w swoim założeniu nie jest przeznaczone ani dla herosów, ani dla ludzi wybranych, lecz dla zwyczajnych zjadaczy chleba”.

Jan Paweł II na wiadomość o śmierci Brandstaettera, w telegramie do abp. Jerzego Stroby, napisał: „Pisarstwo Romana Brandstaettera było w całości wyrazem biblijnej i Bożej nadziei. Owej mocy duchowej, która wyróżnia prawdziwych chrześcijan, mocy, która przebija się i zwycięża ciążenie natury skażonej grzechem, by mocą natchnienia i łaski wznieść siebie i innych ku Bogu. Roman Brandstaetter tak dźwigał nie tylko siebie, dźwigał nas wszystkich, swoich czytelników. Przez całe życie pielgrzymował i szukał dla siebie miejsca w Kościele, w literaturze, w środowisku, w świecie. Znajomość Tradycji, ojczyzny Chrystusa, a przede wszystkim świadoma przynależność do narodu wybranego, pozwalały mu tworzyć w oparciu o realia Wcielenia się Boga”.

Chociaż napisał kilkadziesiąt utworów, wydał wiele tomów wierszy, do historii literatury i historii chrześcijaństwa przejdzie głównie jako autor tej jednej – czterotomowej epopei o Chrystusie.

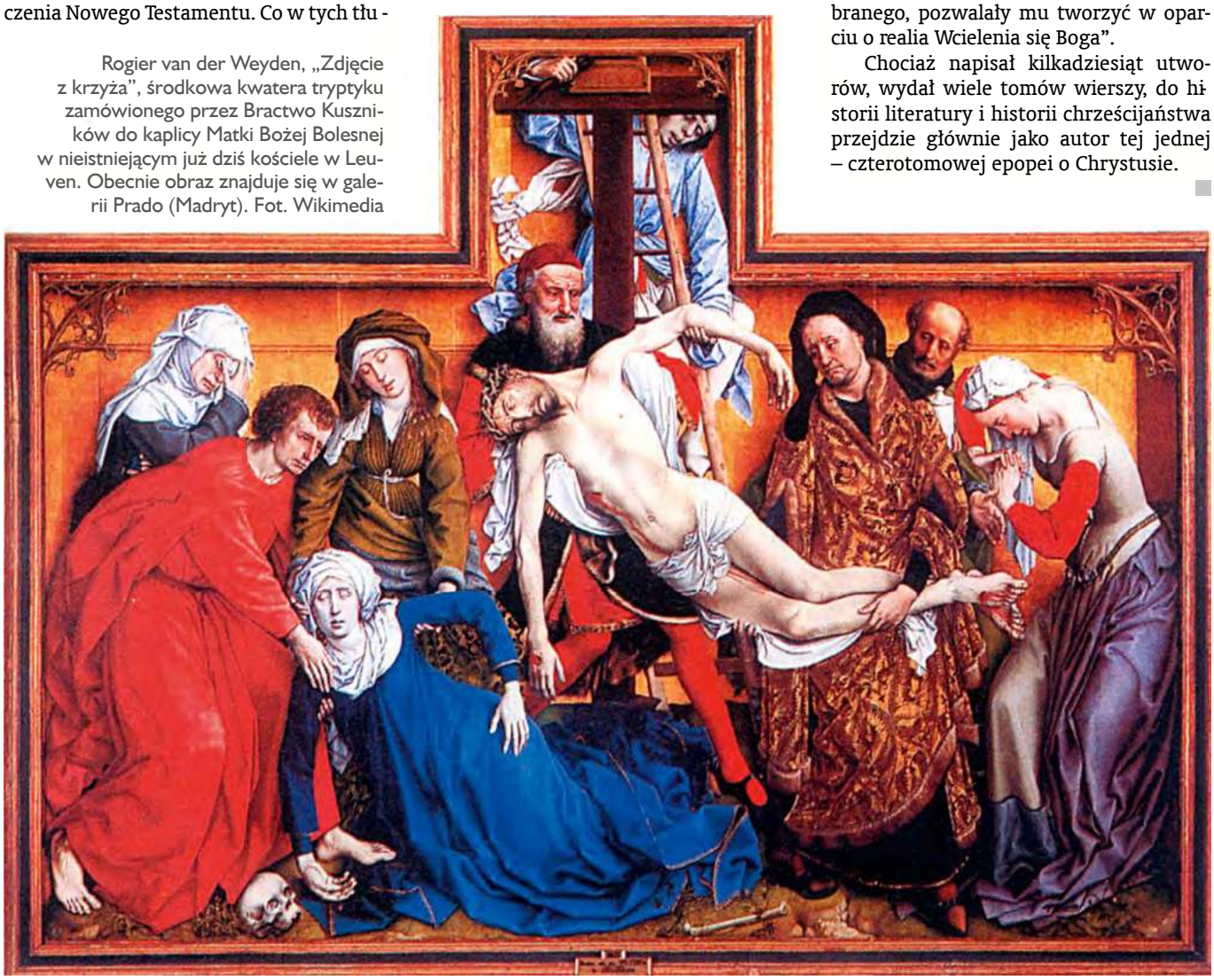

Rogier van der Weyden, „Zdjęcie z krzyża”, środkowa kwatera tryptyku zamówionego przez Bractwo Kuszników do kaplicy Matki Bożej Bolesnej w nieistniejącym już dziś kościele w Leuven. Obecnie obraz znajduje się w galerii Prado (Madryt). Fot. Wikimedia

eprasa.pl a4a4bdc682

Zbigniew Czop, „Cracovia genius loci". Ten inspirowany barokowymi wedutami miedzioryt w znakomity sposób oddaje charakter prastarego grodu Jagiellonów. Fot. Wikimedia

Kraków – miasto pielgrzymek (1)

Wielka scena narodowego spektaklu

Prof. Ryszard Kantor

Gdy do Krakowa przybywają liczni turyści, w tym z zagranicy, czasami wzbudzają zainteresowanie krakowian ze względu na ekscesy, które wyczyniają na krakowskim Rynku i w jego okolicach. Przyjeżdżają również rodacy, w szczególności grupowo młodzież szkolna, zwłaszcza w sezonie wiosenno-letnim. Te wędrujące po mieście grupy robią niekiedy wrażenie zagubionych, nudzących się, wręcz zmuszonych do zwiedzania kościołów, Wawelu czy muzeów. Zdają się swoim zachowaniem sugerować, że bardziej atrakcyjnym miejscem dla nich byłaby pizzeria lub lodziarnia. Ta masowa turystyka, zwłaszcza młodzieżowa, często bywała przedmiotem krytyki, tematem artykułów publicystycznych, w których ganiona była nieumiejętność opiekunów wzbudzenia u przybyszów zainteresowania patriotycznymi treściami zabytków Krakowa. Uczestnicy wycieczek nazywani byli niekiedy przez krakowian złośliwie i niesprawiedliwie, bo przecież wielu autentycznie interesowało się naszym miastem i jego wspaniałą przeszłością, „stonką".

To dosadne określenie stanowi rodzaj komentarza, ocenę stopnia degradacji zjawiska, które narodziło się w początkach XIX w., w okresie ok. 1870–1914 przybrało wybujałe formy, by po pierwszej, a zwłaszcza po drugiej wojnie światowej skarleć. Zjawisko to określa się często mianem „pielgrzymowania" do Krakowa.

„Pielgrzymowanie" do Krakowa było wynikiem nie tylko społecznie uznanej roli tego miasta jako centrum polskości z racji jego tradycji, stopnia ich zachowania i możliwości kultywowania, na co złożyły się – od połowy XIX w. – swobody kulturalne i narodowe Galicji; tzw. autonomia galicyjska. Było również efektem czegoś, co określam teatralizacją dawnej stolicy Polski. Uważam, że Kraków stał

eprasa.pl a4a4bdc682

się w XIX w. wielką sceną narodowego spektaklu, którego łaknął zniewolony naród. Spektaklu, którego sceną było całe miasto, jego szczęśliwie zachowana architektura i trudny do uchwycenia, lecz bez wątpienia istniejący duch, określany niekiedy jako *genius loci*.

Spektakl odwoływał się do wspaniałej przeszłości – niósł zatem przede wszystkim treści historyczne. Adresowany był do całego społeczeństwa polskiego, w tym także do warstw niższych, szczególnie do chłopów, dopiero aspirujących do roli znaczącej części polskiego narodu. Skutkiem pielgrzymek do Krakowa było gromadzenie się w mieście widzów owego przedstawienia i jednocześnie jego aktorów. Był to bowiem spektakl głęboko angażujący wszystkich uczestników, rodzaj psychodramy narodowej. Poza masowością – oczywiście względną, mierzoną wczorajszą, a nie dzisiejszą miarą – miał on jeszcze inne cechy godne uwagi: oferowano w nim treści ułatwione w odbiorze (historia występowała w roli służebnicy narodowej dydaktyki), pomysły inscenizacyjne, dość szeroko rozumiane ze względu na adresata i niekiedy dość infantylne, oraz zbiorowe przeżycie. Wspólnota uczestnictwa była równie ważna. W sumie dominowała emocja nad re sją, choć ta oczywiście także była obecna, oraz gest nad słowem. Uczestnictwo w narodowym spektaklu stawało się rytuałem wynikającym z obowiązku Polaka patrioty, stanowiło dobitny wyraz przynależności do narodowej wspólnoty.

Gdy niegdyś Polak do Krakowa „pielgrzymował", przeżywał to miasto, a w nim historię swojego narodu, to dziś najczęściej co najwyżej je zwiedza. Dziś, co trzeba stwierdzić z ubolewaniem – wspaniałe, nieco nadgryzione zębem czasu dekoracje pozostały, duch z nich jednak uleciał. Nie ma już tamtych emocji ani przeżyć, przed oczami widza nie toczy już się narodowy spektakl. Współczesna masowa turystyka, współczesne zwiedzanie Krakowa nie mają już prawie nic wspólnego z „pielgrzymką" w sensie świeckim, bo religijne pielgrzymki do Krakowa, np. do Łagiewnik, to osobne zjawisko. Wyparował duch *sacrum*, na dalszy plan zeszły treści ideowe, które niegdyś łączyły się z formą opisywanego zjawiska. Przykre to, ale prawdziwe.

Zamiast biadać, spróbujmy prześledzić drogę, jaką przebył Kraków od roli mało czcigodnej ruiny do świątyni narodowej.

Upadek dawnej Rzeczypospolitej w XVIII w. zbiegł się nie bez przypadku ze stanem upadku jej niegdysiejszej stolicy. Z ludnego, bogatego, mającego poważne znaczenie handlowe, polityczne i kulturalne miasta stał się Kraków wyludnioną i rozpaczliwą w swym upadku ruiną. „Nie było w mieście – pisał historyk Stanisław Wachholz – ulicy, przy której nie znajdowałoby się po kilka domów niezamieszkałych, bez okien, drzwi, z dachami jak rzeszoto. Z izb przyziemnych (parterowych) widziało się czasem niebo, a dokonujący oględzin budynku urzędnik narażał wręcz życie, bo kawałki stropu obrywały się przy lada wstrząsie". Tak więc Kraków pod koniec XVIII w. i w początkach wieku XIX był zaiste „miastem zubożałym i podupadłym, odartym ze swej dawnej świetności i znaczenia".

Materialna ruina korespondowała ze stanem świadomości mieszkańców. Mało troszczono się o zabytki Krakowa. Okres pierwszej okupacji austriackiej (1795–1809) zapisał się pewnymi działaniami na rzecz ekonomicznego podniesienia miasta (ustabilizowano jego budżet o dodatnim saldzie!), lecz jednocześnie był to okres zacierania śladów przeszłości, śladów niepodległego bytu. Zapoczątkowano w tym okresie wyburzanie ruin, z których czerpano materiał budowlany. Spowodowało to utratę wielu zabytków, kilkunastu kościołów i klasztorów oraz budynków świeckich. Bardzo niekorzystnym zmianom uległo również Wzgórze Wawelskie. Zamek królewski został przeznaczony na koszary i poddany brutalnym przeróbkom, w zachodnim jego skrzydle urządzono szpital wojskowy. Katedra stała się kościołem garnizonowym, a dwa stare, położone na wzgórzu kościółki – św. Jerzego i św. Michała – zburzono. Dziś oglądać możemy jedynie zarysy ich fundamentów.

Zapoczątkowane za czasów pierwszej okupacji austriackiej burzenie murów miejskich kontynuowano beztrosko w okresie Księstwa Warszawskiego. Przeważała opinia o konieczności wyburzeń źle zachowanych budynków, jedynie nieliczni zwracali uwagę na związek usu-

Katedra na Wawelu od strony ul. Podzamcze, widoczne wieże: Zegarowa i Zygmuntowska. Od czasów zaborów katedra jest uważana za prawdziwy panteon narodowy.
Fot. Adam Bujak

eprasa.pl a4a4bgc632

wanych budowli z dziejami kraju, a tym samym na konieczność ich restauracji i zachowania dla potomności. Idea ochrony zabytków przeszłości była wtedy jeszcze w powijakach. Dopiero w okresie istnienia Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815–1846), tej namiastki polskiego państwa, idea owa znalazła wpływowych zwolenników i doczekała się, nie bez oporów, realizacji. Realizacji niezwykle ważnej z punktu widzenia Krakowa jako świątyni narodowej. Udało się wtedy uchronić od wyburzenia resztki murów miejskich; znane są w tym względzie zasługi Feliksa Radwańskiego (1789–1861), architekta i malarza. Dokonano renowacji murów, a także odrestaurowano Barbakan. Cały ten kompleks udanie wkomponowano w nowy układ urbanistyczny Krakowa, w którym dominującą funkcję pełnią do dziś Planty – „szmaragdowa kolia na piersiach miasta".

Walka między „burzymurkami" a miłośnikami zabytków, usiłującymi ratować je dla potomności, toczyła się przez dziesięciolecia ze zmiennymi wynikami. Początkowo, jak już wspomniałem, górę brali zwolennicy wyburzania – „ludzie Oświecenia" zdecydowanie wrodzy gotykowi, który dominował w starym Krakowie. Zgodnie z ich smakiem estetycznym średniowieczne mury miejskie, kościoły i kamienice bez żalu zastępowano modnymi budowlami klasycystycznymi. Dopiero romantyzm spowodował stopniowy zwrot ku przeszłości, ku wiekom średnim i ich stylowi. Ta zmiana gustów miała niebagatelne znaczenie dla uratowania sporej części średniowiecznej architektury Krakowa. Zdarzały się też skandaliczne decyzje rajców miejskich i to już w czasach, gdy – zdawało się – idea ochrony zabytków święciła triumfy. Wyburzenie w 1892 r. średniowiecznego kompleksu szpitala św. Ducha tak rozsierdziło Jana Matejkę, że demonstracyjnie zwrócił (wraz z berłem) tytuł honorowego obywatela miasta Krakowa!

Szczególne znaczenie wśród zabytków królewskiego miasta miały pozostałości dawnej świetności państwa polskiego zgromadzone na Wzgórzu Wawelskim. Wawel miał od wieków niezwykłą rangę jako ośrodek politycznego życia narodu oraz ośrodek kultu religijnego. Katedra była od 1320 r. miejscem koronacji polskich monarchów oraz miejscem ich pochówków. W świątyni znajdowały się ponadto relikwie św. Stanisława, patrona Polski. Kraków był w opinii Polaków sercem Polski, a sercem Krakowa był Wawel. W okresie Rzeczypospolitej Krakowskiej, gdy Kraków stał się stolicą, pożal się Boże, miniaturowego państewka pod kuratelą zaborców, dążono – co podkreśla Maria Borowiejska-Birkenmajerowa – do „zaakcentowania historycznej roli Wzgórza Wawelskiego i uwypuklenia jego walorów jako dominanty w kompozycji przestrzennej miasta". Niestety, za słowami nie szły czyny. Wawel niszczał bez ratunku. O ówczesnej „opiece" nad nim świadczyć może, iż w 1821 r. zburzono bramę, rondel (czyli barbakan) i baszty przy wejściu do zamku, że w latach 1818–1820 Senat Rzeczypospolitej zezwalał na wydobywanie kamienia z góry wawelskiej od strony Wisły i to ponoć w znacznych ilościach. Gruntownej renowacji zamku i katedry dokonano dopiero w XX wieku!

Mimo zaniedbania Wzgórze Wawelskie stało się w XIX stuleciu prawdziwym narodowym Panteonem. Tu złożono bowiem szczątki polskich bohaterów – księcia Józefa Poniatowskiego (w 1817 r.) i Tadeusza Kościuszki (w 1818 r.), a po latach także wieszcza Adama Mickiewicza (w 1890 r.). Można się zatem zgodzić, że miejsce to,

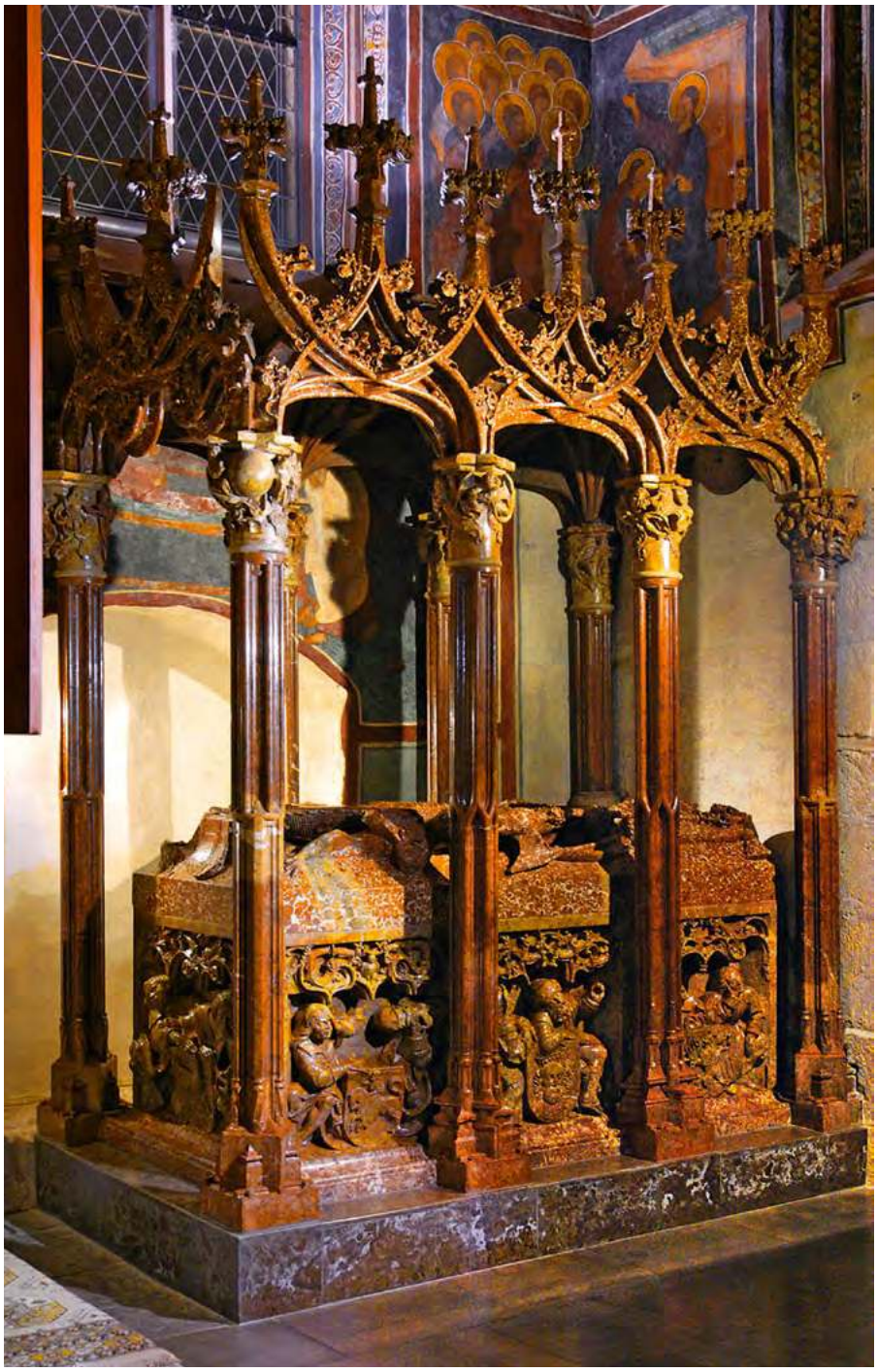

Późnogotycki nagrobek króla Kazimierza Jagiellończyka; dzieło wykonane w czerwonym marmurze salzburskim przez Wita Stwosza i Jörga Hubera z Passawy. Na tumbie zostało ukazanych 13 scen biblijnych przedstawiających wydarzenia kluczowe dla zbawienia ludzkości. Fot. Adam Bujak

eprasa.pl a4a4bdc682

choć zniszczone, okupowane przez najeźdźcę (koszary na Wawelu!), spełniało mimo wszystko niezwykłą rolę. „Królewski zamek i kościół katedralny stymulowały życie narodu pozbawionego państwowości, przypominając świetne dzieje, których były świadectwem" – pisał Jan M. Małecki w III tomie „Dziejów Krakowa".

Tak więc wbrew permanentnie niekorzystnej sytuacji politycznej i finansowej oraz wbrew słabej jeszcze wśród mieszkańców miasta, a zwłaszcza pośród jego włodarzy, świadomości znaczenia zabytków dla utrwalania ducha narodowego – udało się uratować wiele architektonicznych pamiątek przeszłości, a nawet część z nich odrestaurować. Tym samym zachowany został w Krakowie nie tylko „duch przeszłości", ale również jej materialny substrat. Bez niego nie byłby możliwy proces przemiany miasta w narodową świątynię, w miejsce narodowych pielgrzymek, w symbol, który ułatwiał podtrzymywanie nadziei na przyszłe odrodzenie państwa polskiego. Półwiekowa, nie zawsze i nie do końca wieńczona sukcesami walka o zachowanie historycznej infrastruktury była nie tylko mniej lub bardziej udaną próbą rozwiązywania problemów konserwatorskich. Była raczej batalią o przyszłą rolę Krakowa, o jego miejsce w świadomości Polaków jako miasta – świątyni narodowej.

Dawna stolica Polski, zachowana w stanie nieco naruszonym, ale wystarczająco dobrym, by mogła pełnić istotną funkcję narodowej świątyni, sprawowała ją w istocie dla elity, dla stosunkowo nielicznego grona jednostek narodowo uświadomionych. Krzepiąc ich ducha, pokazując swoim i obcym, że „jeszcze Polska nie umarła", nie docierała jednak z tym przesłaniem do szerokich kręgów społecznych, do całego narodu. Okres pełnego oddziaływania Krakowa rozpoczął się dopiero wraz ze swobodami politycznymi i narodowymi przyniesionymi przez autonomię galicyjską. To, a także połączenie Krakowa linią kolejową z szerokim światem, ułatwiło powstanie masowej turystyki narodowej ukierunkowanej na królewskie miasto. W początkach XIX w., a nawet w jego połowie, nic na to nie wskazywało. Kraków wciąż był miejscem pielgrzymowania dla nielicznych, wciąż oczekiwał na premierę narodowego spektaklu. Czym jednak był wtedy dla jego mieszkańców?

Wybitni krakowianie, których działalność przyczyniła się do ratowania ginącej substancji i uczynienia z miasta narodowej świątyni, tacy jak wspomniany Feliks Radwański, bp Jan Paweł Woronicz, bp Ludwik Łętowski, Stanisław Wodzicki, Florian Straszewski, Karol Kremer czy Ambroży Grabowski, ludzie różnych, nie do przecenienia zasług, nie mieli wątpliwości co do znaczenia zabytków Krakowa, choć niekiedy różnili się w ocenie ich wartości estetycznych. Ich opinie nie były w Krakowie powszechnie przyjmowane, a jednak nie można całkowicie odmówić krakowianom przywiązania do swego miasta, które połączone było co najmniej z intuicyjnym szacunkiem dla jego historycznej przeszłości. Za reprezentujące szerszą opinię uznać można słowa bardzo młodego, bo ledwie osiemnastoletniego, Wojciecha K. Stattlera (1800–1875), który wyjeżdżając na dłużej do Włoch, na studia malarskie, żegnał się z miastem. „Zwiedziłem wszystkie kościoły – pisał w pamiętniku, a trzeba wiedzieć, iż był to 1818 r. – gdzie modlić się lubiłem, a nade wszystko Zamek, gdzie w kościele jakoś smutnie i jakoś lękliwie stopami dotykałem ziemi. Wiedziałem, że w głębi są groby królów naszych! nie śmiałem nadeptywać ich. Zdawało mi się, iż tam ledwo na koła

Krakowska bazylika pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, powszechnie znana jako kościół Mariacki. Z wyższej wieży, zwanej hejnalicą, można usłyszeć o pełnych godzinach słynny hejnał, wykonywany przez trębacza na cztery strony świata. Fot. Adam Bujak

eprasa.pl a4a4bdc682

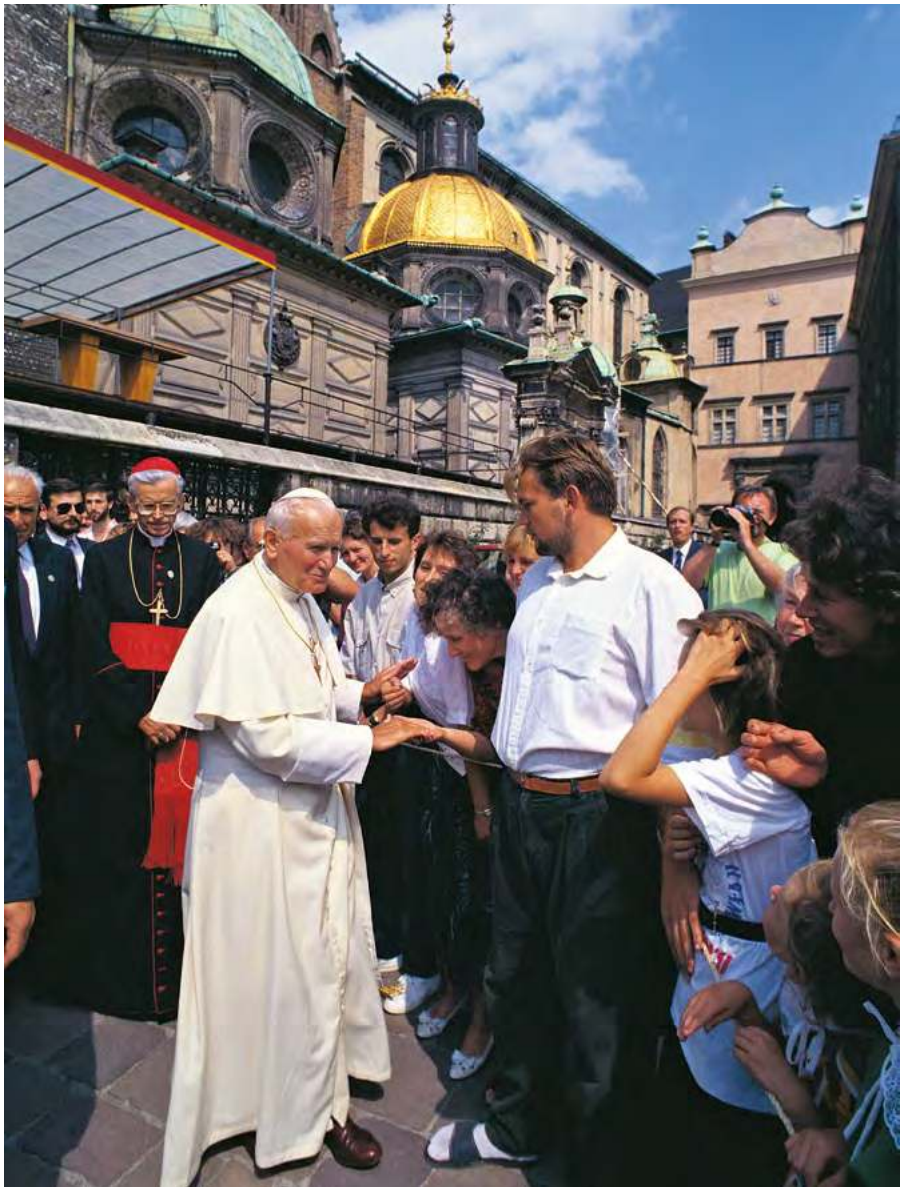

Spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II na dziedzińcu przed Katedrą Wawelską w 1991 r. Fot. Adam Bujak („Kraków Jana Pawła II", Biały Kruk)

nach należało chodzić, jak to czyni lud nasz!… Wyszedłem i na wieżę dzwonu Zygmunta, skąd obaczywszy Wisłę rzewnie zapłakałem".

Monumentalizm kościołów, zamek, groby królewskie budziły – mimo ich nie najlepszego stanu – szacunek nie tylko religijnej, ale i patriotycznej natury. Szacunku nie wzbudzały inne pozostałości przeszłości. Nie mamy powodu nie wierzyć Kazimierzowi Girtlerowi (1804–1887, znany pamiętnikarz), który pisał: „Ojciec lubił chować stare rzeczy, gdy co nowego kupił, matka inaczej rozumowała: starzyznę lepiej sprzedać, nie robić składu rupieci niepotrzebnych, lepiej mieć coś świeżego. Żadna kobieta nie warta być członkiem towarzystwa archeologicznego, one by popielnice jak stare garnki powyrzucały. (…) Często lepsze, szacowniejsze suknie, meble, dzieła sztuki bez poszanowania, bez litości poszły na Kaźmirz do Żydów za dziesiątą, setną część wartości. Znaleźli się lubownicy, co powoli wyławiali owe sprzęty z błota. Mogę upewnić, że około roku 1820, gdyby kto był w Krakowie poświęcił 20 tysięcy na zakupno przedmiotów starożytnych, byłby posiadł tyle medali, monet, obrazów, ksiąg, sprzętów, czego by dzisiaj za milion nie zgromadził, bo niestety wielka część tych rzeczy zmarniała, w proch się obróciła".

Ta i podobne relacje, niekoniecznie równie krytyczne wobec kobiet, wskazują, że krakowianie przez całe dziesięciolecia nie troszczyli się o pomniejsze zabytki przeszłości. Nie przykładali do nich żadnej wagi, aż do czasu, gdy stały się rzadkością i przedmiotem zainteresowania coraz liczniejszego grona zbieraczy-kolekcjonerów. Poszanowanie zabytków architektonicznych, zwłaszcza kościołów obwarowanych *sacrum*, długo nie obejmowało innych pozostałości przeszłości, zwłaszcza mających związek z życiem codziennym.

To architektura właśnie najbardziej przyciągała do Krakowa nielicznych w I połowie XIX w. podróżników, cudzoziemców i Polaków. Jeśli nie podróżowali w celach dyplomatycznych, handlowych czy rodzinnych, to po to, by przypatrywać się ludziom i ich dziełom; czasem przede wszystkim dziełom. Do nich to pisane były jeszcze w XVII w. owe słowa Giacomo Fantuzziego, autora głośnego „Diariusza podróży po Europie": „Kiedy do miejscowości jakiejś się dojedzie, obejść ją od razu trzeba i jak by nie była mała, uważnie ją obejrzeć, zwłaszcza rynek. Dobrze wszystko wziąć pod rozwagę, głównie zaś zwyczaje, obyczaje, sposób życia i rządzenia się, ubiór mieszkańców, zwłaszcza zaś kobiet, a i charakter ludzi tamtejszych, tym bardziej w mieście odwiedzać trzeba by kościoły i główne budowle, rynek i ratusz. Baczyć też trzeba, jak owo miasto jest położone, czy dobre ma, czy złe powietrze, czy jest ufortyfikowane, z której strony i w jaki sposób, i tym podobne rzeczy, by należytą wiedzę zyskać i gdy trzeba umieć o wszystkim szczegółowo rozprawiać, toteż każdą rzecz dokładnie w pamiętniku zapisywać trzeba".

Nie od dziś wiadomo, że podróże służą zwykle pogłębianiu wiedzy. Ale są też inne, odbywane głównie dla poszukiwania śladów przeszłości, wsłuchiwania się w echa wielkości ojczyzny, niegdyś potężnej, dziś uciemiężonej. Podróże pod koniec XVIII w. i w początkach wieku XIX były trudne, niebezpieczne, a ponadto kosztowne, toteż przybywający do Krakowa poszukiwacze chwalebnej przeszłości Polski i śladów jej wielkości byli odważni, zamożni i dość nieliczni. Była wśród nich Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845), znana i ceniona pisarka oraz działaczka społeczna. Odwiedziła Kraków w 1827 r. i tak opisała swoje wrażenia: „Czynnym i miłym był poranek dzisiejszy, chociaż najwięcej smutnych obudził uczuć; dziś dopiero prawdziwie zwiedzać Kraków zaczęłam i z porządku rzeczy wstąpiliśmy naprzód na górę Wawelu. Wymówić tego nazwiska obojętnie nie można; cóż więc być na niej? To nasz Kapitol i Panteon razem; tu uświetniał majestat królów, tu chwała Polski długi czas jaśniała, tu dotąd jej ślad w wspaniałej katedrze pozostał". Hoffmanowa i jej podobni podróżnicy czytali Kraków jak księgę historii. Ci, którym ta lekcja historii była koniecznie potrzebna, wtedy jeszcze do Krakowa nie przybywali.

Żywa historia – z punktu widzenia tej opowieści – toczyła się w tym czasie w Królestwie Polskim. Tam jeszcze nie

eprasa.pl a4a4bdc682

wszystko było stracone, istniała namiastka polskiej państwowości znaczniejsza niż Rzeczpospolita Krakowska. Kraków mógł być postrzegany jako Kapitol i Panteon zarazem, ale oczy narodu polskiego zwrócone były na Warszawę, gdzie nieuchronnie zbliżało się powstanie. Stąd też leżący na uboczu głównego nurtu bieżącej historii narodu Kraków nie budził u wielu przybyszów, mimo swej czcigodnej przeszłości, nadmiernej admiracji. Oddajmy głos Ludwikowi Jabłonowskiemu, który w 1828 r. pojawił się w Krakowie i… nie znalazł dlań dobrego słowa w swoich wspomnieniach: „Gdyby mnie nocą osadzili na zaspie śniegu w Pietropawłowsku, nie mógłbym mieć przykrzejszego uczucia, jak gdy sanki ugrzęzły na kupie śniegu w ciemnej ulicy, przed ciemnym Knotzem. Otworzyli nam wreszcie, gdy pocztylion, złamawszy biczysko o bramę (dzwonków jeszcze nie znano, przynajmniej nie używano w Krakowie), pięścią do okiennicy dudnić zaczął. Zaprowadzili nas po omacku do nieopalonego, brudnego pokoju, zapalili szabasówkę, postawili butel świeżej wody, lecz zarazem oświadczyli, że o 4. w nocy robić herbatę zwyczaj hotelu nie pozwala. Parę dni w Krakowie nie zatarły wrażenia, a gdy prócz sarkofagu księcia Józefa nic do mnie nie przemówiło, nie czekając na szybkowóz, tylko trzy razy w tygodniu odchodzący z Podgórza, najętym Żydkiem puściłem się w drogę”.

W relacji Jabłonowskiego Kraków roku 1828 to prowincjonalna dziura, niemająca nawet porządnego hotelu – *nota bene* ów godny pożałowania Knotz to dzisiejszy Hotel Saski – ani przyzwoitego połączenia ze światem; gorzej tu niż w Pietropawłowsku, w rosyjskiej twierdzy. Szyderca, po wielu latach od pobytu w Krakowie, dodał nie bez szczególnej ugodowej intencji: „Bezsprzecznie pożegnanie nie byłoby tak zimne, gdybyśmy – proroczym duchem tknięci – wiedzieli, że wyjeżdżamy z miasta, w którym będą ‘Czas’ drukować, Tarnowskiego czytać, księdza Goliana kazań słuchać, Koźmiana, Siemieńskiego, Dietla, wyściganego ze Lwowa Zyblikiewicza adorować (…), ale któż wtedy to wszystko mógł przewidzieć?”. Tu Jabłonowski trafił w sedno – rola Krakowa nie była z góry określona. Jego losy mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Cóż takiego zatem wydarzyło się, że 40 lat później prowincjonalny Kraków, obraz nędzy i rozpaczy pod koniec lat 1820., przestał być historycznym cmentarzem, a stał się żywą duchową stolicą Polski, narodową świątynią, monumentalnym muzeum, a jednocześnie miastem, w którym tętni życie kulturalne i polityczne, ośrodkiem nauki wysyłającym ważne narodowe przekazy wszędzie tam, gdzie mieszkali Polacy?

Aby Kraków mógł osiągnąć swą niezwykłą pozycję w narodowym i kulturalnym życiu Polaków drugiej połowy XIX w., musiały wydarzyć się nieudane powstania (Listopadowe i Styczniowe), wieloletnie rosyjskie i pruskie prześladowania polskości, próby brutalnej rusyfikacji i germanizacji polskiego narodu; musiała też przetoczyć się przez miasto wielka fala emigracji politycznej (część emigrantów pozostała tu na dłużej lub na stałe), a dwudziestoletnia okupacja austriacka musiała przeistoczyć się w autonomię. „Zyski” Krakowa, dzielone niezbyt równo ze Lwowem, to dramatyczne straty Warszawy, Wilna i Poznania. Tak więc w ostatecznym rozrachunku Matecznik Polskości, jakim Kraków stał się w drugiej połowie XIX w., zbudował cały naród polski, a nie tylko sami mieszkańcy podwawelskiego grodu. Wśród miłośników miasta i jego zabytków był gen. Józef Chłopicki (1771–1854), który schronił się tu po klęsce Powstania Listopadowego, w którym miał niemały udział.

Zasłużony awans Krakowa osiągnięty został zatem wspólnym wysiłkiem kilku pokoleń krakowian i przybyszów z całej uciemiężonej Polski. Przyczynił się do tego splot korzystnych i zarazem dramatycznych wydarzeń historycznych. Decydujący głos mieli – jak zawsze – ludzie, ich świadomość, postawy, a przede wszystkim działania. O dalszych dziejach Krakowa – jako miejsca narodowych pielgrzymek – napiszę w następnym odcinku.

Tak wyglądał krakowski Rynek przed 1860 r. Widoczny nieistniejący już budynek ratusza miejskiego (do dnia dzisiejszego zachowała się jedynie wieża). Rycina Leopolda Zechmeyera. Fot. Polona

eprasa.pl a4a4bdc682

Polscy uczeni na Syberii (1)

Nieustraszony patriota, lekarz i badacz Benedykt Dybowski

Dr Marek Klecel

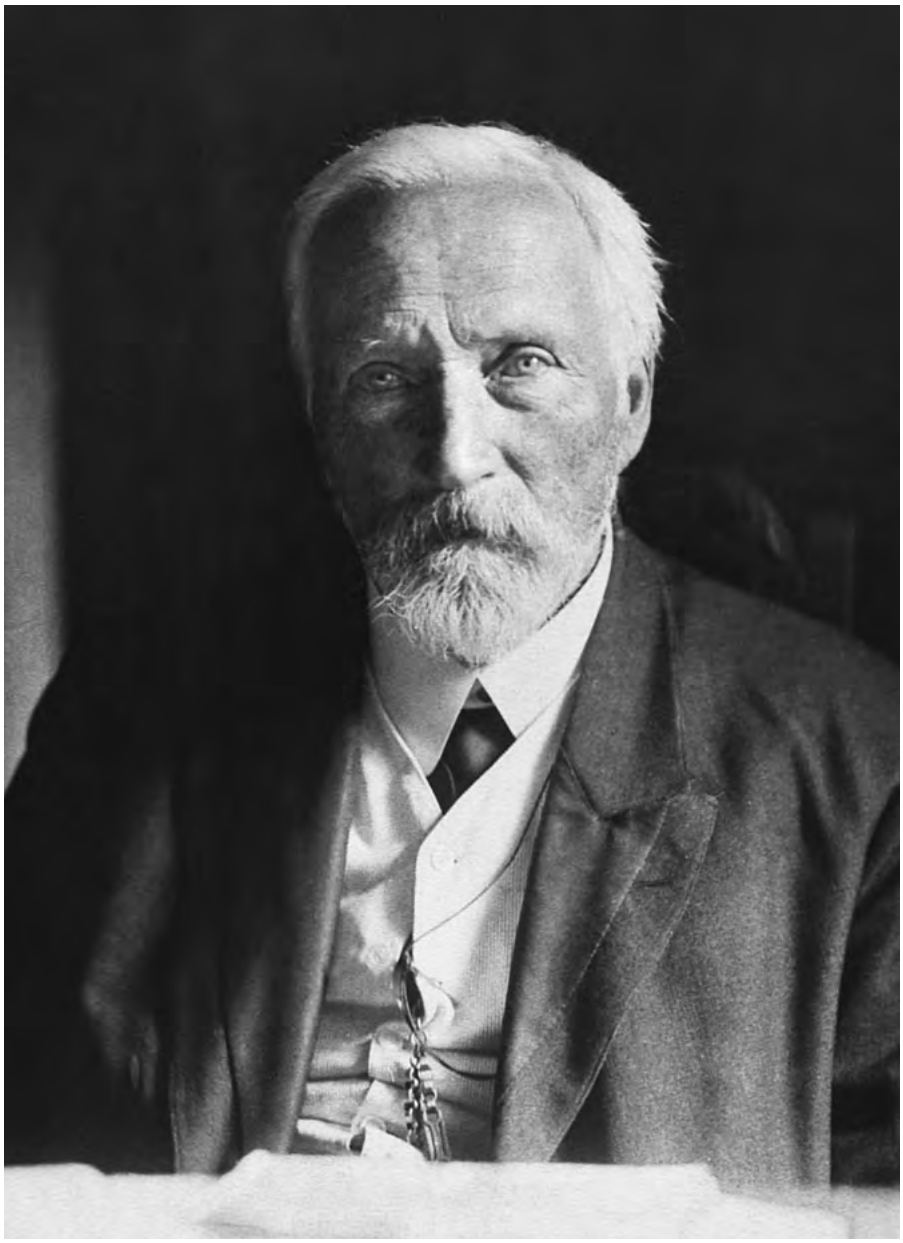

Benedykt Dybowski (1833–1930), wybitny polski uczony, przyrodnik i lekarz, powstaniec styczniowy. Za udzielanie pomocy medycznej rannym insurgentom i współpracę z powstańczym rządem zesłany na Sybir. Zasłynął jako pionier badań nad syberyjską przyrodą. Fot. Wikimedia

Po Powstaniu Styczniowym wśród zesłańców znalazła się spora grupa polskich uczonych. Byli wśród nich Benedykt Dybowski, Aleksander Czekanowski, Jan Czerski, Wiktor Godlewski, Karol Bohdanowicz i wielu mniej znanych. Ci przyrodnicy, biolodzy, geolodzy, a także lekarze zostali wyrwani ze swych pracowni i laboratoriów, z murów uczelni i sal wykładowych. Zostali zesłani na daleką Syberię, często z samego podejrzenia o współpracę i wspieranie sprawy powstania. Wymieniona grupa wykorzystała zesłanie na krańce Syberii, najczęściej w okolice Irkucka i jeziora Bajkał, do prowadzenia badań i dokonywania naukowych odkryć w tych egzotycznych jeszcze, nieznanych wtedy bliżej obszarach Rosji. Polacy ci stali się pionierami badań przyrodniczych, geograficznych i geologicznych w tych stronach Azji, tworząc podwaliny wiedzy przyrodniczej o Syberii, która wówczas była w Rosji w powijakach.

Najbardziej znany z nich jest Benedykt Dybowski, urodzony w 1833 r. Pochodził z rodziny o patriotycznych tradycjach, osiadłej w okolicach Mińska Litewskiego. Jego przodkowie brali udział w powstaniach Kościuszkowskim i Listopadowym. Benedykt miał kontynuować tę tradycję, przystępując do ostatniego wielkiego zrywu narodowego. Również dzięki rodzinie rozwinął wcześnie zainteresowania przyrodnicze; już w dzieciństwie prowadził obserwacje roślin i zwierząt. Liczni krewni oraz dwór w Adamarynie koło Mińska stanowili ostoję idyllicznego niemal dzieciństwa, zapewnili wszechstronny, spokojny rozwój i edukację. Dzięki temu otoczeniu, a także wychowawcom, w tym francuskiemu nauczycielowi, Benedykt zyskał nie tylko podstawową wiedzę, znajomość języków, ale i zachętę do dalszego pogłębiania przyrodniczej pasji, samodzielnych obserwacji i młodzieńczych odkryć.

eprasa.pl a4a4bdc682

Budynek Uniwersytetu w Dorpacie (dziś Tartu, Estonia). Pierwszą uczelnię w tym mieście założył jeszcze w 1583 r. Stefan Batory. W dobie zaborów Uniwersytet cieszył się wielką popularnością wśród Polaków. Do najsłynniejszych absolwentów należeli m.in. Benedykt Dybowski, Bronisław Malinowski, dr Tytus Chałubiński, a także… późniejszy prezydent RP Ignacy Mościcki. Fot. Wikimedia

Po znakomitej edukacji domowej zakończonej egzaminami chłopiec poszedł do gimnazjum w Mińsku, zaliczając od razu jego połowę. Wstąpił tam też do tajnego Towarzystwa Filaretów, kontynuującego tradycję wileńskiej konspiracji Mickiewicza i Zana. W uczniowskim stowarzyszeniu pielęgnowano znajomość zakazanego języka polskiego, polskiej literatury i obyczaju, przestrzegano dość surowego kodeksu moralnego, ale też dbano o sprawność i rozwój fizyczny. Przy Towarzystwie działało też koło przyrodnicze, któremu Dybowski szczególnie się poświęcił.

Powiązana z kołami wileńskimi działalność szkolnych filaretów została dość szybko wykryta przez rosyjską policję. Kilkunastu uczniów skazano na karę publicznej chłosty, kilku zesłano na przymusową służbę w wojsku. Osiemnastoletni Benedykt zdał maturę w 1851 r., uwalniając się tym samym od jarzma rosyjskiej szkoły. Władczy dyrektor żegnał absolwentów słowami pełnymi nagany, wypominając im, że nie umieją *dierżat' siebia pryliczno piered naczalstwom* (odpowiednio zachowywać się przed zwierzchnikiem) ani *dierżat' ruki po szwam* (stać w postawie zasadniczej) i że w ogóle „język rosyjski jest dla nich obcy i tego on na przyszłość nie zniesie". Ukończenie szkoły Benedykt wspominał z ulgą w spisanym później „Pamiętniku": „cieszyliśmy się, żeśmy umknęli tych 'abrusitielnych ekspierimentow' [eksperymentów rusyfikacyjnych – przyp. red.], lecz smutno nam było, że pozostali po nas będą im poddani".

Boże, coś Polskę i kłopoty z nostryfikacją

Tym chętniej zatem rozpoczął Dybowski studia przyrodnicze na estońskim uniwersytecie w Dorpacie. Musiał jednak zapisać się na wydział medyczny, bo tylko przy nim było przyrodoznawstwo. Tak więc przy okazji głównych zainteresowań zdobył też specjalizację medyczną, umiejętności i zawód lekarza, który bardzo pomógł mu w późniejszym życiu. Na uniwersytecie w Dorpacie największą grupę studentów stanowili, prócz Estończyków, Niemcy. Niemiecki był językiem wykładowym i Niemcy byli też przeważnie wykładowcami. Benedykt uczęszczał na wykłady wybitnych przyrodoznawców, takich jak Grube, Assmus, Reichert czy badacz Syberii Middendorf. Z niektórymi nawiązał bliższe kontakty i jako dobrze rokujący student korzystał z ich poparcia w dalszych studiach i późniejszej karierze naukowej. Gdy niektórzy z nich przenieśli się na uniwersytety we Wrocławiu i w Berlinie, Dybowski podążył za nimi. W Dorpacie Benedykt nawiązał ponadto liczne kontakty naukowe w działającym przy uniwersytecie Kole Naturalistów, do którego należało wielu Polaków. Tam poznał Aleksandra Czekanowskiego, znanego później geologa, który przybył do Dorpatu z uniwersytetu w Kijowie.

Dybowski studia skończył ostatecznie w Berlinie, tam uzyskał też doktorat w zakresie medycyny i przyrodoznawstwa. Zamierzał go nostryfikować w Dorpacie, żeby był ważny także na obszarze państwa rosyjskiego. Napotkał jednak przy tym na spore trudności, musiał więc w Dorpacie zatrzymać się na dłużej. Nawiązał wtedy kontakty z patriotycznie nastawioną Polonią. W maju 1861 r. wziął udział w delegacji do Wilna, która postanowiła zamanifestować polską obecność podczas uroczystej Mszy św. w tamtejszej katedrze. Dybowski z kilkoma kolegami zaintonował na cały kościół zakazany hymn „Boże, coś Polskę…"; po nabożeństwie zostali natychmiast aresztowani. Groziła im od razu zsyłka na Sybir. Zostali po kilku dniach uwolnieni dzięki wstawiennictwu ważnych osobistości Wilna.

Uzyskawszy wreszcie w Dorpacie po długich staraniach potwierdzenie doktoratu, Benedykt mógł starać się o dalszą pracę naukową i dydaktyczną. Zaproponowano mu posadę na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale władze austriackie jej nie zatwierdziły. W Warszawie była Szkoła Główna, która zastępowała zamknięty przez władze carskie po Powstaniu Listopadowym uniwersytet. Mimo krótkiej działalności – od 1862 do 1869 r., bo później znów została zamieniona na uczelnię rosyjską – Szkoła Główna zyskała już duże znaczenie. Zdążyła wypuścić takich absolwentów jak pisarze Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus czy historycy Aleksander Kraushar i Zygmunt Gloger. Nauki przyrodnicze stały tam również na wysokim poziomie. Benedykt spotkał więc na tej uczelni wielu wybitnych uczonych; sam wkrótce też przysporzy jej znaczenia badaniami z zakresu zoologii. Rozpoczął od razu własne wykłady, cieszące się wśród młodzieży studenckiej dużą popularnością. Jako pierwszy przedstawiał wtedy nową teorię ewolucyjną Darwina.

Dybowski rozpoczynał pracę w Szkole Głównej akurat wtedy, gdy w Warszawie narastała atmosfera powstańcza. Od 1861 r. trwał stan wojenny, nasiliły się carskie represje, na ulicach dochodziło do starć z policją i wojskiem rosyjskim, zamykano kościoły. Jesienią 1862 r. ogłoszono przymusową brankę do wojska, co było bezpośrednim powodem przedwczesnego, w styczniu 1963 r., wybuchu powstania przygotowywanego w terminie późniejszym. Również w Szkole Głównej działała konspiracja, w której Dybowski odegrał z czasem rolę chyba najważniejszą. Młodzież studencka, podobnie jak partie powstańcze, dzieliła się na bardziej radykalnych „czerwonych" i umiarkowanych „białych". Jak wspominał Aleksander Kraushar w chwili wybuchu powstania: „Ławy szkolne naraz opustoszały. Rozbiegliśmy się jak kuropatwy po strzale myśliwego (…), ci, co umieli sprawnie dosiąść konia i władali bronią, poszli do szeregu, inni poszli na służbę cywilną, oddając się na usługi starszyzny podziemnej".

eprasa.pl a4a4bdc682

Owiany grozą X Pawilon warszawskiej Cytadeli zbudowanej na rozkaz cara Mikołaja I w ramach represji po Powstaniu Listopadowym. Tu więziono niezłomnego dyktatora Powstania Styczniowego Romualda Traugutta, tutaj miał także znacznie później trafić 33-letni wówczas Józef Piłsudski. Fot. NAC

Emisariusz powstańczy

Benedykt Dybowski został wciągnięty do głębszej działalności konspiracyjnej przez poznanego w Dyneburgu inżyniera Bronisława Szwarcego (1834–1904). Po Powstaniu Styczniowym Szwarce został skazany na ciężkie więzienie w twierdzy Szlisselburg koło Petersburga, gdzie spotkał odbywającego dożywotni wyrok jeszcze sprzed Powstania Listopadowego carskiego „więźnia stanu", Waleriana Łukasińskiego; był jedynym polskim świadkiem, który go widział żywego.

Dybowski został powołany do władz Sekretariatu Litwy i stał się współpracownikiem Centralnego Komitetu Narodowego do specjalnych poruczeń, choć nie był jego członkiem. Jako komisarz do spraw Litwy i Rusi koordynował działalność powstańczą na tych terenach z konspiracyjnymi władzami w Warszawie, odpowiadał za łączność i współdziałanie z poszczególnymi oddziałami. Powierzano mu trudne, odpowiedzialne i często niebezpieczne zadania. Został tajnym emisariuszem politycznym, wysłano go na tereny Ukrainy do negocjacji z polskimi posiadaczami ziemskimi w sprawie powstańczej reformy rolnej. Miał rozstrzygnąć jeden z ważniejszych sporów między „białymi" a „czerwonymi" o uwłaszczenie chłopów, co miało skłonić wieśniaków do większego udziału w powstaniu. W Żytomierzu i Kijowie spotkał się od razu z nieprzychylnym, wręcz wrogim przyjęciem, musiał więc przerwać misję i w pośpiechu opuścić Kijów w obawie przed denuncjacją. Przeczucia go nie zmyliły. Na granicy został zatrzymany, odebrano mu paszport, oczywiście nielegalny. Groziło mu aresztowanie i już wtedy zesłanie syberyjskie. Uratował go jednak towarzysz podróży, Polak w konspiracji, który zagadał rosyjskiego urzędnika, później go upił i odebrał paszport Benedykta.

W swych tajnych wyprawach Dybowski miał wiele szczęścia. Następną jego misją była próba uwolnienia przetrzymywanego w Pradze przez Austriaków gen. Langiewicza. Już sama podróż okazała się wielce niebezpieczna i pełna niespodzianek, gdyż przed Częstochową, która była stacją graniczną, trzeba było przesiąść się do innego pociągu, bo powstańcy rozebrali tory. Na granicy austriackiej zakwestionowano Dybowskiemu paszport i odesłano go z innymi pasażerami na policję w Krakowie. Na stacji Krzeszowice udało mu się jednak uciec i schronić w miejscowym szpitalu; znalazł tam *nota bene* znajomego lekarza. We wspomnieniach podawał, że razem z nim opatrywał i operował rannych powstańców z okolicznych potyczek. Kiedy uzyskał nowe dokumenty, pojechał furmanką do Krakowa, gdzie nawiązał kontakt z przedstawicielem Rządu Narodowego i dostał mocniejszy paszport. Potem już bez większych przeszkód dotarł do Pragi, gdzie spotkał się z ludźmi z polskiej komórki konspiracyjnej, która miała kontakt z Czechami, mającymi umożliwić widzenie z Langiewiczem. Czesi jednak ostatecznie odmówili, obawiając się ryzykownej akcji. Dybowski zdecydował się opuścić Pragę, zostawiając tam polecenia na przyszłość co do gen. Langiewicza, i pojechać do Wrocławia, gdzie miał kontakty z czasów uniwersyteckich. We Wrocławiu zdobył nowy paszport również dzięki miejscowym Polakom. Chciał spotkać się ze swym dawnym profesorem Grubem, ten jednak wyjechał, by ratować syna, skazanego na śmierć za pomoc powstańcom. W drodze powrotnej do Warszawy omal nie wpadł, gdyż przechodząc kontrolę graniczną w Częstochowie spotkał pewnego znajomego z Berlina, który znał jego prawdziwą tożsamość i mógłby go zadenuncjować przy ewentualnej konfrontacji. Na dworcu w Warszawie sprawdzano bacznie wszystkich podróżnych, ale dokumenty Dybowskiego były tym razem na tyle pewne, że nie wzbudziły większych podejrzeń. Po tej długiej, męczącej i niebezpiecznej podróży musiał nabrać sił, podleczyć choroby, które go wcześniej trapiły.

Tajne dokumenty w brzuchu antylopy

Gdy powrócił do konspiracji, posiedzenia Rządu Narodowego zaczęły odbywać się potajemnie w jego pracowni zoologicznej w gmachu Szkoły Głównej. Jesienią 1863 r. sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, następowało więcej aresztowań. Trzeba było zmienić miejsce zebrań, nieraz odbywały się w jego mieszkaniu przy ulicy Wareckiej, oraz zabezpieczyć dokumenty i listy personalne. Dybowski otrzymał polecenie ich ukrycia. Dokonano tego w pomysłowy i przebiegły sposób. Benedykt zgromadził w swej pracowni wiele okazów egzotycznych, odpowiednio spreparowanych zwierząt, w tym antylopy, której rozcięto brzuch, umieszczono w nim cały pakiet tajnych papierów i zaszyto z powrotem. Po kilku dniach Dybowski dostał jednak polecenie, aby je w ogóle zniszczyć. Uznał, że byłaby to wielka strata i postanowił je zachować, a tylko lepiej zabezpieczyć. Z pomocą zaufanych pracowników dokumenty zostały zalutowane w dwóch blaszanych cylindrach powleczonych smołą i zatopione w sadzawce koło budynku Szkoły Głównej. Jak później wspominał Benedykt Dybowski, po jakimś czasie, zapewne podczas prac remontowych, sadzawkę zasypano. Tak więc dokumenty Rządu Narodowego, o ile nie uległy zniszczeniu, spoczywają zapewne do dziś gdzieś w ziemi na terenach uniwersytetu.

Pod koniec 1863 r. aresztowania dosięgły głównych konspiratorów. Jeden z nich, po brutalnym śledztwie i torturach, wyjawił nazwiska współpracow

eprasa.pl a4a4bdc682

ników. Aresztowanie Dybowskiego było już tyko kwestią czasu. Przyczyniła się do tego zapewne, jak stwierdzał sam Dybowski, denuncjacja dwóch lekarzy, z którymi był na Wigilii 1863 r. u państwa Januszkiewiczów. W lutym 1864 r. aresztowano go w jego mieszkaniu przy ulicy Wareckiej. Po brutalnej rewizji przewieziono aresztanta do więzienia na Pawiaku i zamknięto w obskurnej celi. Po ciężkim śledztwie, podczas którego do niczego się nie przyznawał i nikogo nie zdradził, wtrącono go do zimnej piwnicznej celi. Wyczerpany, przemarznięty, chory, zapadł w stan długotrwałej śpiączki, która, być może, uratowała go od szybkiej śmierci.

Zamiast śmierci

Wiosną 1864 r. aresztowano wszystkich członków Rządu Narodowego z Romualdem Trauguttem na czele. Przewieziono ich, razem z Dybowskim, do Cytadeli i umieszczono w X pawilonie. W śledztwie i procesie przed sądem wojskowym Benedykt odpowiadał razem z przywódcami Powstania. Groziła mu kara śmierci. W konfrontacji z innymi, złamanymi w śledztwie konspiratorami nie poddał się, zaprzeczał oskarżeniom, nikogo nie wydał. Ostateczny wyrok zależał od namiestnika Fiodora Berga. Jak można się domyślać, była zapewne w tej sprawie jakaś interwencja dyplomatyczna za wstawiennictwem niemieckich profesorów Grubego z Wrocławia i Reicherta z Berlina u samego Bismarcka, bo Dybowskiemu i kilku niższym przywódcom Powstania zamieniono karę śmierci na syberyjskie zesłanie.

Na początku sierpnia 1864 r., po egzekucji pięciu przywódców Powstania na stokach Cytadeli, Dybowski przygotowywał się do drogi na Syberię. Samopoczucie przed opuszczeniem Warszawy i sam wyjazd opisał dokładnie w „Pamiętniku": „Stan mojego zdrowia pogorszył się znacznie. Myślałem, że nie dojadę do katorgi, jakaś beznadziejność opanowała mną całkowicie, byłem zupełnie obojętny na to wszystko, co się dookoła mnie działo. (…) Tu [w Cytadeli] dowiedziałem się, że dnia 10 sierpnia mają mnie wywieźć na Sybir, do katorgi, że wszystko do podróży gotowe. (…) Drugi moment, który pozostał w pamięci, jest wyprowadzenie mnie z sali, atoli widzę to wszystko jak przez mgłę gęstą. Wyprowadzają mnie z sali w czasie cieni nocnych, wiodą do jakiejś sali wpół ciemnej, tu zakuwają część więźniów w kajdany, następnie wiodą wszystkich z tej sali przed cytadelę, gdzie stoją wozy, żołnierze otaczają nas i ruszamy pieszo, a tylko kobiety jadą wozem. Nie kazano wdziewać stroju katorżnego, nie golono przez pół głowy, jak to czynią zwykle sądzonym do katorgi. Kobiety jadąc wozem śpiewają 'Jeszcze Polska nie zginęła'. Co nas zastanawia, to tłum otaczający kondukt nasz smutny. (…) Marsz pospieszny męczył mnie silnie, chwilami tchu mi brakło. Jakiś nieznajomy wciska mi do ręki odezwę naczelnika miasta Waszkowskiego, w której żegna on nas serdecznie wraz z zapewnieniem, że sprawa walki o wolność trwa dalej i rozwija się pomyślnie. Stajemy u dworca kolejowego petersburskiego, wśród olbrzymiego tłumu tam zgromadzonego. Dopuszczenie mnie do tego zgromadzenia świadczyć się zdaje, iż Moskale chcieli owacyjnie tę eksportację przeprowadzić".

Żegnający Dybowskiego znajomi, w tym kilka kobiet, zaopatrzyli go w żywność i rzeczy niezbędne w czasie długiej podróży, w pieniądze uzyskane z likwidacji jego mieszkania i sprzedaży mebli, a także cały zestaw instrumentów naukowych i lekarskich oraz biblioteczkę niezbędnych książek naukowych. Liczący 31 lat Benedykt wyglądał na tak wyczerpanego i schorowanego, że przyjaciele nie wierzyli, iż wytrzyma wielomiesięczną podróż na Syberię. Wyruszył w grupie około 50 zesłańców w więziennych wagonach zwykłą już wtedy trasą syberyjską, wiodącą przez Petersburg, Moskwę do Niżnego Nowogrodu, gdzie kończyła się linia kolejowa. Stamtąd, w połowie drogi, skazańcy jechali kibitkami lub szli pieszo.

Benedykt Dybowski podczas pobytu na Syberii. Fot. Wikimedia

W wagonie było kilkadziesiąt osób, przeważnie mężczyzn, kilku gimnazjalistów, najmłodszy nie miał 14 lat, a także parę kobiet, jedna z nich z niemowlęciem. Do Moskwy podróż przebiegła pomyślnie. Dybowski jechał w towarzystwie ludzi zaufanych – swego oddanego ucznia i przyjaciela Augusta Kręckiego oraz sekretarza Traugutta, profesora literatury Uniwersytetu Kijowskiego Mariana Dubieckiego. Na stacjach w Petersburgu i Moskwie witały ich grupy zatroskanych rodaków, zaopatrując więźniów w żywność i pieniądze. Najgorsze były więzienia etapowe – byli zamykani w brudnych salach, pełnych pluskiew i pcheł. W Nowogrodzie musieli przesiąść się do konnych kibitek, które były pewnym przywilejem dla więźniów politycznych, zachowujących prawa szlacheckie; inni musieli iść pieszo. Mieli przed sobą 4 tysiące kilometrów uciążliwej drogi przez góry Uralu, a później przez stepy do Irkucka. Po drodze zdarzały się wypadki. Przed Kazaniem wypadł z kibitki zmęczony długą bezsennością August Kręcki i stracił przytomność. Pierwszej pomocy udzielił mu Dybowski; jego wiedza i praktyka lekarska okażą się bardzo przydatne w dalszej drodze i podczas pobytu na Syberii. Zatrzymali się na dłużej w Tobolsku, gdzie gubernatorem był Polak Aleksander Despot-Zenowicz (1825[29]–1897), były zesłaniec z Wilna, który organizował i ułatwiał, jak tylko mógł, rodakom pobyt w mieście.

„Tobolsk był wtedy jakby oazą Polaków wśród pustyni moskiewskiej – wspominał Benedykt Dybowski. – Żadnego Mocha nawet na lekarstwo. Wybrani przez głosowanie powszechne starostowie zarządzali tłumem znacznym, zebranym ze wszystkich dzielnic naszych. Jedne partie przybywały, inne odchodziły, ruch ciągły. (…) W mieście i więzieniu urządzone były warsztaty robót rozmaitych, dostarczających dla więźniów obuwia, także bieliznę, odzienie, naczynia blaszane etc. Szpital wzorowo urządzony, obsługiwany był przez naszych lekarzy; panie nasze przybyłe z mężami i mieszkające wolno w mieście pełniły czynności sanitariuszek po szpitalach. Wprowadzono uczenie czytania i pisania dla dzieci więźniów i ogólne dla dorosłych analfabetów. Odbywały się odczyty i pogadanki. Powstała biblioteka książek polskich".

Po kilku dniach odpoczynku w Tobolsku zesłańcy, przebrani już w stroje więzienne, wyruszyli w dalszą drogę. Większość z nich sprzedała swe ubrania i mundury; było to dobra okazja dla

eprasa.pl a4a4bdc682

co sprytniejszych Rosjan. Mundur Dybowskiego nabył naczelnik więzienia, ale mu za niego nie zapłacił. Musiał interweniować sam Despot-Zenowicz, który ściągnął później pieniądze od nieuczciwego Rosjanina i przesłał Benedyktowi do Irkucka. Ponieważ jazda kibitkami była bardzo uciążliwa i niewygodna, Dybowski z Marianem Dubieckim postanowili w pewnym momencie iść pieszo. Bardzo poprawiło to nadwątlone zdrowie, samopoczucie i sprawność więźniów.

Tyfus

Gdy dotarli do Tomska, w mieście panował tyfus. W szpitalu musieli zostawić zarażonego tą chorobą kolegę, Augusta Kręckiego. Dybowski spotkał tam też kolegę z Dorpatu, Stanisława Orzeszkę, również ciężko chorego na tyfus.

Idąc dalej, zesłańcy przekroczyli rzekę Jenisej i znaleźli się we wschodniej Syberii. Po drodze zatrzymywali się w chłopskich chatach, gdzie byli życzliwie przyjmowani, zwłaszcza dzięki lekarskiej pomocy Dybowskiego. Spotykali coraz więcej polskich zesłańców, którzy zasiedlali te ziemie jeszcze przed Powstaniem Listopadowym. Weszli do krainy Buriatów żyjących nad rzeką Angarą i w okolicach ich „świętego morza" – Bajkału. Dybowski zapisał pierwsze wrażenie, jakie wywarła na nim bajkalska kraina: „Jakieś niewypowiedziane uczucie głębokiego interesu powziąłem do tej rzeki, a szczególnie do jeziora i jego morska świętość pobudzała wyobraźnię moją w kierunku zbadania [ich] tajemniczości".

Na początku grudnia 1864 r., po czterech miesiącach podróży, dotarli do Irkucka. Zamknięto ich najpierw w więzieniu na wyspie, zwanym *tiuremnyj zamok*, którym zarządzał despotyczny Rusin Niezadowskij. Podczas osobistej rewizji odbierał on więźniom resztę ich skromnego majątku. Dybowski straciłby nawet sprzęt naukowy i medyczny, gdyby nie przytomna interwencja tamtejszego więźnia Polaka, który ukrył te rzeczy przed wzrokiem chciwego naczelnika. Później przeniesiono zesłańców do innego, obskurnego więzienia w samym Irkucku. Musieli przebywać w zatłoczonych salach z więźniami cywilnymi, głównie kryminalistami. Dzięki interwencji miejscowych Polaków przeniesiono ich do lżejszego więzienia, zwanego *kazionnaja pałata*.

Syberyjski dom Benedykta Dybowskiego podczas jego pobytu w Kułtuku. Fot. Wikimedia

Wśród stale przybywających do miasta polskich zesłańców Dybowski spotkał poznanego w Żytomierzu lekarza Józefa Łagowskiego, skazanego za pomoc lekarską powstańcom, który wraz z żoną i pięciorgiem dzieci przenoszony był w różne miejsca Syberii. W Irkucku, gdzie pozwolono mu mieszkać dłużej, cieszył się zasłużoną sławą wybitnego chirurga. Od niego Benedykt dowiedział się, że spotkał w Tomsku chorego na tyfus Aleksandra Czekanowskiego. Ten, nie wiedząc, czy przeżyje, przekazał Łagowskiemu swe zbiory owadów, zebrane podczas przymusowej podróży z Kijowa na Syberię. Dybowski przyjął ze wzruszeniem unikatowe zbiory Czekanowskiego, którego poznał jeszcze w Dorpacie, jako symboliczny zaczątek badań i odkryć przyrodniczych na Syberii.

Nad „świętym morzem" Buriatów

Już w drodze nad Bajkał, zachwycony widokami tej niezwykłej krainy, Benedykt podjął postanowienie, że wykorzysta swój przymusowy pobyt na zesłaniu na bliższe poznanie przyrody dalekiej Syberii. Był to okres największego rozwoju, wręcz kultu nauk przyrodniczych, w tym teorii ewolucji Darwina, która zdawała się wyjaśniać wszystkie tajemnice natury i człowieka. Dybowski był uczonym swoich czasów, nie tylko wyznającym z pasją i uprawiającym z oddaniem naukę, ale uważającym, że rozwiązuje ona wszystkie problemy i dylematy życia ludzkiego. W Irkucku próbował zjednać do badań najciekawszej na Syberii okolicy jeziora Bajkał ważniejsze w mieście osobistości rosyjskie. Liczył, że będzie im zależeć na propagowaniu wiedzy o Syberii. Usłyszał jednak, że miarodajni uczeni rosyjscy, którzy przebadali już wcześniej okoliczne tereny, uznali, że miejscowa przyroda jest tak uboga i nieciekawa, że nie jest warta bliższego zainteresowania. Nie powstrzymało to bynajmniej zainteresowań Dybowskiego, podobnie jak odmowa pomocy finansowej na badania, która przyszła od rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego i Petersburskiej Akademii Nauk. Postanowił działać sam, wciągając do współpracy, a właściwie zarażając swą pasją, kolegów zesłańców, również tych, którzy nie mieli naukowego przygotowania.

Wiosną 1865 r. wyznaczono grupie Dybowskiego nowe miejsce pobytu. Znajdowało się ono 700 km na wschód od Irkucka we wsi Siwakowa koło Czyty; osiedlano tam Polaków zesłanych jeszcze przed Powstaniem Styczniowym. Wyruszył z Marianem Dubieckim i Stanisławem Kietlińskim, z którymi trzymał się od Warszawy. W okolicach Czyty przebywali znajomi przyrodnicy Wiktor Godlewski i Alfons Parvex, których Benedykt zamierzał wciągnąć do współpracy. Przejechali saniami przez zamarznięty jeszcze Bajkał, później przez urwiste wybrzeża i Góry Jabłonowe. Do Siwakowej szli już przeważnie pieszo. Dybowski już wcześniej poczynił pewne obserwacje, które nasunęły mu myśl, że pewne gatunki ptaków znanych z Europy mają tu swoje odmiany, stanowią odrębne podgatunki. Nad Bajkałem od miejscowych rybaków buriackich i kupców dowiedział się o wielu gatunkach ryb podobnych do europejskich, a jednak odmiennych. Usłyszał też o tajemniczej rybie gołomiance, którą mieszkańcy oglądali wtedy tylko, gdy fale wyrzucały ją martwą na brzeg; żywej nigdy nie widzieli. Drapieżna gołomianka stanie się później obiektem poszukiwań i najważniejszym odkryciem Dybowskiego.

eprasa.pl a4a4bdc682

Prawy szermierz i naukowiec, którego uhonorował św. Jan Paweł II

Krzysztof Szujecki

Prof. Marian Suski był w szermierce medalistą igrzysk olimpijskich, mistrzostw Europy i mistrzostw Polski. Odznaczał się także wybitnym umysłem ścisłym; jeszcze przed wojną stworzył model radiostacji N2. Jako więzień niemieckiego obozu jenieckiego w Murnau prowadził wykłady w zakresie programu politechnicznego i skonstruował radioodbiornik, znajdujący się dziś w londyńskim Muzeum im. gen. Sikorskiego. Już przed wojną aktywnie działał w Sodalicji Mariańskiej, a po październiku 1956 r. współtworzył Wrocławski Klub Inteligencji Katolickiej, co było bacznie obserwowane przez władze PRL i hamowało jego nominacje naukowe. Wychował liczne grono zdolnych elektroników.

Inżynier elektryk

Przyszedł na świat w Kielcach 2 listopada 1905 r. jako syn urzędnika kolejowego Franciszka Brunona Suskiego i Marii Heleny z domu Jakubowskiej. Uczęszczał do kieleckiego Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego im. Jana Śniadeckiego. Kształcił się od 1920 r. w Korpusie Kadetów nr 2 w Modlinie – placówce kontynuującej tradycję Szkoły Rycerskiej – gdzie po czterech latach zdał egzamin maturalny. Następnie, od 1924 do 1927 r., był słuchaczem Oficerskiej Szkoły Inżynierii w Warszawie, a w kolejnych latach studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Dyplom inżyniera elektryka uzyskał 10 lat później, a promotorem jego pracy „Wytwarzanie i modulacja fal decymetrowych przy pomocy lamp elektronowych ze spiralną siatką" był prof. Janusz Groszkowski, który ocenił ją bardzo dobrze; taką też ocenę uzyskał Marian Suski na dyplomie ukończenia studiów. Na przełomie lat 1920. i 1930. odbył, wydelegowany przez władze wojskowe, roczne studia radiotechniczne w słynnej francuskiej École supérieure d'électricité; Wydział Radiotechniczny tej szkoły nie miał odpowiedników w ówczesnej Europie.

Dwudziestosiedmioletni Marian Suski ożenił się w 1932 r. z Julią Mścichowską, która była stomatologiem. Małżeństwo doczekało się pięcioro dzieci; jedna z córek, Zofia, zmarła niestety jako malutka dziewczynka w czasie wojny na krwawą dyzenterię. Dwaj synowie zostali profesorami PAN – Tadeusz w Instytucie Wysokich Ciśnień w Warszawie, zaś Wojciech w Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych we Wrocławiu. Córka Maria Magdalena pracowała jako stomatolog, a Małgorzata, absolwentka AWF, prowadziła zajęcia z kultury fizycznej na Politechnice Wrocławskiej.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że już przed wybuchem drugiej wojny światowej Marian Suski odnosił bardzo poważne sukcesy w pracy zawodowej. Jako pracownik Biura Badań Technicznych Wojsk Łączności koordynował prace nad radiostacją N2 oraz stacjami pokładowymi lotniczymi i czołgowymi. Oto jak wspominał tamten okres: „Otrzymałem zadanie opracowania modelu takiej radiostacji nazywanej RKB (czyli radiostacja korespondencyjna batalionowa). Zadanie to było bardzo interesujące i zabrałem się do jego

Mistrzostwa armii w szermierce, Kraków, 1934 r. Pojedynek pomiędzy por. Kazimierzem Laskowskim (z lewej) a kpt. Marianem Suskim. Fot. NAC

eprasa.pl a4a4bdc882

rozwiązywania z wielkim zapałem, ale tym samym przybył mi, prócz studiów, treningów i spotkań z narzeczoną, jeszcze jeden bardzo absorbujący obowiązek. Musiałem wobec tego bardzo skrupulatnie planować rozkład każdego dnia, aby prócz koniecznych obowiązków pozostał mi jeszcze czas na ten 'najmilszy' obowiązek".

Prace nad nowym sprzętem zakończyły się pełnym powodzeniem. Radiostacja N2 była uznawana za najlepszą tego typu konstrukcję w Europie i wiele armii stosowało ją aż do końca II wojny światowej.

W kadrze narodowej

Uprawianie sportu szermierczego rozpoczął Marian Suski pod okiem francuskiego fechtmistrza Micheaux. W czasie kariery sportowej reprezentował barwy warszawskiej Legii, a następnie Warszawianki. Od końca lat 1920. należał do najlepszych polskich szermierzy specjalizujących się w szabli. W kadrze narodowej, w której znajdował się w latach 1929–1939, trafił pod opiekę trenera Béli Szombathelyego. W 1932 r. był w składzie szermierczej reprezentacji Polski na igrzyska olimpijskie w Los Angeles, która – głównie dzięki jego znakomitej formie – wywalczyła w drużynowej szabli brązowy medal. Oto jak Marian Suski wspominał pobyt w Kalifornii: „Wolny czas wykorzystywaliśmy na kontakty z kalifornijską Polonią, na wizyty w domach polskich, spacery i wycieczki samochodowe w piękne okolice. Któregoś popołudnia zwiedzaliśmy Hollywood i kilka znanych wytwórni filmowych. W niektórych z nich właściciele firmy witali nas po polsku, gdyż byli to emigranci z Polski narodowości żydowskiej. Wszędzie przyjmowano nas bardzo serdecznie – nie tylko Polacy, ale również Amerykanie, szczególnie gdy byliśmy w reprezentacyjnych marynarkach. Nic więc dziwnego, że czuliśmy się psychicznie doskonale, tym bardziej, że sprzyjał temu wspaniały klimat Kalifornii: codziennie słoneczna pogoda z temperaturą około 30°C, a wieczorem i w nocy chłodny wiatr od oceanu. Starsze pokolenie Polonii to przeważnie emigracja zarobkowa, którą charakteryzuje średni poziom inteligencji i stosunkowo słaba znajomość języka angielskiego. Młode pokolenie, wykształcone w szkołach i na wyższych uczelniach amerykańskich, na ogół słabo albo wcale nie znało języka polskiego. Nic dziwnego, że coraz większe było poczucie osamotnienia u starszych wobec trudności we wzajemnym porozumieniu się obu pokoleń".

Marian Suski reprezentował barwy Polski na organizowanych w 1934 r. w Warszawie szermierczych mistrzostwach Starego Kontynentu. Już rok wcześniej, na mistrzostwach Europy w Budapeszcie, zastosowano po raz pierwszy na zawodach elektryczne urządzenia; takie też miały być wykorzystane przez sędziów podczas mistrzostw Europy odbywających się w stolicy Polski. Nic dziwnego więc, że to m.in. Marianowi Suskiemu, z racji wykształcenia i posiadanych umiejętności, zlecono zbudowanie aparatów elektrycznych do sędziowania walk szpadowych. Jak opisywał to Suski: „Wspólnie z inż. Lalewiczem z BBTWŁącz. przystąpiliśmy do konstrukcji aparatu na przekaźnikach elektromechanicznych, przy czym najtrudniejszym zadaniem było spełnienie warunku, aby jednoczesne trafienie było rejestrowane przy różnicy czasu trafień mniejszej od 1/10 sekundy. Wymagania te w przybliżeniu spełniliśmy i turniej szpadowy był obsługiwany przez aparaty naszej konstrukcji. Nie obyło się jednak bez różnych awarii, i wtedy musieliśmy wspólnie z inż. Lalewiczem interweniować, co oczywiście nie wpłynęło korzystnie na moją kondycję psychiczną w walce drużynowej o trzecie miejsce z drużyną szablową Niemiec".

Zawody odbyły się w Dolinie Szwajcarskiej na wolnym powietrzu. Polacy, występując przed własną publicznością, nie sprawili kibicom zawodu i wywalczyli drużynowo brązowy medal, pokonując w ostatniej walce reprezentację Niemiec.

Podczas igrzysk w Berlinie w 1936 r. nasi zawodnicy ukończyli turniej szablistów na czwartym miejscu, wracając do kraju, po raz pierwszy od dwunastu lat, bez olimpijskiego medalu. Nie tylko w środowisku sportowym uznano to za porażkę, o czym Marian Suski dowiedział się w dość niespodziewanych okolicznościach: „Jak bardzo ludzie w kraju interesowali się przebiegiem igrzysk – wspominał – przekonałem się, zdając na jesieni egzamin z prądów zmiennych u prof. Żurawskiego, zwanego przez studentów 'Dziadem'. Nigdy nie podejrzewałem, że i on czyta w prasie doniesienia sportowe, toteż byłem zaskoczony gdy po zdaniu egzaminu, zdaje się końcowego z serii trzech z tego przedmiotu, powiedział mi na pożegnanie: *ale w Berlinie to coś wam nie wyszło*".

Więzień niemieckich oflagów

Podczas kampanii wrześniowej Marian Suski był dowódcą łączności w Dowództwie Obrony Warszawy, za co odznaczony został Krzyżem Walecznych. Po kapitulacji stolicy znalazł się w niemieckim o Lata wojny spędził w obozach w Königstein i Murnau, gdzie prowadził dla współwięźniów wykłady i zorganizowane kursy z matematyki i fizyki oraz elektrotechniki i radiotechniki. Przebywając w O VII A w Murnau, prowadził od 1942 r. nasłuch radiowy rozgłośni alianckich na wykonanym przez siebie, z przemycanych potajemnie do obozu części, radioodbiorniku. Odebrane komunikaty były przepisywane i rozprowadzane wśród więźniów. Skonstruowany wówczas przez Suskiego odbiornik można obecnie oglądać w Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. W Murnau szablista zetknął się i współpracował z innymi znanymi naukowcami – Opalskim, Szukalskim, Zonnem i Węglarzem.

Po wyzwoleniu obozu kpt. Marian Suski został oddelegowany do Sztabu II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech. Do Polski powrócił na własną prośbę w roku 1946. Jego pierwszym zawodowym zajęciem po zakończeniu wojny była praca w Zjednoczeniu Przemysłu Radiotechnicznego. Został delegatem tej instytucji na obszar Dolnego Śląska, gdzie, pracując przy zabezpieczaniu mienia poniemieckiego, był narażony na duże niebezpieczeństwo. Potem został zatrudniony na stanowisku dyrektora technicznego Fabryki Odbiorników Radiowych „Diora" w Dzierżoniowie.

Naukowiec i działacz sportowy

Po zakończeniu wojny Marian Suski kontynuował swe zainteresowania związane z telekomunikacją. Od roku akademickiego 1947/1948 pracował na Politechnice Wrocławskiej, gdzie rozpoczął karierę naukową. Mimo licznych zajęć naukowych nie stracił kontaktu ze środowiskiem sportowym. Jeszcze w 1951 r., mając 46 lat, zdobył indywidualny tytuł mistrza Polski w szabli. Dwa lata po rozstaniu się z wyczynową karierą zawodniczą uzyskał w 1955 r. stopień doktora na podstawie pracy „Propagacja fal elektromagnetycznych o częstotliwościach mikrofalowych w ośrodkach absorpcyjnych".

W latach 1951–1968 Suski był kierownikiem Katedry Podstaw Telekomunikacji, a w latach 1968–1976 kierownikiem Zakładu Teorii i Techniki Mikrofalowej, będąc jednocześnie w latach 1968–1974 wicedyrektorem Instytutu Telekomunikacji i Akustyki. Ze względu na swą działalność w radach parafialnych, Towarzystwie Przyjaciół KUL i KIK-u dopiero w połowie lat 1960. uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego. Zwieńczeniem jego kariery naukowej było przyznanie mu w 1974 r. tytułu profesora zwyczajnego. Jak wspominał najstarszy syn Mariana Suskiego, Wojciech, również profesor, zajmujący się badaniami w zakresie fizykochemii: „Stres rodziny potęgowały częste przesłuchania związane głównie z pobytem w *generalskim o* Murnau, podczas których funkcjonariusze usiłowali wymusić zeznania obciążające różnych współwięźniów.

eprasa.pl a4a4bdc682

Działalność szermiercza, częściej wtedy w roli trenera i sędziego, napotykała sprzeciwy władz i dokuczliwe przeszkody w wyjazdach na zawody za granicą".

W czasie pracy na Politechnice Wrocławskiej prof. Marian Suski prowadził początkowo jedynie ćwiczenia z fizyki. Z uwagi na wspomnianą szeroką aktywność społeczną, która wykraczała poza naukę, długo – mimo znaczących osiągnięć – pozostawał na stanowisku skromnego adiunkta. Z czasem mógł jednak rozpocząć bardzo lubiane i cenione przez studentów wykłady z zakresu teorii pola elektromagnetycznego, techniki mikrofalowej oraz teorii obwodów elektrycznych. Opublikował ponad 60 artykułów naukowych i był promotorem kilkunastu prac doktorskich.

Reprezentacja Polski w szermierce, letnie Igrzyska Olimpijskie, Los Angeles, 1932 r. Zdobywcy brązowego medalu w turnieju drużynowym. Stoją od lewej – W. Segda, W. Dobrowolski, A. Papée, M. Suski, J. Zabielski.

Marian Suski jako trener i działacz sportu szermierczego skoncentrował się na pracy organizacyjnej, szkoleniowej i sędziowskiej. Mieszkając we Wrocławiu, nawiązał współpracę z tamtejszym AZS, gdzie był m.in. społecznym instruktorem sekcji szermierczej, a w latach 1949–1959 prezesem wrocławskiego Okręgowego Związku Szermierczego.

Handlarstwo i szmugiel w Polskim Związku Szermierczym

Jego rozstanie ze związkiem nastąpiło w niezbyt miłych, ale zarazem ciekawych okolicznościach. Podczas jednego z pobytów zagranicznych, w Gandawie, zwrócił się do Mariana Suskiego pewien Belg z niespodziewaną propozycją, która – jak opisywał po latach – dotyczyła: „Załatwienia interesu handlowego, nie pamiętam jakiego, dla nieobecnego na tym wyjeździe działacza PZSzerm. i chyba członka PZPR – lekarza weterynarii dr. N. Odmówiłem pośredniczenia w tej sprawie i po powrocie na najbliższym zebraniu zarządu PZSzerm. zaprotestowałem przeciw łączeniu wyjazdów sportowych z handlarstwem i szmuglem, co było – niestety – już wówczas praktykowane przez działaczy sportowych, a za ich przykładem i zawodników. Przewodniczącym PZSzerm. był wówczas płk Fiński, zdaje się, że przedwojenny oficer, człowiek uprzejmy, lecz podporządkowany całkowicie partyjnym członkom zarządu. Wszyscy oni dobrze orientowali się w podobnych aferach i nie poparli mego wystąpienia, a dr N. oznajmił, że kieruje przeciwko mnie sprawę do sądu o oszczerstwo. Nie widząc w zarządzie PZSzerm. poparcia dla mojego stanowiska, zgłosiłem rezygnację z członkostwa zarządu oraz z funkcji sędziego międzynarodowego i odsunąłem się od działalności w organizacjach sportowych, poświęcając swój czas działalności organizacyjnej, dydaktycznej i naukowej na uczelni i w naukowych organizacjach krajowych. Po kilku miesiącach dostałem zawiadomienie od adwokata dra N., że wycofuje swoją skargę".

Jeden z najwybitniejszych polskich szermierzy okresu międzywojnia działał także w strukturach Międzynarodowej Federacji Szermierczej, będąc członkiem komisji do spraw sędziowania elektrycznego. W latach 1960. i 1970. związany był z Wojewódzką Komisją PKOl, a także wrocławskim Klubem Olimpijczyka.

Głęboka wiara i religijne zaangażowanie

Marian Suski należał do ludzi religijnych, a jego wiara została wzmocniona w trakcie II wojny światowej, kiedy przebywając w obozie jenieckim obcował i prowadził częste rozmowy z ludźmi głęboko wierzącymi. Należeli do nich wybitny filozof i myśliciel katolicki dr Jan Franciszek Drewnowski oraz kapelan ks. Kriszke.

Suski już wcześniej angażował się w koło Sodalicji Mariańskiej, a po wydarzeniach poznańskich został członkiem nowo utworzonego Klubu Inteligencji Katolickiej. Również tej organizacji poświęcił wiele zaangażowania, a w latach 1959–1965 pełnił funkcję jej przewodniczącego. Ponadto współtworzył Wrocławskie Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W owym czasie działalność na rzecz stowarzyszeń religijnych była przyczyną wielu problemów zawodowych Suskiego, opóźnień w uzyskiwaniu nominacji i tytułów naukowych. Już w 1948 r. jego udział w młodzieżowym obozie o charakterze religijnym w Jagniątkowie koło Jeleniej Góry spowodował kilkudniowy pobyt w areszcie. W 1977 r. jego nazwisko obejmował zapis cenzury, czyli Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk: „Wszelkie próby popularyzowania w środkach masowego przekazu (prasa codzienna, radio, TV, tygodniki społeczno-polityczne) niżej wymienionych osób należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW".

Prof. Marian Suski działał również w „Solidarności", nie będąc jednak bezkrytycznym jej członkiem. W 1985 r. został w Polsce jedną z pierwszych siedmiu osób odznaczonych medalem *Kalos Kagathos*, przyznawanym za szczególne osiągnięcia sportowe i dokonania po zakończeniu kariery, związane z osiągnięciami w kulturze, nauce lub innych dziedzinach życia zawodowego. Wyrazem wielkiego uznania dla całokształtu życia i dorobku Mariana Suskiego było uhonorowanie go papieskim odznaczeniem *Pro Ecclesia et Pontifice*, które wręczył mu Jan Paweł II.

Prof. Marian Suski zmarł we Wrocławiu 25 grudnia 1993 r. w wieku 88 lat. Został pochowany na tamtejszym Cmentarzu św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida.

eprasa.pl a4a4bdc682

ŚWIATO–PODGLĄD

Koronawirus zaczyna się rozprzestrzeniać także na kontynencie afrykańskim – największą pomoc daje Kościół

W dniu 20 kwietnia, kiedy w niektórych krajach europejskich państwa zaczynają się szykować do powolnej normalizacji, złe wieści napływają z Afryki, gdzie epidemia dopiero wkracza dużymi krokami. Chorych w tym dniu odnotowano blisko 15 tys., zaś wysoki był odsetek zgonów, gdyż zmarło niestety już 800 osób. Zamykane są szkoły oraz instytucje publiczne. Dodatkowym problemem jest fakt, że wielu Afrykańczyków nie ma dostępu do internetu ani nawet do telewizji, a przez to nie mają informacji na temat pandemii ani jak się przed nią chronić. Kluczową rolę, także informacyjną, odgrywa tam Kościół, który komunikuje się z mieszkańcami za pomocą radia.

„W obecnym czasie społecznego odizolowania i zamknięcia, radio stało się niezbędnym elementem życia dla wielu osób", mówi ksiądz z diecezji Mbujimayi, Apollinaire Cibaka Cikongo, który przy wsparciu PKWP dziesięć lat temu założył Radio Ditunga z siedzibą w Ngandajice. Miasto mieści się w centrum Demokratycznej Republiki Konga, która również została dotknięta pandemią koronawirusa.

„Ponieważ kościoły są obecnie zamknięte, Radio Ditunga dostosowało swój program do tej nadzwyczajnej sytuacji, przeznaczając więcej czasu antenowego na celebrację Eucharystii, modlitwę i rekolekcje prowadzone przez księży z Ngandajiki", wyjaśnia ks. Cibaka Cikongo. Podkreśla również, że zarówno ćwiczenia duchowe, jak i celebracje liturgiczne są transmitowane na żywo, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Triduum Paschalnego. Zasięg nadawania obejmuje obszar o powierzchni około pięciu milionów mieszkańców.

Tradycyjnie Wielka Sobota jest dniem ciszy, którą zachowuje także Radio Ditunga. W tym roku było jednak inaczej. Przyczynę wyjaśnia ks. Cikongo: „Inne lokalne stacje radiowe wykorzystują czas antenowy do rozpowszechniania fałszywych informacji, np. kilka z nich obarcza papieża i Kościół katolicki duchową odpowiedzialnością za pandemię koronawirusa. W związku z istniejącą konkurencją między wspólnotami wyznaniowymi uznaliśmy, że okres ciszy mógłby doprowadzić naszych słuchaczy do zwrócenia się ku stacjom konkurencyjnym, co pociąga za sobą duże ryzyko manipulacji".

W odpowiedzi na zamknięcie szkół 19 marca, aby utrzymać łączność między nauczycielami a uczniami, radio postanowiło transmitować lekcje na żywo. „Jest to dla nas zupełnie nowe doświadczenie", przyznaje ks. Cikongo. „Rozpoczęliśmy współpracę z katolickim centrum edukacji La Robertanna (Centre éducatif catholique La Robertanna). Ponieważ mamy w sumie 153 rodziny z dziećmi, kupiliśmy małe radia tranzystorowe, aby móc je przekazać każdej z nich. Inne rodziny też są zainteresowane projektem i będą mogły w nim uczestniczyć, gdyż radio dostępne jest dla wszystkich. Każdego dnia organizowane są dwie godziny lekcji. Nauczyciele przychodzą do radia, a planujemy też nadawanie pytań i odpowiedzi na żywo przez 30 minut w czasie lekcji wieczornej", tłumaczy kapłan. Jednym z wyzwań będzie „zapewnienie zaangażowania rodziców, zwłaszcza analfabetów", a drugim są finanse, ponieważ „zamknięte szkoły utrudniają rodzicom przekazywanie dobrowolnych opłat".

W czasach kryzysu zdrowotnego medium, jakim jest radio, okazało się być kluczowym nośnikiem informacji dla chrześcijan nie tylko w Demokratycznej Republice Konga. Kolejnym z takich przykładów jest Radio Sol Mansi w Gwinei Bissau, które również rozszerzyło swój program antenowy. Uczyniono to nie tylko po to, aby uświadomić mieszkańcom, jakie działania podejmuje się przeciwko epidemii koronawirusa, ale również, aby kontynuować ich wysiłki ewangelizacyjne poprzez emitowanie nabożeństw, katechez i modlitwy o różnych porach dnia. Siostra Alessandra Bonfanti, asystentka kierownika portugalskiej stacji radiowej, wyjaśnia: „Obecnie naszą misją jest pełnienie roli ambasadorów nadziei w społeczeństwie, które obawia się pandemii. Musimy pomagać podtrzymywać płomienie wiary w nadzieję – nadzieję, że świat wróci do normalności, jeśli każdy zrobi to, co do niego należy".

Ta forma misji jest możliwa w dużej mierze dzięki pomocy organizacji kościelnej Pomoc Kościołowi w Potrzebie, której polskim szefem jest ks. prof. Waldemar Cisło. PKWP wspiera wiele stacji radiowych w Afryce. W ciągu ostatnich pięciu lat udzieliła pomocy materialnej nie tylko stacjom w Gwinei Bissau i Demokratycznej Republice Konga, ale także w Angoli, Burkina Faso, Kamerunie, Kenii, Liberii, Madagaskarze, Malawi, Mozambiku, Ugandzie, Republice Środkowoafrykańskiej, Tanzanii, Togo i Zambii. PKWP wniosła wkład finansowy do 35 projektów dotyczących nabycia nowego wyposażenia technicznego oraz do 5 projektów dotyczących produkcji nowych programów radiowych.

Źródło: PKWP

Policja przerwała Mszę św. Funkcjonariusze zareagowali na donos

W hiszpańskiej miejscowości San Fernando de Henares podczas wieczornej Mszy świętej policja weszła do kościoła pw. św. Jana i Pawła, przerywając nabożeństwo i nakazując uczestnikom pod groźbą kary, aby rozeszli się do domów. Według funkcjonariuszy wierni i celebrans powodowali zagrożenie, nie nosząc rękawiczek ani maseczek. Policję wezwał jeden z mieszkańców miejscowości. W kościele oprócz kapłana sprawującego liturgię znajdowało się pięć osób, co pozwalało na zachowanie dystansu przewidywanego odpowiednimi przepisami.

Diecezja Alcala de Henares, do której należy miejscowość, jest jedną z nielicznych hiszpańskich diecezji, w których nie zawieszono publicznego sprawowania Mszy św. Stojący na jej czele biskup Juan Antonio Reig Pla nakazał zachować porządek nabożeństw, a nawet zwiększyć ich liczbę w obliczu ograniczenia liczby uczestników. Jak powiedział w wywiadzie, uzasadniając ten krok: „Msza święta jest niebem na ziemi i człowiek bez niej traci siły. (…) Nie możemy teraz się jej pozbawić, kiedy kryzys związany z koronawirusem ukazuje indywidualizm społeczeństwa. Tą decyzją

eprasa.pl a4a4bdc682

chciałem podkreślić, że Bóg nas nigdy nie opuszcza".

San Fernando de Henares nie jest jedynym miejscem, gdzie podczas Mszy św. interweniowała policja, każąc wiernym się rozejść. Podobne zdarzenia miały miejsce w Kadyksie, Sewilli, Valladolid, Murcji i Valldoreix, a nawet podczas liturgii Wielkiego Piątku w katedrze w Granadzie, sprawowanej przez biskupa miejsca, w której uczestniczyło 20 osób, rozmieszczonych w bezpiecznej odległości.

Źródło: El País

Formularze podatkowe w Niemczech będą bez określeń „mąż" i „żona". Zamiast tego – osoba A oraz osoba B

W formularzach zeznania podatkowego małżonków, zgodnie z planami rządu Niemiec, określenia „mąż" i „żona" mają zostać zastąpione bardziej neutralnymi pod względem płci formami „osoba A" i „osoba B". Wynika tak z odpowiedzi Ministerstwa Finansów na pisemne zapytanie frakcji Wolnej Demokratycznej Partii (FDP): „Rząd federalny planuje neutralny pod względem płci projekt papierowych i elektronicznych formularzy deklaracji podatkowych". Ministerstwo wyjaśnia jednak, że aby taka zmiana mogła się dokonać, administracje finansowe w krajach związkowych (landach) muszą mieć możliwość jednoznacznego przyporządkowania, przy użyciu numeru identyfikacji podatkowej, odpowiednich indywidualnych informacji o dwóch wspólnie rozliczających się osobach, niezależnie od sposobu złożenia deklaracji podatkowej oraz kolejności i nazw podatników w zeznaniu podatkowym. Ponieważ wymaga to daleko idących zmian w procedurach i programach, zmianę tę można wdrożyć tylko w perspektywie długoterminowej.

„Uwzględnienie genderowego punktu widzenia ma ogromne znaczenie dla rządu. Dotyczy to również w szczególności wzorów formularzy deklaracji podatkowych. Potrzeba działania została dostrzeżona", podkreśla rząd. Jak wynika z zapytania, liczba oficjalnych związków osób tej samej płci wzrosła o 22 tys. w latach 2017–2018. W 2018 r. było 37 tys. „małżeństw" osób tej samej płci i 38 tys. zarejestrowanych związków partnerskich. Rok wcześniej natomiast władze zarejestrowały 53 tys. związków. „Małżeństwa" homoseksualne są w Niemczech możliwe od 1 października 2017 r. Brak jeszcze danych na rok 2019.

„Pomimo długiej i pod wieloma względami udanej drogi do równości nadal istnieją niesprawiedliwości w równym traktowaniu podatkowym. Pozostaje to dla mnie zagadką, dlaczego tak wiele czasu zajmuje rządowi dokonywanie oczekiwanych od dawna zmian w formularzach podatkowych", powiedział polityk FDP Markus Herbrand. „Problem istnieje nie od dziś i działa marginalizująco na wiele jednopłciowych par. Tutaj pilnie jest potrzebna poprawa. Dlatego wzywam rząd do usunięcia strukturalnych niedociągnięć i szybkiego wdrożenia planów".

Źródło: Rheinische Post

WHO twierdzi, że aborcja jest „niezbędna" w czasie pandemii koronawirusa. „Aborcje muszą się dalej odbywać!"

Przedstawicielka Światowej Organizacji Zdrowia powiedziała niedawno, że aborcję należy uznać za „niezbędną usługę" podczas pandemii koronawirusa COVID-19. Dr Antonella Lavalanet, lekarka zatrudniona w zespole WHO ds. zdrowia matek i okołoporodowego oraz zapobiegania niebezpiecznej aborcji zwróciła się do prawie 5 tys. osób w internetowej prezentacji na stronie proaborcyjnego czasopisma „Sexual Reproductive Health Matters" (SRHM).

Zachęcona przez doświadczonego doradcę prawnego WHO Eszter Kismődi, obecnie dyrektor generalną SRHM, Lavalanet podkreśliła, że aborcje muszą się nadal odbywać, nawet w obliczu globalnego zagrożenia zdrowia, nawet jeśli matki są zarażone koronawirusem. „WHO opublikowała niedawno dokument zawierający wytyczne dotyczące klinicznego postępowania w przypadku infekcji dróg oddechowych. W dokumencie tym stwierdziliśmy, że wybory kobiet oraz ich prawa do opieki zdrowotnej w zakresie zdrowia reprodukcyjnego powinny być respektowane bez względu na [ich] stan zakażenia COVID-19", powiedziała. „Obejmuje to dostęp do antykoncepcji i bezpieczną aborcję w pełnym zakresie prawa".

Urzędniczka WHO poinformowała, że jej organizacja współpracuje z innymi agencjami ONZ w zakresie wytycznych określających, czym są usługi socjalne, „w tym bezpiecznej aborcji [sic], zwłaszcza że wiemy, że w niektórych sytuacjach wykonanie aborcji jest przenoszone na późniejszy okres ciąży, który niesie ze sobą swoje własne zagrożenia", powiedziała. Lavalanet wspomniała też, że WHO spotyka się z kilkoma organizacjami zawodowymi, które twierdzą, że „aborcja, podobnie jak inne usługi [zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego], są niezbędne" w odpowiedzi rządom, które „próbują pozbawić te usługi priorytetu".

Jednak w sytuacjach, gdy systemy medyczne walczące z COVID-19 nie traktują priorytetowo aborcji, WHO uważa, że kobiety mogą i powinny same abortować swoje dzieci. „W świetle wyczerpywania się towarów oraz ograniczeń w dostępie do placówek służby zdrowia (…) kobiety mogą przeprowadzać swoje bezpieczne aborcje za pomocą mifepristonu i mizoprostolu do 12 tygodni tam, gdzie mają źródło dokładnych informacji i dostęp do usługodawcy, jeśli tego potrzebują lub chcą", powiedziała lekarka.

WHO jest również gotowa zrezygnować z szeregu zabiegów, środków ochronnych i leków, nawet antybiotyków, aby aborcje mogły być kontynuowane mimo wszystko. „Tam, gdzie zapasy antybiotyków nie są dostępne, nie należy odmawiać aborcji", powiedziała Lavalanet. „Podobnie można rozważyć szereg leków przeciwbólowych", dodała. „Jak mówiłam, znieczulenie ogólne lub zabiegi w salach operacyjnych nie są konieczne".

Tam, gdzie „zasoby ludzkie są ograniczone", WHO zaleca, aby inni przedstawiciele służby zdrowia zostali oddelegowani do wykonywania aborcji. „Można rozważyć [wyznaczenie] szereg[u] pracowników służby zdrowia do różnych zadań związanych zarówno z kompleksową opieką aborcyjną [sic] (…), jak i do konkretnych zadań związanych z zarządzaniem usługami aborcyjnymi" – stwierdziła lekarka. Wydawało się, że Lavalanet przyznaje, że istnieje fizyczne zagrożenie dla kobiet dokonujących aborcji na późnym etapie ciąży. Eksperci pro-life twierdzą, że kobiety, które same dokonują aborcji farmakologicznych na swoich dzieciach, są również zagrożone.

W Wielkiej Brytanii, gdzie rząd gwałtownie zmieniał zdanie w kwestii domowych aborcji, zanim uległ presji ze strony lobby aborcyjnego, Towarzystwo Ochrony Nienarodzonych Dzieci (SPUC) ostro wypowiedziało się przeciwko tej praktyce.

„Niech będzie jasne: każdy pracownik medyczny musi działać zgodnie z prawem. Dlatego SPUC kwestionuje stosowanie tabletek do aborcji domowej, które zwiększa fizyczne i psychiczne zagrożenia dla kobiet oraz trywializuje odbieranie życia ludzkiego przez aborcję", stwierdził zastępca dyrektora SPUC John Deighan. „Ze strony grup aborcyjnych to niestosowne, aby wykorzystywać nasz obecny kryzys do wywierania presji na rząd i powodowania dalszego obciążenia zasobów służby zdrowia. Dowody na to, że pigułki aborcyjne podnoszą poziom komplikacji u kobiet, są jasne. Nasza służba zdrowia nie potrzebuje presji [konieczności] radzenia sobie z nagłymi wypadkami spowodowanymi domową aborcją".

Źródło: Life Site News

Opracowali: AS, AM

eprasa.pl a4a4bdc682

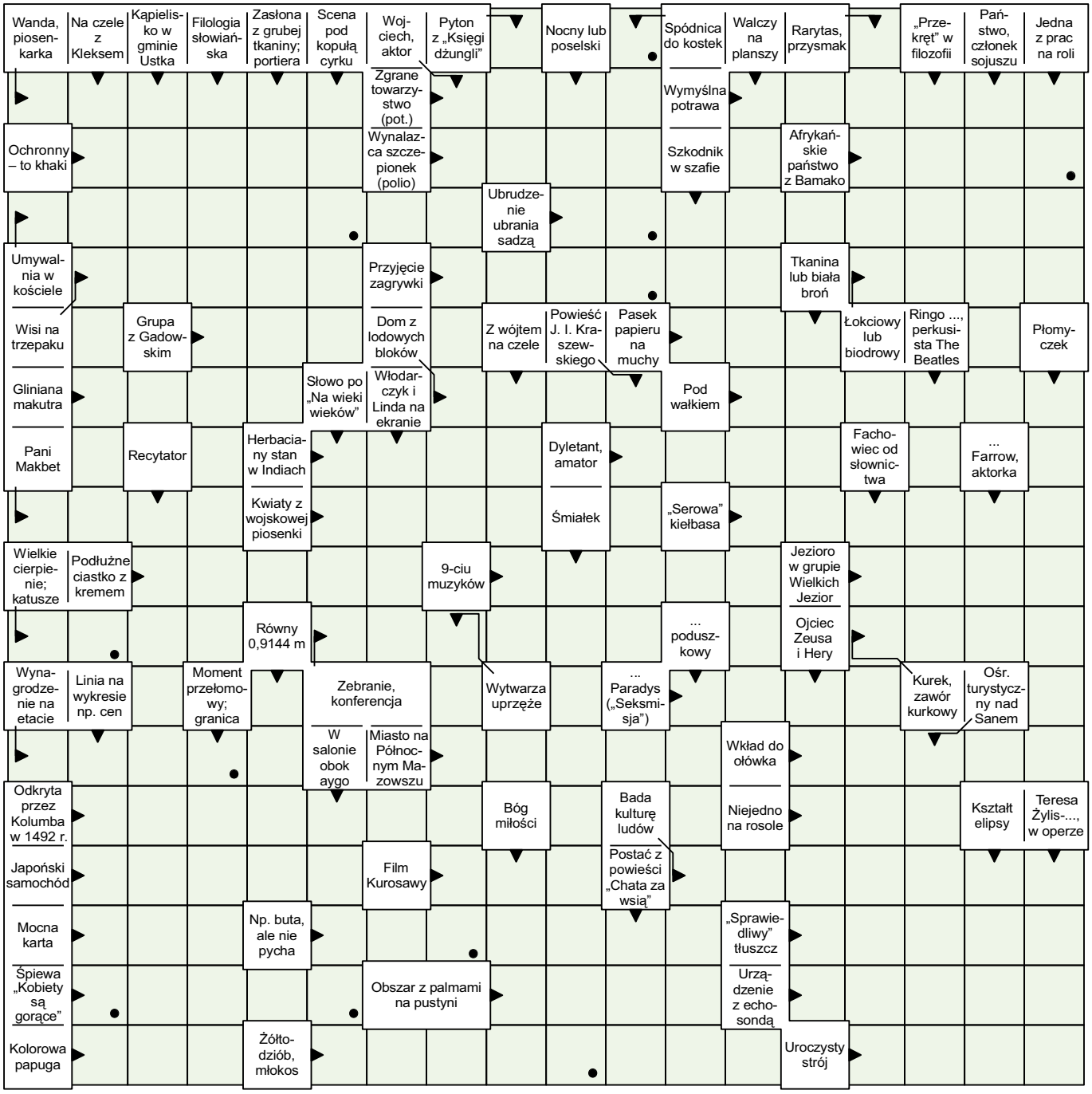

Litery z pól z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Hasłem ostatniej krzyżówki było „Miłosierdzie”.
Dziękujemy wszystkim za przesłane rozwiązania.
Pięcioro zwycięzców to: Ryszard Żukowski – Ostrołęka, Adam Grabski – Bielsko-Biała, Ryszard Wilczak – Włoszakowice, Wiesław Książek – Tarnów, Władysław Bilkiewicz – Gdańsk-Oliwa. Gratulujemy!

Hasło należy przesłać najpóźniej do 11 maja 2020 na adres Wydawnictwa Biały Kruk: ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków lub mailem na biuro@bialykruk.pl z dopiskiem „Krzyżówka”. Należy podać imię, nazwisko, adres oraz numer telefonu – rozwiązań bez tych informacji nie uwzględniamy. Można również przesłać rozwiązanie przez Facebook. Wystarczy wejść na www.facebook.com/WydBialyKruk i polubić profil naszego wydawnictwa, a następnie przesłać wiadomość z rozwiązaniem.

Wśród osób, które nadesłały poprawne rozwiązanie, wylosujemy jako nagrodę 5 egzemplarzy książki „Dlaczego przestałem być lewakiem”.

NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ 26 MAJA 2020

eprasa.pl a4a4bdc682

ZAMAWIAJ MĄDRE, POLSKIE KSIĄŻKI

www.bialykruk.pl

NA PORTALU:

- **księgarnia**
- **aktualności**
- **interesujące artykuły**
- **bogate opisy książek**
- rabaty

Życie codzienne podlega obecnie sporym ograniczeniom, lecz z drugiej strony wielu z nas zyskało coś, czego nam wcześniej brakowało – czas.

Są to chwile, w których warto wrócić do czytania książek, aczkolwiek dostęp do nich jest teraz utrudniony, ponieważ wiele księgarń zamknęło swoje podwoje, a także parafie funkcjonują w ograniczonym zakresie.

Dlatego zachęcamy do tego, aby w tym okresie bliżej przyjrzeć się naszemu portalowi internetowemu połączonemu z księgarnią:

www.bialykruk.pl

Nie tylko znajdą tam Państwo aktualne informacje z kraju i ze świata, ale także wielki zestaw naszych książek: historycznych, religijnych, politycznych, społecznych czy też dla dzieci. Są to dzieła wybitnych autorów, głównie polskich, z którymi spotykacie się Państwo stale także na łamach „Wpisu".

Na naszym portalu znajduje się precyzyjny opis każdej publikacji, dokładny jej podgląd oraz obszerny fragment, aby móc się zapoznać jak najlepiej z dziełem. Co więcej, książki oferujemy z rabatem – zazwyczaj 25% – ale oprócz tego znajdą Państwo atrakcyjne pakiety książkowe z jeszcze lepszymi cenami!

WPROWADZAMY SPECJALNY KOD DLA CZYTELNIKÓW WPISU – „**WPIS35**" – WÓWCZAS RABAT WYNOSI **-35%**!

115 zł zamiast 178 zł

Oferta ta ważna jest do końca czerwca 2020.

Najważniejsze jest jednak to, że decydując się na zamówienie z naszej księgarni internetowej nie trzeba wychodzić z domu.

Zakup książek w tym trudnym dla życia kulturalnego okresie będzie też formą wsparcia dla nas, naszych autorów i naszych pracowników.

Kto czyta książki Białego Kruka, ten rozumie więcej!

Zapraszamy na www.bialykruk.pl!

Biały Kruk

eprasa.pl a4a4bdc682